

NOWA POWIEŚĆ AUTORA BESTSELLEROWYCH *BLIZN*

# MAREK STELIAR

Nie było lepszego i gorszego zła.

Było po prostu zło.

# UKRYCI

FILIA

**MAREK  
STELAR**



**UKRYCI**

**FILIA**

# **I UPROWADZENIE**

# 1

– Dasz się wyciągnąć czy jednak zostajesz w aucie?

Popatrzyła na syna, jedyną bliską osobę, jaka jej jeszcze pozostała na tym świecie. Piotrek, nie odrywając wzroku od smartfona, pokręcił głową.

– Mięczak – powiedziała ciepłym głosem, żeby wiedział, że żartuje.

Wiedział, ale i tak nie chciała ryzykować. W jego wieku wystarczy jedna mała iskra, żeby wybuchł pożar. A w sytuacji, w jakiej się znajdował, czasem nie trzeba było nawet iskry i rozumiała to. Jej było ciężko, ale choć tkwili w tym razem, jemu z pewnością było bez porównania ciężiej.

– Uhm – potwierdził obojętnie.

– Skoczę najpierw do drogerii. – Wskazała przez szybę wielki, różowy kaseton na budynku stojącym przy sklepowym parkingu. – Potem załatwię Lidla. Chcesz coś specjalnego?

– Nie – odparł. – Albo wiesz co...? Kup mi piwo.

– Za trzy lata sam sobie kupisz, cwaniaku. – Uśmiechnęła się. – Na pewno nie dasz się namówić?

Westchnął i spojrzał na nią tym swoim melancholijnym wzrokiem.

– Nawet jeśli zapytasz jeszcze sto razy, to odpowiedź za każdym razem będzie taka sama, okej?

– Okej, okej. – Machnęła ręką i sięgnęła do klamki. – Gdyby coś się działo, dzwoń.

– Co ma się dziać? – Teraz w jego oczach było niebotyczne zdumienie.

Zmierzwiała mu włosy, a on odsunął się lekko i odruchowo poprawił grzywkę. Poczwała w sercu niewielkie ukłucie. Jej mały chłopiec odszedł w niebyt, spontaniczne przytulanie i ciepłe gesty też, zamiast chłopca w domu miała już prawie mężczyznę, a świadomość, że kiedyś odejdzie, jak jego ojciec, bolała jak cholera. Tylko że w przypadku Piotrka to będzie naturalne. Bolesne dla niej, ale naturalne. I tak mogła się cieszyć, że zdołała to zrobić, bo jest silny.

Wysiadła z samochodu i zatrzasnęła drzwi. Obrzucając samochód ostatnim spojrzeniem, ruszyła w kierunku kilkunastopiętrowego budynku, w którego przyziemiu mieściły się lokale usługowe. W drogerii wzięła

koszyk, zapakowała go kosmetykami, które akurat jak na złość skończyły się hurtowo. Zatrzymała się przy regale z perfumami. Akurat była promocja na wodę toaletową i pomyślała o synu. Z higieną nie było problemu, jednak nie dbał za bardzo o to, co ponad to, a ona uważała, że najwyższy czas zacząć to robić. Z powodu sytuacji, w jakiej się znajdował, nie przypuszczała, żeby dziewczyna przytrafiła mu się jakoś szybko, lepiej jednak dmuchać na zimne. Wybrała wodę w małym opakowaniu i przeliczając budżet z uwzględnieniem tego zakupu, ruszyła do kasy. Młoda kobieta za kontuarem rzuciła uprzejmie „dzień dobry”, spojrzała jej w twarz, a potem przeniosła wzrok na jej włosy: rude, grube i kręcone, których nienawidziła w dzieciństwie, a których teraz zazdrościła jej niemal każda znajoma i koleżanka. Przyzwyczyła się do tych spojrzeń i chociaż dziewczyna przed nią na swoje włosy nie mogła narzekać, to jednak w jej oczach widać było co najmniej uznanie.

Podstawiła telefon z kodem w aplikacji i zapłaciła, z kieszeni bojówek wyciągnęła anużkę, rozwinęła ją i zapakowała wszystko do środka. Kiedy przechodziła przez parking niedaleko swojego fiata, zerknęła w jego stronę, zastanawiając się, czy nie zostawić siatki, ale uznała, że to opóźni wszystko o kilka minut, bo pewnie nie powstrzyma się, żeby pogadać jeszcze chwilę z Piotrkim. Dalsze próby wyciągnięcia go na zakupy były bezcelowe, więc uznała, że załatwi od razu spożywkę i będzie miała spokój.

W sklepie spędziła jakieś dwadzieścia minut. Listę zakupów miała w głowie, zresztą nie była długa, ale klientów obsługiwała tylko jedna tradycyjna kasa, a samoobsługowe były obłożone. Kiedy wreszcie wyszła na parking, odetchnęła z ulgą. Zaczęło lekko mżyć, więc przyśpieszyła kroku. Kiedy podeszła do auta, zobaczyła, że miejsce pasażera jest puste. To jeszcze nie wzbudziło jej podejrzeń, bo może Piotrek jednak zdecydował się gdzieś wyskoczyć, może się nawet minęli, choć nie miała pojęcia, jak mogłaby go nie zauważyć. Podeszła do tyłu samochodu, żeby schować siatkę z zakupami do bagażnika. Szczęknął zamek, pociągnęła klapę do siebie, a kiedy otworzyła je na pełną szerokość i zobaczyła koło z plastikową osłoną, na której szczyrzył zęby Diabeł Tasmański z kreskówki Zwariowane melodie, serce zatrzepotało jej z niepokoju. Chwilę później niepokój zmienił się w przeraźliwy strach.

To było przecież niemożliwe.

## 2

Następna godzina była jak wyjęta z koszmaru. Marta nie pamiętała z niej prawie nic, tylko parking przed Lidlem, rozmazane twarze ludzi i ich zdziwione spojrzenia. Sama nie wiedziała, jak dotarła na Kaszubską, nie powodując wypadku. Wbiegła do budynku komendy miejskiej policji, potrącając kogoś w drzwiach, ale nawet nie odwróciła się, żeby przeprosić. Gdy dotarła do okienka dyżurnego w holu wejściowym, niemal rzuciła się na kontuar, uderzając nosem w szybę oddzielającą dyżurkę od holu. Za nią siedziało dwóch policjantów. Starszy, sierżant i młodszy, posterunkowy.

– Chciałam zgłosić zaginięcie syna. – Głos jej drżał.

– Ile lat ma syn?

– Piętnaście. – Porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymienili policjanci, wzbudziły jej niepokój.

– Kiedy zniknął?

– Godzinę temu. Niecałe półtorej.

Sierżant roześmiał się i dla niej to nie był śmiech, tylko ordynarny, pozbawiony empatii rechot.

– Nie wydaje się pani, że to trochę za wcześnie? – zapytał ten drugi.

– Wierzy pan w Boga?

– A co to ma do rzeczy?

– Syn jest niepełnosprawny – powiedziała zimno, patrząc sierżantowi w oczy. – Nie sądzę, żeby na pieprzonym przysklepowym parkingu miał miejsce cud, syn odzyskał władzę w nogach i poszedł swoją drogą, zostawiając wózek inwalidzki w samochodzie.

Twarze obu policjantów wydłużyły się nagle i zastygły w tym wyrazie. Spuścili głowy, a ona, nie chcąc ich pognębiać jeszcze bardziej, odwróciła głowę w stronę drzwi wejściowych.

– Proszę chwileczkę poczekać, zaraz ktoś do pani przyjdzie – powiedział jeden i wskazał rząd niewygodnych krzesełek pod ścianą.

Usiadła na skrajnym i głęboko westchnęła. Podejrzewała od początku, że cała procedura przypomina tę w szpitalu na izbie przyjęć, kiedy niemal wszystko polega na czekaniu na kogoś, potem na kogoś jeszcze i jeszcze,

a czas mija. Tu zanosilo się na to, że będzie podobnie. Słuchała jednym uchem, jak sierżant mówi coś do słuchawki telefonu i kilka minut później na schodach pojawił się kolejny policjant.

Miał zupełnie inne nastawienie. Był poważny, na jego twarzy nie dostrzegła śladu kpiny czy wątpliwości. Poczula się lepiej. Odrobinę, ale zawsze. Zaprowadził ją do jakiegoś pomieszczenia, w którym oprócz stołu i czterech krzeseł nie było niczego, tylko gołe ściany i okno. Ono też sprawiało fatalne wrażenie, bo od zewnątrz zamontowana była siatka.

Usiadła z wahaniem po jednej stronie stołu, funkcjonariusz wybrał krzesło naprzeciw niej. Usiadł, poprawił się na nim, a przed sobą położył notes i długopis. Przyjrzała się szarej okładce i poczula lekkie zdziwienie. To nie był żaden formularz, tylko zwykły notes, na którym nie było żadnych rysunków, napisów czy logo. Policjant otworzył go i wziął długopis do lewej ręki.

– Imię? – zapytał.

– Marta.

– Nazwisko?

– Sygit.

– Imię syna?

– Piotr.

– Nazwisko takie samo?

– Nie. Nazwisko ma po ojcu. Rybicki.

– Rozumiem. Poproszę o dane ojca.

– Mariusz Rybicki, data urodzenia: trzynasty lutego siedemdziesiątego ósmego. To był raczej pechowy dzień.

– Gdzie przebywa ojciec dziecka?

– Nie mam pojęcia i mam to w dupie, tak samo jak on ma nas. Nie wiem kompletnie, co się z nim dzieje. I nie chcę wiedzieć.

– Dobrze... Proszę teraz opisać okoliczności zaginięcia.

Skupiła się. Trochę pocieszyło ją spostrzeżenie, że policjant pisze bardzo wyraźnie, drukowanymi literami.

– Odebrałam syna od kolegi i pojechaliśmy na zakupy. Nie miał ochoty wysiadać z samochodu, ja to uszanowałam i on w nim został. A ja poszłam do drogerii, potem zrobić szybkie zakupy w Lidlu.

– Którym?

– Na Witkiewicza. Drogeria jest obok, w tym budynku mieszkalnym na rogu Santockiej.

– Kojarzę.

– Kiedy wracałam z drogerii i przechodziłam przez parking, syn był jeszcze w samochodzie. Widziałam go przez szybę. Zakupy zajęły mi około dwudziestu minut, bo były kolejki do kas. I kiedy przyszedłam do samochodu, Piotrek już nie było. A jego wózek dalej tkwił w bagażniku. Wie pan, to jest specjalny wózek, bardzo lekki, była cała akcja wśród kolegów, uzbieraliśmy na niego mnóstwo pieniędzy, a Piotrek ma bardzo silne ręce. On potrafił wyciągnąć sobie go z tyłu, przez rozsuwane drzwi, postawić obok samochodu i samemu się na niego przesiąść. Ale przecież wózek został, więc...

– Rozumiem. Dzwoniła pani do niego?

– Tak. Nie odbierał, a kiedy wsiadłam do auta, znalazłam jego telefon na siedzeniu, wciśnięty pod oparcie. – Z gardła wyrwał się jej nagle szloch. – Wtedy prawie wpadłam w panikę, bo on się z nim nie rozstaje. I już wiedziałam, że coś jest nie tak.

– Co zrobiła pani potem?

– Zaczęłam biegać po parkingu i go wołać. Pytałam ludzi, czy nie widzieli czołgającego się chłopca, albo żeby ktoś go niósł, ale... Wszyscy patrzyli na mnie jak na wariatkę. Wie pan, jakie to uczucie? Pana koleżdy też tak na mnie patrzyli, kiedy tu przyszedłam.

– Zostawmy ich i skupmy się na tym, co ważne. Jak to się stało, że pani syn musi poruszać się na wózku?

– Miał wypadek na deskorolce. Upadł plecami na betonowy element w skateparku dwa lata temu i złamał kręgosłup. Rdzeń kręgowy został nieodwracalnie uszkodzony. Ale nie poddał się. Najpierw miał załamanie, to zrozumiałe, ale ogarnął się szybko i postanowił, że nie pozwoli, żeby to zmarnowało mu życie. Zaczął grać w koszykówkę na wózkach, ćwiczyć ręce, być aktywny. Jest bardzo silny psychicznie. Psychologowie, którzy z nim pracowali, byli pod wrażeniem.

– Czy jest możliwe, że któryś z jego kolegów przyjechał po niego? Nie wiem, umówili się bez pani wiedzy, może chcieli zrobić kawał? Pani albo jemu?

– Obdzwoniłam jego najbliższych kolegów. Nikt z nich tego nie zrobił.

– Może ma takiego kolegę, o którym pani nie wie?

– To niemożliwe – zaperzyła się i już ułamek sekundy później zreflektowała się, że za szybko, bo policjant mógł mieć rację.

Musiała być obiektywna. Ale walczyła.



– Rozmawiamy ze sobą o wszystkim – powiedziała, ale już ciszej i mniej natarczywie.

– Zdaje sobie pani sprawę, że to może być tylko pani wrażenie?

– Tak. – Spuściła głowę.

Dalsza walka nie miała sensu. Nie wierzyła w to, ale takie prawdopodobieństwo istniało i on jej to właśnie uświadomił. Ludzie nie mówią innym ludziom wielu rzeczy. Nawet bliskim. Wiedziała to, oboje z Piotrkim to wiedzieli. Czy jej syn wziął przykład z ojca i też jej czegoś nie powiedział?

– A ojciec? – Policjant jakby czytał jej w myślach. – Czy to on mógł go zabrać?

– Nie – odparła zdecydowanie. – Nie utrzymujemy kontaktu, mówiłam przed chwilą, że w ogóle się nami nie interesuje, niby dlaczego miałyby się to nagle dziś zmienić?

– Może pani po prostu nie znać powodów, ale to możliwe, prawda? Tak zwane porwania rodzicielskie to niestety dość częsta sprawa.

– Nawet jeśli, to przecież syn zadzwoniłby do mnie i powiedział, co się dzieje. No i dlaczego mój były nie zabrałby wózka? Zresztą... – parsknęła. – On nie jest ojcem Piotrka, on go tylko spłodził, rozumie pan? Ojciec nie zachowuje się tak jak on. Nie znika, opuszczając syna w potrzebie, w najgorszym momencie życia. Możecie spokojnie odpuścić sobie tę kwestię. To nie on.

– Czy syn zachowywał się ostatnio dziwnie? Nietypowo?

– Nie.

– Czy w ciągu ostatniej doby wydarzyło się coś niezwykłego?

– Co?

– Cokolwiek, co mogłaby pani uznać za sytuację nietypową, wręcz nienormalną.

– N-nie... Raczej nie. Wszystko było jak zwykle.

– Nigdy wcześniej nie znikał bez poinformowania pani o tym?

– No, zdarzało się, że nie zadzwonił, kiedy wychodził gdzieś z kolegami, ale wtedy dzwoniłam ja i wszystko było w porządku...

– Czy nastąpiła ostatnio jakaś raptowna i radykalna zmiana zachowania? Cokolwiek, co świadczyłoby o kryzysie?

– Proszę pana. – Roześmiała się. – Ostatnie dwa lata jego, naszego życia, to jeden wielki kryzys.

– Rozumiem... – Policjant pokiwał głową, nie patrząc na nią, długopis przesuwiał się po kartce jak rysik sejsmografu. – Miała pani jakieś podejrzenia, jeśli chodzi o narkotyki?

– Nie. Raz powiedział mi, że zapalił z kolegami trawkę, ale mu się nie podobało. O twardych nie było mowy, i tak przez wiele miesięcy brał silne leki przeciwbólowe.

– Miał dziewczynę? – zapytał policjant.

– Nie miał. – Zawahała się. – W każdym razie nic o tym nie wiem. A co to ma wspólnego?

– Może nic, a może wszystko. Zbieram informacje, taka jest procedura.

– Myśli pan, że piętnastolatek, w dodatku niepełnosprawny, może chcieć uciec z dziewczyną z domu? – zapytała gorzko i ironicznie. – Gdzie, jak, za co?

W twarzy policjanta dostrzegła coś, co kazało jej zamilknąć.

– Parę lat temu nastolatek zabił rodziców, bo tak chciała jego dziewczyna – powiedział powoli, mrużąc lekko oczy. – To była głośna sprawa, pewnie pani o tym słyszała. Nie ma pani pojęcia, jakie rzeczy...

Nagle przerwał, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej wibrujący telefon. Puknął w wyświetlacz, przyłożył komórkę do ucha i słuchał przez chwilę swojego rozmówcy, patrząc na Sygit nieprzeniknionym wzrokiem.

– Dobra, niech przyjdzie – rzucił sucho i położył telefon na stole, wciąż nie spuszczając z niej wzroku.

Przełknęła ślinę. Coś się działo. Czuła to.

– Za chwilę porozmawia pani z pewnym człowiekiem – powiedział policjant. – To oficer z komendy wojewódzkiej. Pewnie zada te same lub podobne pytania i proszę się tym nie denerwować, tylko współpracować, dobrze?

– Nie rozumiem? – zachnęła się. – Przecież chodzi o czas!? Powiedziałam panu już wszystko! Dlaczego nie zabierzecie się do poszukiwań, tylko chcecie w kółko wałkować to samo? A czas ucieka!

– Pani Marto. – Podniósł dłoń. – Proszę nam zaufać, dobrze? Traktujemy tę sprawę poważnie, bardzo poważnie. Zaraz pani sama się o tym przekona, tylko proszę zachować spokój. Możemy się tak umówić?

Zagryzła wargi i pokiwała głową.

– Cieszę się. Teraz panią zostawię, a za jakiś czas ktoś do pani przyjdzie. Ostrzegam, to może chwilę potrwać, proszę się nie denerwować.

Wstał i wyszedł z pokoju. Przez chwilę w szparze drzwi widziała, jak ogląda się i obrzuca ją spojrzeniem. Poczwała się dziwnie i pomyślała, że tak patrzy się na ludzi, których widzi się ostatni raz i chce zapamiętać. Przysiadła na krawędzi stołu i założyła ręce na piersiach. Przed sobą miała szarą ścianę i swój cień rozmyty mdłym światłem padającym przez okno. Znów poczuła to lodowate zimno na karku, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, drzwi otworzyły się i pojawił się w nich ten sam policjant.

– Będzie pani musiała poczekać około godziny.

– Dlaczego tak długo?

– Nie wiem, ja tylko przekazuję informację. Może pani wyjść i wrócić tu, albo zostać, jak pani woli.

– Wolę zostać.

Miała jakieś irracjonalne przekonanie, że jeśli stąd wyjdzie, coś ważnego ją ominie, straci nad czymś kontrolę, a tego nie chciała. Nawet jeśli ta kontrola była wyłącznie iluzoryczna.

Policjant pokiwał głową i zostawił ją samą, tym razem na dobre. Zostawił ją samą ze sobą i czarnymi myślami, które kłębiły się w jej głowie. Nie mogła usiedzieć na miejscu, tylko chodziła wkoło pomieszczenia, czasem przystawała przy oknie i wpatrywała się w widok za nim: szarą ulicę i odrapane ściany kamienic naprzeciwko. Jedyną pozytywną rzeczą było to, że skupiona na tych myślach nie zauważała upływu czasu, dlatego też zaskoczył ją dźwięk otwieranych drzwi. Drgnęła, odwróciła się od okna i spojrzała na mężczyznę, który się w nich pojawił. Nie stanął w wejściu, po prostu wszedł płynnie do środka pomieszczenia, obróciwszy się z gracją w progu, i tak samo płynnie zamknął drzwi. Między poszczególnymi ruchami nie było przerw ani zawahania, jakby robił to już tysiąc razy albo miał znakomitą koordynację – uznała, że raczej to drugie. Miał na sobie granatową marynarkę, koszulę w tym samym kolorze, tylko parę odcieni ciemniejszą, i dość obcisłe spodnie, które nie wszystkim mężczyznom pasują. Jemu pasowały, co Marta stwierdziła ku swojemu zaskoczeniu. Nie z powodu tego dopasowania; była tylko zdziwiona, że taka myśl przyszła jej w ogóle do głowy w takiej chwili, takich okolicznościach.

– Dzień dobry, nazywam się Marcin Najder. – Miał sympatyczny głos, trochę szorstki.

– O co tu chodzi? – Wstała ze stołu i poczuła, jak nagle wzbiera w niej złość. – Dlaczego przekazujecie mnie sobie jak pałeczkę w sztafecie?

– Spokojnie, pani Marto...

– Pan coś wie!

– Wszystko pani zaraz wyjaśnię...

– Żądam, żeby mnie poinformowano, co stało się z moim dzieckiem! – Ruszyła ku niemu. – Słyszysz pan? Natychmiast!

– Siadaj!

Polecenie wydane zostało tak zimnym i nieznoszącym sprzeciwu tonem, że wykonała je natychmiast i bez zastanowienia. Tuż przed tym, jak jej pośladki dotknęły siedziska, zreflektowała się i napięła mięśnie nóg, żeby znów wstać, ale oficer to zauważył.

– Proszę zostać na krześle – powiedział już cieplej i ciszej.

Posłuchała. Uśmiechnął się do niej lekko, pocieszająco i przepraszająco równocześnie. Przez chwilę poczuła wdzięczność, ale zaraz potem to uczucie wyparowało, a pustkę po nim znów wypełniła złość. Ale tym razem nie odzywała się, tylko czekała. Najder, nie spuszczając wzroku z jej twarzy, odsunął sobie krzesło i usiadł przed nią, po drugiej stronie stołu.

– To, co za chwilę powiem, ma zostać tajemnicą – odezwał się po chwili.

– Informuję o tym, gdyby z jakichś powodów zdecydowała się pani tym z kimś podzielić. Na przykład z dziennikarzami. Nie robi pani tego dla własnego dobra, a właściwie dla dobra swojego syna.

– Nie rozumiem. – Poczuła, że zaczynają się jej trząść ręce, więc zacisnęła je w pięści i wsunęła je pod uda.

– Uważamy, że sprawa zniknięcia pani syna może mieć związek z inną, którą prowadzimy w komendzie od jakiegoś czasu. To nie jest jeszcze stuprocentowo pewne, ale... Cóż, wygląda na to, że wpisuje się w schemat niemal idealnie, więc idziemy w tym kierunku.

– Wyjaśni mi pan wreszcie, o co chodzi? – zapytała zimno.

– W okresie ostatniego roku w Szczecinie i okolicach porwanych zostało czworo dzieci w wieku od dziewięciu do dwunastu lat. Do tej pory ich nie odnaleziono, co może oznaczać, że one wciąż żyją.

– Może?

– Może, ale nie musi, jednak tak właśnie zakładamy: że żyją.

– Dlaczego? Bo nie odnaleźliście ciał?

– Nie tylko dlatego. – Najder złączył palce i lekko poruszał dłońmi, jakby je sobie delikatnie masował. – Jest coś jeszcze, co łączy te sprawy i co pozwala nam sądzić, że sprawca lub sprawcy mają jakiś cel, który realizują, ale nie jest nim zabójstwo samo w sobie. Inaczej faktycznie odnaleźlibyśmy

choć jedno ciało. N-no, jest wysokie prawdopodobieństwo, że tak by się stało.

– Co to jest? Co łączy te sprawy? – Patrzyła mu w twarz wyzywająco, jakby żądała, żeby też spojrział jej w oczy.

Zrobił to, a ona wytrzymała jego spojrzenie.

– Podobnie jak pani syn... – powiedział po chwili, teraz już niskim z napięcia głosem – pozostałe dzieci też były niepełnosprawne.

### 3

– Co to za miejsce? Gdzie ja jestem?

– To prywatna klinika psychiatryczna.

– Jeezu, wylądowałem w wariatkowie?

– Nie, absolutnie nie. To nie tak. W skrócie: w wyniku przeżycia wyjątkowo silnych emocji związanych z wydarzeniami, w których pan uczestniczył, doznał pan szoku i w związku z tym ma pan całkowitą amnezję. To tak zwana amnezja dysocjacyjna całościowa. I zgeneralizowana, co oznacza, że utrata wspomnień dotyczy nie tylko zdarzeń, ale również własnej tożsamości. To się zdarza, to mechanizm obronny umysłu. W skrócie: wyparcie bolesnych wspomnień, a przy okazji wyczyszczenie pamięci, że tak to określe. To oczywiście znaczne uproszczenie, naprawdę bardzo duże, ale nie musi pan znać szczegółów. Poradzimy sobie bez tego.

– A pan jest...?

– Ja nazywam się Przemysław Sobczak i jestem psychiatrą oraz psychoterapeutą. Moim zadaniem jest wyciągnąć pana z tego. Oraz uzyskać kilka informacji, które być może pan przechowuje w głowie. Są one równie istotne, jak pana wyzdrowienie, a może nawet bardziej.

– To jest jakaś różnica między psychiatrą a psychotera...?

– Zasadnicza. Ale nie będziemy się na tym teraz skupiać, szkoda czasu.

– Co może być ważniejsze od mojego zdrowia?

– Dla pana niewiele jest takich rzeczy. I rozumiem to. Ale jest kilka osób, którym jednak bardziej niż na pańskim zdrowiu zależy na czymś innym. A właściwie na kimś. I te osoby też rozumiem.

– Ale tu biało... To światło musi tak razić?

– Chcę pana dobrze widzieć.

– A dlaczego masz takie wielkie zęby, baaaabciu...

– Tak, to niepożądany wpływ leków, ale to panu minie. Niestety, farmakoterapia jest konieczna w pańskim przypadku. A jeśli chodzi o mocne światło... Ja muszę pana dobrze widzieć, szczególnie twarz, rozumie pan?

- Nie do końca.
- Człowiek mówi nie tylko ustami, ale i ciałem. Szczególnie twarzą. A ja to wszystko muszę wychwycić.
- Okej... A dlaczego tu nie ma okna? Wtedy byłoby jasno?
- Pewnie tak, ale widzi pan... W tym gabinecie, na miejscu, na którym pan teraz jest, siedzą różni ludzie. Jedni, tak jak pan, są spokojni i chcą sobie pomóc. Chcą też dać sobie pomóc. Rozmawiają, przyjmują do wiadomości moje sugestie, pracują nad sobą. Ale inni... Cóż, inni daliby wszystko, żeby się stąd wydostać, nawet skacząc z okna.
- O, to grubo... A wysoko jesteśmy?
- Źle się wyraziłem: nie z okna, tylko przez okno. Nie chodzi o wysokość, tylko ogólnie o ucieczkę. Brak okna zmniejsza ryzyko, rozumie pan? Jego widok korciłby ich, prowokował. I stąd brak okna, a zamiast tego mocne sztuczne światło.
- Rozumiem... A mogę zapytać o coś jeszcze??
- Oczywiście.
- Ten zegar na ścianie. On nie chodzi?
- Nie.
- Nie pasuje tutaj, wie pan? Tak tu białe i czyste, sterylne...
- Sterylnie.
- T-tak. Trochę bełkoczę czy mi się wydaje?
- Nie wydaję się panu. To uboczny skutek działania leków. Ale ja pana doskonale rozumiem, więc proszę się tym absolutnie nie przejmować.
- Oookej... No, więc, tak tu ste-ryl-nie...
- Wie pan, w końcu to gabinet lekarski, prawda?
- No, niby tak, dlatego mówię, że akurat ten zegar tu nie pasuje. Drewniany taki.
- To pamiątka. Zegar z Zaandam.
- Po kim pamiątka?
- Po kimś bardzo mi bliskim.
- Uhm... Będzie kukał?
- Nie, nie ma kukułki. Proszę się nim nie przejmować.
- Ale on naprawdę tu nie pasuje. W dodatku nie chodzi.
- Jest sprawny, tylko unieruchomiony. Nie chcę, żeby pana rozpraszał tykaniem.
- To po co tu w ogóle wisi?

– Mówiłem panu, że to pamiątka. Lubimy mieć w miejscach, w których spędzamy dużo czasu, przedmioty, które nam się dobrze kojarzą, prawda? A ja w pracy spędzam go naprawdę mnóstwo. Pan nie ma takich przedmiotów?

– Ja... Nie pamiętam. Nawet nie pamiętam, gdzie pracowałem. I czy w ogóle?

– Spokojnie, dojdziemy do tego. Musimy zacząć od początku.

– Dobrze, zacznijmy od początku. Mówi pan o tych wydarzeniach, w których uczestniczyłem?

– Tak.

– A... Co się stało?

– Nie wiem.

– Nie wie pan?

– Nie.

– A skąd pan wie, że w ogóle coś się stało?

– To akurat wiem. Ale nie powiem panu, co wiem ani skąd. To pan musi do tego dojść. Po to tu jesteśmy. Obaj. Uogólniając, zamierzam zastosować metodę regresji, dzięki której naprawimy ślad pamięciowy, rozumie pan? Dojdziemy do momentu, w którym traumatyczne zdarzenie zablokowało pana umysł. Odkryjemy, co się stało. Nie, jeszcze inaczej: to pan to odkryje, a ja tylko będę panu towarzyszył i pana wspierał.

– Okej... To chyba będzie ciężko.

– Co pan pamięta?

– Nic, pustka. Nie wiem nawet, jak się tu znalazłem, kim jestem, jak się nazywam. Chyba... Powinienem być tym przerażony?

– A nie jest pan?

– Nie, już raczej... Rozbawiony w jakiś sposób.

– To również przez leki. Nie mogłem dopuścić, żeby wpadł pan w panikę. Pewnie czasem w trakcie naszej rozmowy będzie się panu chciało śmiać, ale proszę się nie krępować. Nawet jeśli śmiech będzie niestosowny, nie ma problemu. Jesteśmy tu tylko my dwaj. I jest pan pod dobrą opieką.

– Pana?

– Powiem nieskromnie, że tak. Coś nie w porządku?

– Sorry, sorry, wiem, że nie powinienem się śmiać.

– Nie ma sprawy. Mówiłem panu, proszę się nie krępować.

– Jest pan dobry? Mówię o kompeten...  
– Hmm, niektórzy twierdzą, że najlepszy w tym kraju.



- Kto tak twierdzi?
- Pacjenci, który pomogłem. Także koledzy po fachu, oczywiście nie wszyscy. Zdarza się, że podsyłają mi najtrudniejsze przypadki, z którymi nie mogą sobie dać rady.
- Kiedyś panu nie wyszło? Nie dało się komuś pomóc?
- Czemu pana to tak interesuje?
- A jak pan myśli?
- Rozumiem. Cóż, powiem tak: zrobię wszystko, żeby nie został pan takim przypadkiem, co pan na to?
- Niech się pan stara.
- Ależ będę, zapewniam. Zresztą jak zawsze.
- Byłem tu już?
- A to miejsce wydaje się panu znajome?
- Nie. I chyba pamiętałbym ten zegar, tak myślę. A byłem?
- Nie, nie był pan. Jest pan tu po raz pierwszy. Wczoraj przywieziono pana do kliniki w bardzo złym stanie. Czemu mi się pan tak przygląda?
- Bo już kilka razy wydawało mi się, że znam kogoś podobnego do pana. Tylko nie pamiętam, kto to...
- To raczej na pewno wrażenie, a nie wspomnienie, ale nawet jeśli, to przypomni pan sobie, spokojnie. Po to tu jesteśmy, i pan, i ja. Razem z tego wyjdziemy. To co, zaczynamy?
- Proszę bardzo. A mogę się napić?
- Oczywiście, ta woda jest pańska. Niegazowana. Dobrze się pan czuje?
- Czuję się, jak... Rybicki.
- Proszę?
- Nazywam się Rybicki.
- A imię?
- Imię...
- Może zacznijmy od popularnych. Pierwsza litera M? Ma? Marek, Marcin, Maciej...
- Mariusz! Mariusz Rybicki!
- Brawo! Spokojnie, niech pan oddycha spokojnie, tak? Miarowo i głęboko. Już?
- Tak, już dobrze.
- Przypomniał pan sobie coś jeszcze?
- N-nie... Przepraszam...

– Nie ma pan za co przepraszać! Ale zrobił pan duży krok. To już coś! To jest właśnie początek. W wyniku skojarzenia z popularnym powiedzeniem przypomniał pan sobie bardzo istotną rzecz. A potem trochę panu pomogłem i przyszła następna. Stopniowo przypomni pan sobie wszystko.

– Jezu, co takiego musiało się stać, że zapomniałem wszystko? Wszystko!!!

– Dojdziemy do tego, tak? A teraz niech mi pan powie, co pan jeszcze pamięta.

– Mówiłem przed chwilą, że nic.

– Proszę się nie denerwować. To prawda, mówił pan. I nagle przypomniał pan sobie, jak się nazywa. Widzi pan? Czas. Minał jakiś czas, a pan sobie coś przypomniał. Ale nie mamy go dużo, dlatego niech się pan skupi i jeszcze raz zastanowi. Będę pana trochę męczył i zadawał to pytanie dość często. Co pan pamięta? Cokolwiek, urywki, oderwane zdarzenia, rzeczy pozornie bez znaczenia.

– Mogę zamknąć oczy?

– Może pan zrobić wszystko, co pomoże panu się skupić. Teraz przez chwilę nic nie będę mówił, a pan się ładnie postara. Proszę, zaczynamy.

## 4

Kiedy Marta odrobinę ochłonęła, Najder podał jej plastikowy kubek z wodą. Wypiła ją łapczywie, jak gdyby nie piła cały dzień, i tak się czuła: szumiało jej w głowie, a usta i gardło miała wyschnięte na wiór.

Potem przeszli do innego pokoju, piętro wyżej, gdzie na ścianie, wysoko, prawie pod sufitem zawieszono spory monitor. Na stole stał laptop, obok niego leżał niewielki pilot, Najder wziął go do ręki i skierował na monitor, a kiedy ten rozjarzył się na niebiesko, usiadł przed laptopem.

– Niech pani sobie usiądzie – zaproponował Marcie.

– Dziękuję, postoję, nasiedziałam się już – odparła oschle.

Policjant tylko pokiwał głową wciąż wpatrzony w laptop. Nagle Marta kątem oka zauważyła jakiś ruch. Na monitorze pojawił się obraz i serce jej zatrzepotało, kiedy zorientowała się, co na nim jest.

– Ściągnęliśmy nagranie z kamery monitoringu Lidla, wygląda na to, że na razie to jedyne źródło, jakie mamy do dyspozycji. Wysłałem patrol, żeby przeczesał jeszcze inne sklepy w sąsiedztwie, zobaczymy, co znajdą. Dobrze, tu jest moment, w którym pani przyjeżdża na parking. – Najder wskazał jej wiśniowego fiata doblo, który wpasowywał się właśnie w przerwę między samochodami.

Trzy sąsiadujące ze sobą miejsca były wolne, wybrała to skrajne, po lewej. Patrzyła, jak autko zatrzymuje się i przez jakiś czas nic się nie dzieje. Wtedy próbowała wyciągnąć Piotrka ze sobą. Zamknęła na chwilę oczy i pomyślała, że powinna była zrobić wszystko, żeby z nią poszedł. Naprawdę wszystko. Kiedy ponad dachem sąsiedniego samochodu pojawiła się jej głowa i ramiona, Najder powiedział:

– Proszę spojrzeć tu. – I pokazał na monitorze szarego vana, który przejechał za nimi.

– To ważne? – zapytała.

– Tak, zaraz pani zobaczy – mruknął, a jej zrobiło się lodowato.

– Pan widział już ten film, tak? – zapytała.

Policjant pokiwał w milczeniu głową.

– To dlatego tyle pana nie było.

Tym razem głowa Najdera pozostała w bezruchu, więc Marta odwróciła się w stronę monitora. Patrzyła teraz na siebie; drobną postać z burzą włosów, które z tej odległości i w tym świetle nie wyglądały na rude, a uwagę zwracała jedynie ich objętość. Kiedy odeszła w stronę drogerii, van, którego pokazał jej Najder, wrócił i powoli wtoczył się w przerwę między samochodami, zajmując oba wolne miejsca postojowe. Milczeli oboje: ona stojąc pod ekranem z podniesioną głową i wpatrując się w niego jak zaczarowana. Kątem oka rejestrowała, że Najder na nią zerka.

– Nie widać, żeby się coś działo. – Odwróciła głowę w stronę policjanta, puściła ramię i wskazała na monitor.

– Wiem, wszystko rozgrywa się między autami. Widać tylko, jak odsuwają się drzwi w vanie tuż po tym, jak pani odeszła.

– Gdzie pan to zobaczył?

– Widać tylko ich górną krawędź nad dachem pani auta. Kamera jest dość daleko i pod niekorzystnym kątem, jeśli chodzi akurat o tę perspektywę.

– Myśli pan, że on o tym wiedział?

– Nie sądzę. To pani wybrała miejsce do zaparkowania. A on skorzystał z okazji.

– Czyli wybrał mojego syna przypadkowo? Jak to się ma do waszej teorii, że wybiera tylko niepełnosprawne dzieci?

– Nie mamy wątpliwości, że musiał wiedzieć, że pani syn jest niepełnosprawny. Jeśli faktycznie porywa dzieci z niepełnosprawnością, to po prostu musiał to wiedzieć i nie ma innej opcji. Jeździł za wami, dopóki nie nadarzyła się okazja do uderzenia. To miałem na myśli, mówiąc „okazja”.

– Gdybym zaparkowała w innym miejscu... – wyszeptała.

– Nie może pani tak myśleć. Znalazłby inną sposobność. A jeśli nie, to pomógłby sobie, na przykład robiąc krzywdę pani.

– To się zdarzyło wcześniej? Że zrobił komuś krzywdę? Rodzicowi?

– Nie. Ale to nie ma znaczenia. Zawsze jest pierwszy raz.

Patrzyła na niemal nieruchomy obraz z kamery ze świadomością, że na parkingu właśnie rozgrywa się tragedia. Jej i jej syna. Bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści, Najder zauważył to.

– Kiedy wracałam z drogerii, przechodziłam obok i Piotrek jeszcze był w środku. – Jej głos był charkotem.

– Co robił? – zapytał spokojnie Najder.

– Siedział. Po prostu siedział.  
– A kiedy pani wysiadła z samochodu? Używał telefonu?  
– Skąd pan wie?  
– Też mam syna, nawet w podobnym wieku. A więc?  
– Tak, miał w rękach telefon. Nawet kiedy rozmawialiśmy wcześniej, to też w niego zerkał.

– A potem? – Najder leniwym ruchem wskazał monitor. – Kiedy pani wracała?

Skupiła się, a kiedy wspomnienie dotarło do niej, spojrzała na policjanta szeroko otwartymi oczami.

– Miał głowę opartą o zagłówek... – Poczowała, jak pod powiekami wzbierają jej łzy.

Gdyby zajrzała do środka, zorientowałaby się, że coś jest nie w porządku. Może nawet zobaczyłaby tego gnoja. Zaczęłaby krzyczeć, walczyć, zrobiłaby cokolwiek.

Najder widział, co się z nią dzieje, bo wstał i podszedł do niej z plastikowym kubkiem z wodą. Odmówiła i policjant odstawił go z powrotem na stół.

– Prawdopodobnie zapukał w szybę, zagadał i kiedy odwrócił tym jego uwagę, uspił go – powiedział.

– Jak?

– Nie wiem. Może użył jakiejś substancji w spreju, może przyłożył mu do twarzy nasączoną nią chusteczkę.

– A skąd pan wie, że nie uderzył go w głowę?

– W samochodzie nie było śladów krwi. Nie było, prawda? Koledzy już go oglądają, ale pani niczego takiego nie widziała, prawda?

– Nie, nie widziałam śladów krwi, ale to jeszcze niczego nie oznacza! Mógł go zabić na setki bezkrwawych sposobów!

– Proszę sobie nie dopowiadać najgorszych rzeczy. Gdyby chciał go zabić, nie trudziłby się tak. Nie ryzykował. Po co? Potrzebował pani syna żywego.

– Do czego go potrzebował?

– Tego też nie wiemy. Przykro mi.

Wzruszył lekko ramionami i wrócił na swoje miejsce za stołem.

– Jaki jest pani syn? – zapytał. – Jak zachowuje się w sytuacjach stresowych?

– Jest bardzo silny psychicznie – powiedziała z dumą w głosie. – Wyjątkowo. Nad wiek dojrzały. Został kaleką i opuścił go ojciec. Każdy na jego miejscu by się poddał. A on nie. On jest twardy...

– Po matce? – Najder spojrzał na nią uważnie.

– Po... – Urwała zaskoczona. – No, nie wiem, czy po mnie, ale na pewno nie po ojcu.

Wciągnął wargi i lekko pokiwał głową.

– Nie macie żadnych hipotez? – Marta wykorzystwała chwilę przerwy. – Po co został porwany? Na sprzedaż? Na organy? Czyjaś zemsta? Po co?

– Sprzedaż? – Brwi Najdera podjechały do góry. – Nie, to stary koń... Przepraszam, wie pani, o czym mówię... Jeśli chodzi z kolei o pozyskanie narządów do przeszczepu, to mocno wątpliwie. – Najder westchnął, jakby mówił to wbrew sobie. – Te dzieci są niepełnosprawne, może to nie jest totalna dyskwalifikacja, ale to po prostu nie ma sensu.

– A sprzedaż? Są ludzie, którzy świadomie adoptują niepełnosprawne dzieci.

– Adoptują, pani Marto...

– Może im nie chciano zezwolić na adopcję?

– I co, porwali sobie kilkoro i żyją, chwając się sąsiadom: patrzcie, jakie mamy dzieciaki?

Zamilkła i zagryzła dolną wargę.

– Zemsta?

– Tego naprawdę nie wiemy. Jeszcze. – Głos Najdera brzmiał teraz, jakby chciał sam siebie o tym przekonać.

– Chcę porozmawiać z rodzicami pozostałych dzieci – powiedziała nagle.

– Słucham?

– Chcę porozmawiać...

– To wykluczone – przerwał jej zdecydowanie. – Nie podamy pani ich danych.

– Dlaczego?

– Po co chce pani się z nimi kontaktować?

– Zapytać, jak to znoszą? Złączyć się w bólu? Pocieszyć się wzajemnie? – Popatrzyła na niego jak na wariata. – Uczucia. Wie pan, co to takiego? Czy już pan zapomniał? Podobno ma pan syna?

Najder odchylił się do tyłu i oparł, zakładając ręce za głowę.

– Niestety, nie mogę tego zrobić, nawet gdybym chciał. Takie są zasady.

– Kto je ustalił?

– Nie rozumiem pytania.

– Pytam, kto ustalił te zasady. Skoro ustalił, to pewnie jest również władny, żeby je zmienić. I ja chcę z tą osobą porozmawiać.

Najder roześmiał się cicho. Patrzyła, jak odwraca wzrok, świadomy, że ona może to odebrać jako afront. I tak zresztą było, ale nic nie powiedziała. Nie chciała walczyć, tylko coś uzyskać.

– To są ogólne zasady, jakie przyjęto w tego typu sprawach – powiedział policjant. – Nie mogę wskazać osoby, o którą pani chodzi. I nie mogę udzielić pani informacji na temat rodziców pozostałych... – Urwał, a ona była pewna, że chciał powiedzieć „ofiar”, tylko w ostatniej chwili ugryzł się w język. – Przykro mi.

– Kto szuka mojego syna i reszty dzieci? – zapytała. – Pan?

– Tak.

– Sam?

– Nie, nie sam. W komendzie wojewódzkiej został powołany zespół celowy, mający za zadanie wyjaśnić tę sprawę. Jestem jego szefem.

– Ilu was jest?

– Po co pani taka informacja?

– A jak pan myśli? – Znów spojrzała kpiąco na Najdera.

– Jest nas wystarczająco dużo. Nie tłum, ale mamy rozdzielone między siebie zadania i je wykonujemy.

– Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć, ilu was jest w tym zespole? – naciskała.

– Po pierwsze, to pani nic nie da...

– Da. – Przerwała mu. – Da nadzieję, że traktujecie to serio.

– Traktujemy. – Najder wyprostował się na krześle i zrobił minę, jakby go uraziła. – Takie informacje nie powinny wydostawać się na zewnątrz, rozumie pani? Czy nie? – Spojrzał na nią poważnie.

Zamilkła. Miał rację, zrozumiała to teraz.

– Chcę wiedzieć od razu, jeśli tylko pojawią się jakieś nowe informacje w tej sprawie, rozumie pan? – powiedziała cicho z opuszczoną głową. – Rozumie pan samotną matkę, która być może straciła właśnie jedynego syna?

– Tak – odparł poważnie. – A teraz poproszę panią o przesłanie mailem aktualnego zdjęcia syna i kontaktów do jego najbliższych kolegów.

Wstał z krzesła, jakby dawał jej sygnał, że spotkanie jest skończone i być może tak właśnie było.

– Rozumiem panią i obiecuję, że dam znać – dodał jeszcze, jakby chciał ją uspokoić.

Mimo to wyszła z komendy wściekła, przekonana, że jeśli nie zrobi czegoś sama, to nikt za nią tego nie zrobi. Miała tak przez całe życie, i taka postawa chyba nawet pomagała jej przez nie iść; przecie wbrew przeciwnościom losu. A ten nie oszczędzał jej. Nieudane małżeństwo, a właściwie nieudany mąż. Śmierć rodziców, kiedy na nich najbardziej liczyła: na ich wsparcie, na ich pomoc, gdy urodził się syn, a potem zaczął chorować. Potem wypadek Piotrka i teraz to... Ile jeszcze była w stanie znieść? Wsiadając do samochodu, doszła do wniosku, że nie jest to czas ani na takie pytania, ani tym bardziej na szukanie na nie odpowiedzi. Musiała się skupić na tym, co naprawdę ważne. Na Piotrku. On był sensem jej życia, a nie to, co minęło. Był jej jedynym sensem.

Jadąc do domu, uspokoiła się trochę i postanowiła, że zaufa policjantom. Prawie zaczęła wierzyć, że mogą odnaleźć Piotrka, żywego, ale po powrocie, kiedy trochę ochłonęła, wiara jednak trochę osłabła, choć nie zgasła całkiem. Przez następne kilkanaście minut nie mogła sobie znaleźć miejsca. Niepokój, wzrastający momentami do potwornego strachu, nie pozwalał jej skupić się na niczym, więc chodziła po mieszkaniu jak tygrys w klatce: od okna do okna i wyglądała bezmyślnie to na ulicę, to na oficyny otaczające wewnętrzne podwórko. Myślami była daleko, sama nie wiedziała gdzie, tak jak nie miała pojęcia, gdzie jest Piotrek. W pewnym momencie, stojąc oparta o grzejnik ze wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę kamienicy, poczuła, że żal, strach, bezradność wzbierają w niej i podchodzą do gardła, szukając ujścia w płaczu. Nie pozwoliła sobie na łzy. Zagryzła wargi, zacisnęła pięści i zaczęła rytmicznie uderzać nimi w drewniany parapet, czując jego drzenie za każdym, coraz mocniejszym ciosem. Potem odetchnęła, otarła powieki, bo kilka łez wydostało się jednak na zewnątrz, i przeszła do lustra. Oceniała straty w makijażu, knykciem starła rozmazany tusz i nagle coś wpadło jej do głowy. Poszła do pokoju syna i stanęła niezdecydowanie przy biurku. Nie było przy nim krzesła jak przy innych biurkach w innych domach. Było tylko sporo miejsca na wózek. Marta nie wniosła go na górę, został w samochodzie. Nie chciała, żeby swoim widokiem rozrywał jej serce, ale kiedy teraz patrzyła na to puste miejsce, zaczęła żałować, że tego nie zrobiła. Już chyba wolałaby pusty wózek... Nie zeszła jednak do auta, tylko przysunęła sobie



taboret, na którym zwykle siadali koledzy Piotrka. Przycupnęła na skraju i oparła łokcie o blat biurka.

Na nim leżał laptop Piotrka. Zamknięty, ale włączony, o czym świadczyła świecąca na korpusie diodka. Marta uniosła klapę, kliknęła klawisz spacji i ekran się rozjarzył. Znała hasło, zresztą bardzo proste, bo Piotrek pozwalał jej korzystać ze swojego komputera, a ona zdawała sobie sprawę, że to, czego nie powinna oglądać, jest dobrze ukryte. Ale to jej nie interesowało, wiedziała, że chłopaki w jego wieku muszą mieć swoje tajemnice. Ona też w jego wieku miała, chociaż nie była chłopakiem, tylko wyszczekaną rudą małpą, która nie pozwalała, żeby ktoś jej podskakiwał.

Weszła w historię przeglądania stron, ale ta była wyczyszczona, co jej nawet nie dziwiło. W innej sytuacji nawet nie przyszłoby jej do głowy, żeby to sprawdzać, a teraz właściwie też zrobiła to raczej machinalnie i bezwiednie. Efekt był i tak żaden. Wpatrywała się w monitor szklanym wzrokiem i czuła, że zaraz rozpadnie się na kawałki.

## 5

Przez następne dwa tygodnie Marta Sygit żyła jak w transie. Prozaiczne czynności, takie jak mycie się, sprzątanie czy gotowanie, którym poświęcała zawsze tylko tyle uwagi, ile wymagały, by wykonać je dobrze, urosły do rangi celebracji. Teraz pochłaniały ją całą, bo skupiając się na nich maksymalnie, mogła chociaż na chwilę zapomnieć o tym, co się stało. Odmówiła przyjmowania leków, które miały poprawić jej nastrój, bo swoje już wzięła po wypadku, i Piotrek też, więc pomyślała, że zrobi dokładnie to, co on kiedyś: powie im „nie”. I poradził sobie, więc uznała, że ona też sobie poradzi. Zamroziła się. Robiła wszystko, żeby tylko o nim nie myśleć. Zmuszała się, ale robiła. Dalej robiła zakupy w Lidlu, dalej codziennie jeździła do pracy w sklepie budowlanym w Policach, aż wreszcie szef zawołał ją do swojej kanciapy, posadził przed sobą i powiedział:

– Marta, do niczego się teraz nie nadajesz. Weź urlop, to ci dobrze zrobi. Popatrzyła na niego ciężkim wzrokiem.

– Tylko robota trzyma mnie w pionie, Robert.

Zagryzł usta i spojrzął gdzieś w bok.

– Zdaję sobie sprawę, tylko... Ty nie wykonujesz jej dobrze, bo jesteś myślami gdzie indziej. Klienci mi to mówią, Witek z „Sanitechu” ma w plecy duże zlecenie, bo wcisnęłaś mu nie takie wężyki...

– Czemu sam nie sprawdził? – zachnęła się.

– Dlatego że ciebie nigdy wcześniej nie trzeba było sprawdzać? – Robert popatrzył na nią z ukosa. – Nie zrozum mnie źle, przykro mi z powodu twojej tragedii, przecież wiesz, do cholery przyjaźnimy się nie od dziś, ale nie mogę sobie na coś takiego pozwolić, rozumiesz?

Pokiwała głową.

– Rozumiem, Robert.

I naprawdę to rozumiała.

– Weź urlop, masz go trochę, jeszcze zaległego, jeśli będziesz potrzebować więcej czasu, też żaden problem. Dojdiesz do siebie, to wrócisz, a ja cię przyjmę z otwartymi rękoma, masz na to moje słowo.

Znajdź sobie aktywność, nie siedź tylko w domu, dobra? I gdybyś czegoś potrzebowała...

Pomyślała, że właśnie pozbawia ją tego, czego potrzebuje, ale tylko westchnęła i wstała z krzeselka. Nie mogła pozwolić, żeby inni cierpieli z nią, choć nie byli niczemu winni.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się słabo do szefa. – Tak zrobię. Znajdę sobie coś do roboty i przeczekaam najgorsze.

– Może coś się w tym czasie ruszy w sprawie Piotrka?

Znów pokiwała głową.

– Lece, dzięki – mruknęła.

– Dzwon jakby co, okej?

– Jasne. – Machnęła ręką na pożegnanie i wyszła z biura.

Przeszła przez sklep, zabrała kurtkę i skierowała się do samochodu. Wyjechała z placu na ulicę, ale kilkaset metrów dalej zjechała na pobocze i zatrzymała auto, zastanawiając się, dokąd ma jechać i po co. Minęły dwa tygodnie od porwania. Nie miała żadnych informacji, co policja robi w sprawie Piotrka i innych dzieci, nie mogła ich wydebić od Najdera, który albo nie odbierał od niej telefonu, albo zbywał ją półsłówkami. A może nie zbywał, tylko po prostu nie miał nic nowego do powiedzenia? Nagle wezbrała w niej fala płaczu. Nie potrafiła się opanować, nie tym razem, chyba za dużo się w niej nazbierało. Łzy zaczęły spływać potokiem po policzkach, nie nadążała ich wycierać, a szloch wstrząsał ramionami. Kiedy wreszcie się opanowała, siedziała jeszcze z kwadrans z czołem opartym o kierownicę, zakryta włosami i najpierw nie myślała o niczym, a potem o tym, co dalej.

Co ma dalej robić?

Siedzieć na tyłku w domu, oglądać telewizję i czekać, aż minie kolejny dzień, żeby znów zadzwonić do Najdera i denerwować się, że nie odbiera? Czytać książkę i znowu uświadamiać sobie po przewróceniu kilkunastu stron, że nie wie, o czym czyta? Nagle, pod wpływem impulsu, przekreśliła kluczyk w stacyjce i ruszyła. W środku dnia ruch był mały, więc dojechała do Szczecina w miarę szybko. Zaparkowała pod kamienicą, w której mieszkała, wysiadła i przeszła przez ulicę, kierując się do szkoły, do której chodził Piotrek. Była niemal naprzeciwko.

Usiadła na ławce przed wejściem i zerknęła na zegarek. Był wtorek, pamiętała, że za jakąś godzinę klasa Piotrka powinna kończyć lekcje, miała więc jeszcze chwilę. Wystawiła twarz do słońca, starając się nim cieszyć.

Była zadowolona, że coś wymyśliła. Może nie było to odkrycie na miarę wynalezienia koła, ale przynajmniej zajmie się czymś przez chwilę i to czymś, co mogło przynieść jakieś efekty.

Bo najgorzej było nic nie robić.

Czekała na kogoś z kolegów Piotrka. Czekała z nadzieją, choć ta nie była zbyt duża, ale musiała się czegoś złapać, przynajmniej na początek. Pomyślała, że może widzieli, że ktoś kręci się przy nim. A może widzieli, że zachowuje się jakoś inaczej, że poznał kogoś. Pytania Najdera wciąż huczały jej w głowie, wciąż zastanawiała się, czy syn miał jednak przed nią jakieś tajemnice. Nagle drzwi otworzyły się i ze szkoły zaczęły wychodzić dzieciaki. Skanowała je wzrokiem, skupiając się na tych najwyższych i z rozgadane go tłumku wyłowiła nagle Staśka, najlepszego kumpla Piotrka. Poderwała się z ławki i szybkim krokiem ruszyła ku wejściu do szkoły. Chłopak przystanął i zaczął wtykać sobie w uszy słuchawki, w drugiej ręce trzymając telefon.

Marta uświadomiła sobie, że nie ma żadnego planu rozmowy, tylko ogólnie wie, o co chce pytać, a nastolatki są bardzo wrażliwe na punkcie swojej rodzącej się autonomii i każde wtrącanie się w ich życie traktują jak próbę jej kwestionowania. Miała nadzieję, że najlepszy kumpel Piotrka zachowa się wobec niej w porządku.

– Cześć, Stasiu. – Stała przed nim.

Miała słońce za plecami, była niska, więc chłopak zmrużył oczy i chwilę trwało, zanim zorientował się, z kim ma do czynienia.

– O, dzień dobry.

– Możemy chwilę porozmawiać?

– Jasne. – Wyciągnął słuchawki z uszu i schował do kieszeni kurtki, a potem poprawił czapkę.

– Szczerze?

– No...

– Chodzi o Piotrka.

– No, ja wiem... – Chłopak pociągnął lekko nosem. – Domyślam się.

– Nie chcę wyciągać z ciebie żadnych waszych sekretów. Wiesz, że dawałam mu sporo swobody i miałam do niego zaufanie.

– Ta, mówił, że pani jest spoko. Zresztą ja też to widzę. – Spuścił wzrok.

– Ale muszę cię spytać o kilka rzeczy, okej?

– N-no... My nie robimy nic złego. Już to mówiłem glinom.

– Wiem, nie mówię, że robicie, przecież znam swojego syna... – Przez głowę znów przemknęła jej myśl, że może nie do końca tak jest. – Chodzi mi na przykład o to, czy nie poznaliście ostatnio jakichś dziwnych ludzi. Albo on nie poznał i ci o tym powiedział? Przez internet albo w szkole?

– N-nie, raczej nie. Wiedziałbym coś o tym.

– Wiedziałbyś? – Pochyliła się, poszukała jego spojrzenia i popatrzyła mu głęboko w oczy.

Nie uciekł wzrokiem.

– Tak – odparł. – Na pewno coś bym wiedział. Na bank. Powiedziałyby mi. Mnie na pewno.

– Nie mieliście ostatnio jakichś dziwnych przygód?

– Jakich na przykład?

– Nie wiem... Jakichś scysji z ludźmi z innej szkoły, zatargów?

– Czyli że ktoś się przypieprzał do nas, tak?

– No... Tak, coś w tym stylu.

– Nie. Piotrek był... To znaczy: jest spoko koleś, bezkonfliktowy, nie? Poza tym jeździ na wózkach, więc do niego też raczej ludzie na spokojnie. – Chłopak pokręcił głową. – Nic się nie działo.

– Nagrywacie jakieś filmiki?

– To znaczy? – Przysięgłaby, że Stasiak spłoszył się lekko.

– Czy nagrywacie coś i wrzucacie do sieci?

– Tylko wygłupy z deski. Na TikToka. Nic nielegalnego!

Pamiętała, że te kilka lat temu przeszkadzało jej trochę, kiedy Piotrek zniknął na kilka godzin i spotykał się z kolegami w skateparku, gdzie ćwiczyli triki na deskach i hulajnogach i głośno słuchali hip-hopu. Ale że dobrze się uczył, nie traktowała tego jak wyroku losu, który wtrąci jej syna w odmęty nieróbstwa i bezrefleksyjnego luzu, skutkującego brakiem sensownej przyszłości w życiu. Wyszaleje się, mówił Mariusz, a potem był wypadek, Mariusz zniknął i to ona prawie oszalała. Kiedy Piotrek się pozbierał i ona też, zajął się koszykówką na wózkach, ale dalej jeździł do skateparku popatrzeć, jak szaleją jego kumple. Sztuczki były coraz bardziej karkołomne, muzyka coraz głośniejsza i z coraz większą ilością bluzgów, pojawiały się blanty i papierosy, ale ona ufała synowi, choć często obawiała się, że stanie się coś złego.

Zagrozenie przyszło jednak z zupełnie innej, najmniej oczekiwanej strony.

Nie, nie najmniej oczekiwanej. Takiego czegoś nie dało się w ogóle przewidzieć.

– Czy miał dziewczynę?

– To pani nie wie?

– A miał?

– No, nie, ale...

– To wiem. – Odetchnęła z ulgą i sama nie miała pojęcia dlaczego z ulgą.

– Myślałam, że może mi o czymś nie powiedział.

– Raczej nie. – Stasiak spuścił nagle głowę, a jej serce niemal stanęło w piersi.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytała resztką tchu.

– Nee, tylko... No, on chyba bardzo panią... No, kocha, no. Ja ze swoją matką nie mam takiego kontaktu, więc chyba... Nie ukryłyby przed panią niczego. Tak myślę. – Podniósł głowę i spojrzał jej w twarz, lekko przekrzywiając głowę, co wyglądało trochę, jakby z niej kpił, ale mimo to wzięła jego słowa za dobrą monetę.

Poczuła tylko, że zaraz się rozpłacze.

– Dzięki – powiedziała przez ściśnięte gardło.

– No, nie ma problemu. – Chłopak poprawił czapkę. – Wie pani, ja mam nadzieję, że on wróci. Naprawdę nie wiem, dlaczego uciekł i po co, skoro miał w chacie tak dobrze, pomijając oczywiście, nooo...

Dopiero teraz Marta uświadomiła sobie, że Stasiak nie zna całej prawdy. Zadawała mu pytania, szukając w jego odpowiedziach zapowiedzi przyszłych zdarzeń: porwania, a on odpowiadał, nie wiedząc, co się stało. Wyglądało na to, że policjanci nie powiedzieli mu, o co chodzi, choć zapewne zadawali podobne pytania jak ona. Mimo to odpowiedzi były takie same. A najgorsze, że nic nie wносиły do sprawy.

Rozmowy z kilkoma innymi kolegami Piotrka, których numery zdążyła wynotować wcześniej z jego telefonu, zanim zabrała go policja, były w zasadzie powtórzeniem tej pierwszej, ze Staśkiem. Może nie tymi samymi słowami, ale sens był podobny, a efekt w zasadzie identyczny: nie dostała żadnej informacji, która mogłaby ją do czegoś doprowadzić. Oczywiście, mogło być tak, że porwanie, mimo hipotez policji o uprzednim śledzeniu ich zwyczajów i upatrzeniu sobie Piotrka, było aktem nagłym i nic go nie zapowiadało, ale te rozmowy ani tego nie potwierdzały, ani temu nie zaprzeczały. Wciąż nic nie miała.

Ciągle błądziła po omacku, a nawet nie błądziła, tylko stała w miejscu, a myśl, że być może policja jest w dokładnie takiej samej sytuacji, doprowadzała ją niemal do obłędu. Zastanawiała się, czy Najder, tak jak deklarował, faktycznie bardzo przejął się tą sprawą i co teraz robi. Pewnie wymyśla, jak innymi słowami powiedzieć to, co zwykle.

Bo ona nie mogła zrobić już chyba niczego, mimo że bardzo chciała.

Siedząc wieczorem w ciemnym, upiornie cichym mieszkaniu, rozmyślała o mijającym dniu; kolejnym bez Piotrka i kolejnym bez wieści o nim. Wyglądało na to, że ma słabszy dzień: była ospała, zniechęcona, bliska wpadnięcia w czarną rozpacz. Otrząsnęła się trochę, kiedy stojąc w otwartym oknie, zaczęła się zastanawiać, czy to, o czym myśli, boli bardziej niż odebranie jedyne dziecko. Nie mogła sobie na to pozwolić. Jeszcze nie.

I wtedy do głowy przyszła jej pewna myśl, która zaskoczyła ją samą. Prawie parsknęła śmiechem, ale ponieważ w ogóle nie było jej do śmiechu, od razu spoważniała. Nie zwlekając, usiadła do komputera i od razu znalazła to, czego szukała, co zresztą nie było zbyt skomplikowane. Patrząc na zdjęcie skupionego człowieka siedzącego za biurkiem z zamkniętymi oczami, trzymającego się za nasadę nosa, zastanawiała się, czy jej do reszty nie odwaliło. A zaraz potem, czy jednak nie jest dla siebie zbyt surowa.

Była osobą racjonalną do bólu, ale właśnie okazało się, że kiedy gaśnie ostatnia nadzieja, człowiek chwyta się wszystkiego, byle tylko nie pozwolić jej zgasnąć. Wpatrywała się jeszcze przez chwilę w zdjęcie na stronie internetowej i nagle podjęła decyzję. Wzięła do ręki komórkę i pośpiesznie wybrała widniejący w zakładce „kontakt” numer telefonu, jak gdyby bała się, że każda chwila zwłoki lub zawahania odwiedzie ją od tej decyzji. Słuchając sygnału, czuła, jak wali jej serce; wciąż wpatrywała się w monitor i powoli zaczynała się przekonywać do swojego pomysłu. Wątpliwości zniknęły powoli zalane falą nadziei, którą spowodowało to, co widziała.

Kiedy w telefonie usłyszała nagle czyjś głos, jej serce prawie się zatrzymało.

– Adam Bogucki, słucham...

## 6

Adam Bogucki, jasnowidz z Chełmży. Kilkaset odnalezionych zaginionych osób. Część żywych, część martwych. Udokumentowana i oficjalna współpraca z organami ścigania – prokuraturami i jednostkami policji. Podziękowania w formie urzędowych pism i pisanych odręcznie listów. Wizje dotyczące przyszłych wydarzeń w polityce i gospodarce, zarówno krajowej, jak i zagranicznej. Potwierdzenia trafnych przepowiedni. Linki do codziennych transmisji na kanale YouTube. Skany ze stron gazet i czasopism; artykułów o sukcesach jasnowidza z Chełmży. Marta miała go teraz na linii i nie wiedziała, od czego zacząć. Pomyślała tylko, że jego głos, zaskakująco wysoki i jednocześnie lekko chropawy, jest taki zwyczajny.

– Dzień dobry – wyjąkała.

– Dobry wieczór. W jakiej sprawie pani do mnie dzwoni?

Przyszło jej do głowy, że to idiotyczne pytanie jak na jasnowidza, ale nie skomentowała. Może jasnowidzenie nie jest jego jedynym zajęciem, a ona o tym po prostu nie wie. Wciąż jeszcze walczyła ze sobą, bijąc się z myślami. A potem uświadomiła sobie, która jest godzina.

– Chodzi o zaginięcie syna.

– Ile lat ma syn?

– Piętnaście.

– Gdzie pani mieszka?

– W Szczecinie.

Zapadła chwila ciszy. Pocieszało ją, że pytania zadawane były rzeczowym tonem.

– Hmm... Poda mi pani ogólne okoliczności zniknięcia?

Zamknęła oczy. Znów musiała wrócić do tych chwil, ale też cieszyła się, że Bogucki nie zaczął jej tłumaczyć, że jeszcze za wcześnie i tak dalej, jak gliniarze na komendzie. No, ale miał w tym interes. Złapała się na tym, że jej myśli biegną teraz dwoma torami: jeden to Piotrek, a drugi był analizą zjawiska „jasnowidz Adam Bogucki”.



Powiedziała Boguckiemu pokrótce, o co chodzi. Milczał przez chwilę, słyszała w telefonie jego lekko świszczący oddech, w pewnej chwili zdawało jej się, że słyszy delikatne cmoknięcie ust odrywających się od filtra papierosa.

– Pomogę pani, oczywiście, tylko że potrzebowałbym czegoś, co należało do syna.

– Czyli musimy spotkać się osobiście?

– Tak, tak byłoby najlepiej. Przyjmuję głównie w Chełmży, ale co weekend jestem na wyjeździe. Co drugi w Warszawie, na zmianę z Katowicami. Dla pani chyba najwygodniej do mnie, do Chełmży?

– Tak. – Marta zaczęła zastanawiać się, jak dźwignie to jej budżet, ale myśl uleciała ułamek sekundy po tym, jak się pojawiła. – Oczywiście, przyjadę jak najszybciej.

– Zapraszam. – Znowu chwila świszczącego oddechu. – Proszę wziąć jakąś rzecz, która była ważna dla Piotra. Osobista. Ulubiona płyta...

– Słucha muzyki ze Spotify.

– W porządku, to jakiś inny przedmiot, który był dla niego ważny.

– Jest ważny, a nie był – wyrwało jej się.

– Racja, przepraszam. Jest ważny. Kiedy pani chce przyjechać?

– Jak najszybciej.

– Jutro?

– Tak, chętnie.

– W takim razie zapraszam na czternastą. Aha, jak pani się nazywa?

– Marta Sygit.

– Dobrze, zapisane. A więc do jutra, pani Marto.

– Do zobaczenia – szepnęła tylko i rozłączyła się.

Poczuła, że z emocji spociała się pod pachami. Odlepiła mokre miejsca koszulki od ciała i zapatrzyła się w okno.

Nie chciała się na nic nastawiać. Po prostu zrobiła to, co należało zrobić w takiej sytuacji: wykorzystać wszelkie możliwości. Tak jak beznadziejnie chorzy chwytają się wszystkich możliwych i niemożliwych sposobów na wyleczenie: profesorów, znachorów, soków z buraka i niesprawdzonych terapii oferowanych przez szemrane firmy medyczne. Nie wiedziała, jaki będzie skutek, ale wiedziała, że gdyby nie wykorzystała choć jednej szansy, mogłaby sobie kiedyś tego nie wybaczyć.

Następnego dnia rano wyruszyła do Chełmży. Nawigacja pokazywała, że jest w stanie pokonać trasę w cztery i pół godziny, ale wołała nie

ryzykować i wziąć poprawkę na nieprzewidziane okoliczności. Była piękna pogoda, ale jej to nie cieszyło: słońce świeciło jej w twarz, poza tym ostatnio nic jej nie cieszyło, czemu trudno się było dziwić. Jechała spokojnie, swoim tempem, pozwalając się wyprzedzać, skupiona na drodze, choć myślami wędrowały wciąż ku Piotrkowi. Dotarła bez przygód. Na miejscu, na ulicy Traugutta, była pół godziny przed czasem. Zaparkowała przed domem Boguckiego, jedną z dziesiątek poustawianych karnie wzdłuż ulicy identycznych betonowych kostek, wolno stojących albo pozlepianych w bliźniaki. Ta, w której mieszkał jasnowidz, wyróżniała się nieco spośród pozostałych kolorem niedawno ocieplonej elewacji. Można go było nazwać ekstrawaganckim.

Marta czekała przed domem w aucie, wpatrując się w okna, i co jakiś czas sprawdzała godzinę. Wciąż do końca nie mogła uwierzyć, że tu jest, choć nadzieja dodawała jej otuchy. O trzynastej pięćdziesiąt osiem wzięła z siedzenia plecaczek, wysiadła z fiata i ruszyła ku drzwiom na miękkich nogach. Chwilę później otworzyły się i zobaczyła w nich Boguckiego.

Widziała go wcześniej na filmach, które obejrzała na jego kanale na YouTubie, ale na żywo wyglądał odrobinę inaczej. Może to kwestia światła, może kamery, w każdym razie teraz robił wrażenie nieco wyniosłego. Twarz pokryta siatką niezbyt głębokich zmarszczek nie wyrażała żadnych emocji, była nieruchoma jak u manekina. Niemal białe, sztywne włosy były krótkie i niesforne, sterczały lekko na boki jak w znoszonej peruce, choć nie miała wątpliwości, że są prawdziwe. Dziwnego wrażenia dopełniały idealnie równe zęby i spoglądające badawczo ciemne oczy. Bogucki był niski, niższy od niej, ubrany w jasnoszary golf opięty na szczupłym tułowiu bez grama tłuszczu i ciemne spodnie z zaprasowanym kantem. Odsunął się od drzwi i bez słowa wpuścił ją do środka. Kiedy zamknął za nią, otoczyła ją ciemność i poczuła woń cynamonowych ciasteczek. Poszła przed siebie, czując za plecami obecność jasnowidza, a kiedy znaleźli się w głębi domu, przemknął obok niej i otworzył kolejne drzwi, prowadzące do pokoju. Wszystkie inne w korytarzyku były pozamykane. Z lekkim wahaniem weszła do środka i rozejrzała się. Pomieszczenie było niemal puste i wyglądało jak gabinet psychoterapeuty, który odwiedzała po wypadku Piotrka i odejściu Mariusza. Okno wychodziło na zadbane ogród i trawnik, na którym zobaczyła trampolinę. Pod nim stało biurko z krzesłem, a pod ścianą kanapa, i na tym kończył się wystrój wnętrza. Żadnych osobistych rzeczy, zdjęć czy obrazów na ścianach.

– Nie chcę, żeby cokolwiek mnie rozpraszało. – Bogucki uśmiechnął się lekko, widząc, jak rozgląda się po pokoju.

– Faktycznie, potrafi pan czytać w myślach – bąknęła, chyba tylko po to, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Nie. – Pokręcił głową. – Tylko obserwować.

– Uhm – mruknęła.

Bogucki wskazał jej kanapę, sam usiadł przy biurku i odwrócił się w jej stronę, pochylił się lekko i oparł przedramiona na udach. Nikły, uspokajający uśmiech ukazał te równiutkie zęby, aż Marta pomyślała, ile mogły kosztować. Ona sama z oszczędności leczyła się w szpitalnej klinice, pozwalając, by w jej ustach grzebali studenci pod kierunkiem stomatologów.

– Ma pani to? – zapytał.

Sięgnęła do plecaczka i wyciągnęła ulubioną bluzę Piotrka. Podała mu ją z lekkim wahaniem, czując, jakby miała ją zaraz bezpowrotnie stracić. Była przesiąknięta zapachem syna, wyjęła ją z kosza na pranie.

Bogucki wziął ją i położył sobie na kolanach. Przyjrzał się czaszce Punishera, potem zaczął przebierać palcami po materiale, jakby zbierał jego kolejne fałdy. Twarz napięła się, gałki oczne ruszały się pod zamkniętymi powiekami jak w fazie REM niespokojnego snu, a ona patrzyła na to, zastanawiając się, czy to teatrzyk na jej użytek, czy autentyczny wysiłek umysłowy. Miała nadzieję, że to drugie.

– Żyje. – Bogucki otworzył oczy i spojrzał na nią. – Żyje i nie jest sam. Jest mu źle. Cierpi. Ale żyje. To miejsce jest ciemne. Nie jest za granicą, jest w Polsce, nie wiem, nie czuję, gdzie dokładnie, ale jestem pewien, że w kraju.

Wyciągnął rękę z bluzą w jej stronę, więc machinalnie sięgnęła po nią, wzięła i przytuliła do piersi.

– To wszystko? – wyjąkała.

– Tak. – Bogucki uśmiechnął się przeproszająco. – Nie wiem, czego się pani spodziewała, chociaż udzieliłem przecież na wstępie wszystkich informacji, no, ale tak to wygląda. Proszę chwilę poczekać, otrzyma pani wizję na piśmie.

Zdębiała. Dosłownie chwilę później do pokoju weszła jakaś kobieta, trzymająca kartkę papieru formatu A5. Podała ją Boguckiemu i wyszła tak samo cicho, jak weszła. Został po niej tylko słodkawy zapach perfum.

– To moja żona – wyjaśnił Bogucki, patrząc na nią spod brwi. – Teraz proszę to pokazać policji, może skorzystają, a może nie. Może też pani działać sama, a nawet powinna.

Poczuła się jak u lekarza, który pełen złych podejrzeń zlecił pełny zestaw badań, obejrzał wyniki, a następnie powiedział: jest, jak jest, nic nie zrobimy. Nie wiedziała, co dokładnie ma na myśli i jakoś nie kwapił się do dalszych wyjaśnień.

– Ale...

– Wszystko tu jest. To wizja, rozumie pani? Obrazy z głowy. Nie mogę ich interpretować. Tu jest wszystko, co widziałem, reszta należy do policji. I do pani.

– Rozumiem – wyszeptała, chociaż to nie była do końca prawda.

– Pięćset złotych. Jeżeli pani chce, mogę wystawić fakturę.

Patrzył jej w twarz i dopiero po chwili do Marty dotarło, co powiedział. Na ułamek sekundy stężyły jej wszystkie mięśnie: nie była przygotowana na taką sumę. Może miała tyle w portfelu, ale to nie oznaczało, że łatwo się jej pozbyć.

– Muszę z czegoś żyć.

Uświadomiła sobie, że Bogucki powtarza to pewnie wielu osobom, takim samym jak ona ludziom przybyłym tu w akcie desperacji.

– Policji też pan wystawia faktury? – zapytała tylko.

– To tajemnica firmy.

Byłaby głupia, sądząc, że Bogucki robi to z pobudek altruistycznych. Fakt, musiał z czegoś żyć, ale kwotę uważała za przesadzoną. Była też pewna, że organy ścigania mają wizje gratis. Za to Bogucki mógł się pochwalić pismami od nich na swojej stronie. Reklama dźwignią handlu. I wszyscy są zadowoleni.

Wyszła na zewnątrz, na pełne słońce, które zamiast wlać w jej serce nadzieję, wkurzyło ją tylko. Podeszła do samochodu, zniechęcona i po prostu zmęczona. Szukając kluczyków w kieszeni kurtki, jeszcze raz przyjrzała się „wizji” i pokręciła ze zdumieniem głową.

– Kurwa, i co ja mam z tym zrobić? – wyszeptała do siebie.

Nagle coś przyszło jej do głowy i poczuła, że musi, po prostu musi to sprawdzić. Odwróciła się w stronę domu Boguckiego i ruszyła jak automat w jego stronę. Zadzwoiła do drzwi i czekała, aż jasnowidz otworzy, czując, jak niemal gotuje się w środku.

– Tak? – zapytał Bogucki, kiedy ją ujrzał.

– Zapomniałam o czymś – powiedziała zimno, patrząc mu w oczy. – Najder prosił, żebym pana pozdrowiła.

– A, dziękuję serce... – Urwał nagle.

– To nie fair – syknęła. – Tak się, kurwa, nie robi ludziom. Tak się nie robi matkom.

– Po prostu współpracowaliśmy już kiedyś – wymamrotał z kamienną twarzą.

– To czemu pan nie dokończył podziękowania? – Zmrużyła oczy, wiedząc, że wygląda teraz jak rozwścieczona kotka.

I tak miała wyglądać. Była też wściekła na samą siebie, bo powinna spaść na to wcześniej, choć składała to na karb zdenerwowania. Podczas pierwszej rozmowy z Boguckim, tej przez telefon, jasnowidz powiedział jej, żeby przywiozła ważną dla Piotrka rzecz. Tylko że ona opowiadając mu o okolicznościach zaginięcia syna, ani razu nie wymieniła jego imienia. A w aż takie zdolności prekognicji nie mogła uwierzyć.

– Nawet nie chodzi o pieniądze, panie jasnowidzu – powiedziała lodowatym tonem. – Chodzi o zmarnowany czas. I o nadzieję...

Bogucki patrzył na nią przez chwilę bez słowa, potem westchnął, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i po chwili wyciągnął ku niej rękę, w której tkwił zwitek banknotów; tych samych, które dała mu kilka minut wcześniej.

– Nie dostałem od nich nic, co było związane z pani synem, tylko suche informacje. Teraz miałem bluzę. Czasu pani niestety nie zwrócę, ale jeśli chodzi o nadzieję... – Przeniósł wzrok na kartkę, którą wciąż ścisnęła w dłoni. – Nadzieja ciągle jest. Tu, na tej kartce, takiej samej, jaką mają ci z komendy. To jest moja wizja. Proszę się nie poddawać. On żyje, rozumie pani? Żyje...

Wściekła wyrwała mu pieniądze z ręki, obróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w stronę ulicy. Wsiadła do auta, położyła kartkę na siedzeniu pasażera, pieniądze schowała do wewnętrznej kieszeni kurtki i zapatrzyła się przed siebie. Była skołowana. Jeszcze chwilę temu uboższa o pół tysiąca i nadzieję, teraz przynajmniej odzyskała pieniądze. Nadziei dalej nie miała. Westchnęła głęboko, ustawiła w telefonie trasę do domu, uruchomiła silnik i ruszyła z powrotem do Szczecina. Nie miała tu nic więcej do roboty.

Jadąc krajówką, już spokojniejsza, rozmyślała o dzisiejszym dniu. Skoro policja sięgnęła po pomoc jasnowidza, musiało być naprawdę źle. Ale też świadczyło to o tym, że chwytają się wszystkich możliwych sposobów, że

traktują sprawę serio. Co to wszystko oznaczało dla sprawy? Czy Bogucki w swoich wizjach sugerował się tym, co powiedzieli mu policjanci, czy policjanci czynili założenia, opierając się na jego wizji? Jak bardzo jedno zależało od drugiego? I czy to w ogóle miało sens? A jeśli nie miało sensu, to co ona robiła w tym miejscu?

W okolicach Piły miała już wszystko mniej więcej poukładane. Wizyta w Chełmży uświadomiła jej tylko jedno i pośrednio potwierdził to dziś jasnowidz, wspominając, do kogo należy reszta: jeśli chciała odnaleźć syna, była zdana wyłącznie na siebie.

Marta Sygit była jedyną osobą, na którą mogła liczyć.

## 7

– Która jest godzina, panie doktorze?

– To nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma. A ten cholerny, nieruchomy jak trup zegar tylko mnie wkurwia.

– W porządku, jest... Czternasta, dokładnie za trzy minuty czternasta. Jak pan się czuje?

– Chujowo.

– A precyzyjnie?

– Bardzo chujowo.

– Poproszę jednak o bardziej opisowe określenia. A najlepiej w skali od jednego do dziesięciu, gdzie jeden to bardzo źle, a dziesięć to świetnie. Tak będzie chyba najrozsądniej. Więc?

– Jeden.

– Aż tak?

– Aż tak.

– A dlaczego?

– Pan mnie pyta dlaczego? Jak mam się czuć, kiedy nie pamiętam nic oprócz nazwiska? Wczoraj do niczego nie doszliśmy. Oprócz imienia i nazwiska nie przypomniałem sobie niczego. Całą jebaną noc spędziłem na przypominaniu sobie, kim jestem i co robiłem w życiu. Czy w ogóle miałem jakieś życie. A pan mnie pyta, dlaczego źle się czuję? To kurwa jakiś żart?

– Rozumiem.

– Naprawdę? Naprawdę pan mnie rozumie?

– Zdziwiłby się pan, ale tak. Zanim zrobię to, co planuję, muszę dokładnie zorientować się w pańskim stanie psychofizycznym. Dlatego jestem taki upierdliwy. Taka jest procedura. I jeszcze jedno: proszę pamiętać, że ja jestem z panem, a nie przeciwko panu. Pomagam, a nie szkodzę, w porządku?

– W porządku. Dobra, teraz dwa.

– Dwa?

– Dwa w skali samopoczucia. Poprawiło się odrobinę.

– No i świetnie. Czyli dogadaliśmy się. Dobrze, zaczynamy.

– Idziemy gdzieś?

– Nie, proszę siedzieć. Ja też nigdzie nie idę, nie zostawię pana, spokojnie.

– O, uruchomi pan zegar?

– Poniekąd. Częściowo.

– Jak można to zrobić częściowo? Tylko jedna wskazówka będzie chodzić?

– Nie. Proszę teraz o chwilę ciszy, dobrze?

– Dobrze...

– Za chwilę zadam panu kilka pytań. Będzie pan w specyficznym stanie i dzięki temu sięgnie pan w te rejony swojego umysłu, które teraz są niedostępne. Ani dla mnie, ani dla pana.

– Zahipnotyzuje mnie pan?

– Prosiłem o ciszę, prawda?

– Prawda, przepraszam.

– Te pytania w pewien sposób naprowadzą pana na właściwy trop, a przynajmniej taką mam nadzieję. Odblokujemy pana.

– O, faktycznie idzie. A jak ładnie tyka!

– Proszę zamknąć oczy. Mocniej, ale bez zaciskania powiek. Po prostu niech pan nie podgląda. Tak, teraz dobrze.

– To tykanie...

– Proszę nic już nie mówić. Niech pan się wsłucha w zegar... Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć...

– Mmm...

– Spokojnie. Słuchaj zegara. Powiem ci teraz, jak się czujesz, bo ty tego nie zrobisz. Nie powiesz mi tego. Nie jesteś w stanie nic powiedzieć. Nie jesteś w stanie się ruszyć. Ale ja wiem, jak się czujesz. Czujesz, jakbyś lewitował, masz ograniczone pole widzenia, widzisz tylko to, co jest przed tobą. Widzisz mnie. Niewyraźnie, ale widzisz, poza mną jest tylko czerń. Trochę się boisz. Nie musisz. Nie ma czego. Zaraz zaśniesz, a przynajmniej tak to będziesz odczuwał: jakbyś zasypiał. Wtedy właśnie zejdziesz do podświadomości. Zobaczysz rzeczy, które zapomniałeś, i opowiesz mi o nich. Będziesz je widział jakby z boku, rozumiesz? Będziesz całkowicie bezpieczny, cokolwiek by się działo, i pamiętaj o tym. Pamiętaj, jaka jest stawka. Kiedy już tam będziesz, wróci ci mowa. Będziesz słyszał moje pytania, choć nie będziesz mnie widział. Ale ja tam będę, będę nad tobą



czuwał, więc nie bój się. Skup się na tym, co ważne, dobrze? Nie musisz odpowiadać, wiem, że rozumiesz. Twoje ciało tutaj da mi znać, kiedy będziesz miał dość. Będę to wiedział i zareaguję, tak? Wrócisz tu. To, co teraz czujesz na głowie, to taka czapeczka z powszywanymi w nią elektrodami do EEG. Zakładam ci ją, spokojnie, to nic groźnego. Będę badał twoją aktywność neurologiczną, a przez to kontrolował cały proces. Kiedy zegar przestanie tykać, bo go zatrzymam, ty wrócisz do gabinetu. Wtedy porozmawiamy na spokojnie. Słyszysz mnie teraz?

– Tak, słyszę.

– Powiedz mi, gdzie teraz jesteś...?

## 8

Nagle, w środku nocy, Marta się obudziła. Przecierając oczy, poczuła, jak szybko bije jej serce. Resztki snu jak obrazy zza mgły stały jej przed oczami i kiedy przypomniła sobie, co jej się śniło, wstała i bosą poszła do pokoju Piotrka. Usiadła przy jego biurku, włączyła komputer i w oczekiwaniu na uruchomienie próbowała sobie przypomnieć wszystko, o czym śniła. Nie dała rady, ale nie zmartwiła się tym, ważne było, że został pomysł. Kiedy tapeta z Michaeliem Jordanem rozjarzyła się w mroku pokoju, weszła w przeglądarkę i w pasku wyszukiwarki wpisała frazę: „porwanie dziecka szczecin”. Już pierwsze wyniki pokazały jej, że to może być dobry trop.

Pamiętała tę sprawę sprzed niemal roku, choć raczej mgliście i tylko hasłowo, i to właśnie sen, a właściwie koszmar, uruchomił w pamięci właściwą zapadkę. Zniknięcie dziewięcioletniego chłopca z zespołem Downa odbiło się szerokim echem w mieście, i nie tylko w nim, choć, jak to często bywa, ta wiadomość już kilka dni później została przyćmiona kolejną, jeszcze tragiczniejszą. Headlinerem została zapewne jakaś katastrofa albo koszmarny wypadek. Życie. Nie pamiętała, żeby chłopiec się odnalazł: gdyby tak było, z pewnością zapisałoby się to jakoś w jej głowie. Echa pamięci przywoływały urywki serwisów z radia: podejrzewano wpadnięcie do jakiejś studni, to, że chłopczyk poszedł na spacer, został potrącony przez samochód na jakiejś cichej uliczce, a sprawca wypadku zabrał jego ciało ze sobą i ukrył nie wiadomo gdzie. Ale była też opcja porwania i Marta uświadomiła sobie, że tamta sprawa nagle ucichła. Jakieś odpryski pojawiały się jeszcze w ogólnopolskich stacjach radiowych i telewizyjnych, ale w lokalnych mediach, które śledziła w pracy, temat ucichł jak ucięty nożem. Wtedy co prawda zwróciła na to uwagę i była nawet lekko zdziwiona, ale nie zastanawiała się nad tym zbyt długo, bo miała inne sprawy na głowie. Rehabilitacja Piotrka, zmiana pracy, samotność... I dziś była tylko pewna, że chłopiec się nie odnalazł. Ale tym, czego teraz szukała, była informacja, kim był mały Maciuś. A właściwie, czyim był synem. Coś kołatało się jej w głowie i chciała to sprawdzić.

Marek Bielawski był w Szczecinie znany, choć tak naprawdę nikt nie wiedział o nim zbyt wiele. Podejrzewała, że on sam o to dbał. Plotki pomieszane z faktami, ze znaczną przewagą tych pierwszych, czyniły z niego krezusa idącego do celu po trupach. Dorobił się na papierosach. Zaczynał od pokątnego handlu na przygranicznych bazarach, potem założył hurtownię w wynajętym baraku gdzieś na Świerczewie, a dziś jego firma mieściła się w nowo wybudowanym obiekcie: dwukondygnacyjnym kubiku pokrytym ciemnym szkłem, nieprzezroczystym z zewnątrz, tak jak jej szef. W sieci można było znaleźć kilka zdjęć Bielawskiego, wszystkie przedstawiały go w tej samej pozie: wyprostowany, stojący na rozstawionych nogach, ze złączonymi palcami rąk trzymany na wysokości podbrzusza. Idealnie dopasowany granatowy garnitur, czerwony krawat, siwiejące włosy na kwadratowej głowie, przystojna twarz i zdecydowane spojrzenie. Oczy przykuwały uwagę. Ciemne, patrzące bystro i przenikliwie, trochę kpiąco, a trochę ostrzegawczo. Z całej jego postaci biła aura kompetencji, wyglądał na człowieka, który nigdy się nie myli. A właściwie na kogoś, kto jest o tym przekonany, a to spora różnica.

Marta poszła do kuchni. Była głodna, choć nie miała ochoty jeść: to ten specyficzny stan, kiedy ciało podpowiada, że potrzebuje energii, ale mózg jest temu przeciwny, skupiony wyłącznie na tragedii. Był środek nocy, ale w dzień prawie nic nie jadła, więc uznała, że coś większego od zwykłej kanapki jej nie zaszkodzi. I tak trzymała się nieźle jak na te okoliczności. Nie panikowała, nie dzwoniła do znajomych, próbując zrzucić choć trochę ciężaru na ich barki, nie rozwieszała ogłoszeń na płotach i latarniach. Może powinna, ale podświadomie przeczuwała, że to tylko pozorne działania nieprzynoszące realnych korzyści, a tylko zajmujące czas, choć nawet to było dobre. Jakiegokolwiek zajęcie.

Patrząc na gotujący się ryż i smażące się na patelni na sąsiednim palniku warzywa, znowu myślała, co dalej.

Potrzebowała kogoś, bo nie była w stanie wytrzymać tego sama. Potrzebowała kogoś, kto będzie wiedział, co ona czuje. Chciała też wierzyć, że pojawi się druga osoba, na którą będzie mogła liczyć. Że dłużej nie będzie już w tym sama i Marta Sygit nie będzie jedyną osobą, na którą może liczyć. Potrzebowała tego jak cholera.

## 9

Patrzyła na otynkowany na biało mur, wysoki na dwa i pół metra. Stała przed osadzoną w nim furtką, tuż obok była wielka brama, podobnie jak furtka szczelna i nieprzezierna, jakby właściciel za punkt honoru postawił sobie ukrycie przed wzrokiem ciekawskich nawet najmniejszych detali swojej posesji. Z ulicy widać było jedynie kalenicę dachu. Marta niezdecydowanie wcisnęła przycisk domofonu, choć trudno było nazwać to domofonem. Domofon był u niej w kamienicy, to coś, co łąpało na nią fioletowym okiem, było pewnie inteligentniejsze od niej.

– Tak? – dobiegł z głośnika niski głos.

– Dzień dobry, nazywam się Marta Sygit. – Pochyliła się odruchowo, zbliżając usta do urządzenia. – Szukam pana Mar...

– Świetnie, że jesteś. Wejdz.

Była totalnie zaskoczona. Ledwo zaproszenie, czy może raczej polecenie, bo takim tonem było wyartykułowane, wybrzmiało, rozległ się głośny brzęczyk. Popchnęła furtkę, zrobiła krok do środka i znalazła się w innym świecie. Ten za murem był kompletnie odmienny od tego, który znała i w którym żyła. Wzbudzał zachwyt. Starannie wypielęgnowany ogród zrobił na niej ogromne wrażenie, aż naszła ją ochota, żeby zamiast do budynku ruszyć krętą brukowaną ścieżką i zanurzyć się w gąszczu bambusowych traw, za którymi widać było czubki niewysokich drzew różnych gatunków. Powstrzymała się, nie była tu w końcu dla przyjemności. Z żalem odwróciła wzrok od ogrodu i ruszyła w stronę domu o nieskomplikowanej, czystej formie. W drzwiach już ktoś stał: patrzył na nią uważnie, jakby zastanawiał się, co robi. Kiedy pokonała kilka niewysokich stopni i zbliżyła się do mężczyzny, ten poruszył się i zniknął w środku, zostawiając otwarte drzwi. Weszła z wahaniem do domu. Czekał w środku z rękami założonymi na piersi.

– Nie powiem, że czekałem na ciebie, ale też nie jestem aż tak zaskoczony twoją wizytą – powiedział, znów przyglądając się jej uważnie.

– I bardzo się z niej cieszę. Marek.

Wyciągnął rękę, a ona uściśniła ją machinalnie.

– S-skąd... – wyjąkała, uwalniając po chwili swoją dłoń z jego mocnego uścisku. – Skąd wiesz, kim jestem?

Uśmiechnął się lekko.

– Napijesz się czegoś?

– Skąd wiesz, kim jestem? – Zignorowała jego pytanie, powtarzając swoje nieco agresywniej.

Podrapał się po policzku.

– Płacę komuś za to.

– Za co? – nie zrozumiała.

– Za to, żebym wiedział wszystko, co się w tej sprawie dzieje, a potem mnie o tym informował.

– W „tej” sprawie?

– Tak, w tej. Twoja sprawa i moja sprawa to jedna i ta sama sprawa, rozumiesz? Jesteś już tego chyba świadoma, skoro tu przysłaś?

Pokiwiała z wahaniem głową.

– Komu płacisz? – zapytała.

– To nieistotne. – Wzruszył ramionami. – Istotna jest wiedza.

– To ktoś z komendy wojewódzkiej, tak?

– Powiedziałem ci: to nieistotne. Nie musisz tego wiedzieć, a nawet nie możesz.

Marta zagryzła wargi. Znów ktoś traktował ją jak piąte koło u wozu, jak dziecko, któremu nie mówi się pewnych rzeczy albo dlatego, żeby go nie straszyć, albo dlatego, że dzieci rzadko kiedy potrafią dochować tajemnicy.

Jakby dorośli to potrafili...

– I co, ten ktoś powiedział ci, że przyjdę?

– Nie. – Obrzucił spojrzeniem jej włosy i uniósł lekko brwi, jakby dziwił się temu, co zobaczył. – Opowiedział mi o tobie i o tym, jakie wrażenie na nim sprawiłaś.

– Czyli Najder – mruknęła.

– Ty to powiedziałaś. – Uśmiechnął się, pogłębiły się kurze łapki w kącikach powiek.

Teraz Marta mu się przyjrzała. Bielawski wyglądał jak człowiek sukcesu. Wysoki, o wysportowanej sylwetce, bez grama tłuszczu, opalony, starannie ogolony i ostrzyżony. Miał mocne, siwiejące co prawda włosy, ale za to ani trochę nieprzerzedzone. Piwne oczy patrzyły bystro spod gęstych brwi, rzymski nos o prostym grzbiecie był leciuteńko skrzywiony w prawą stronę, co mogło być efektem bójki albo uprawiania jakiegoś

niebezpiecznego sportu, a przynajmniej tak to sobie dopowiadała, i to nawet bardziej do niego pasowało. Nawet zmarszczki na jego twarzy wyglądały na miejscu, przydając mu męskości. Zawsze lubiła starszych facetów, budzili o wiele większe zaufanie niż młokosy. Bielawski popatrzył na nią ciepłej.

– Czemu to ty nie przyszedłeś do mnie? – zapytała.

– Powiedzmy, że dałem ci trochę czasu. To coś w rodzaju testu.

– Zdałam?

– Owszem, zdałaś. Celująco.

– A gdybym nie przyszła?

– W końcu przyszedłbym do ciebie, choć pewnie rozmawialibyśmy nieco inaczej niż teraz – stwierdził. – To co, czego się napijesz?

– Wody. – Rozejrzała się po holu wejściowym, który miał powierzchnię jej lokum i płynnie przechodził w przestrzeń mieszkalną: jasne i przestronne wnętrza rozświetlone słońcem wpadającym przez ogromne okna, a w zasadzie przeszklone ściany.

– Chodź, zapraszam. – Bielawski lekko dotknął jej łokcia i ruszył w tamtą stronę.

Poszła za nim. Poruszał się lekko i z wdziękiem i pomyślała, że musi być niezłym tancerzem. Zeszli po kilku stopniach, które były jedynym elementem rozdzielającym przestrzenie, i po chwili znaleźli się w salonie. Na jednej ścianie wisiał ogromny telewizor, a na drugiej jeszcze większy obraz. Zwracał uwagę nie tylko rozmiarami, ale i barwami, niepasującymi do otoczenia. Był abstrakcją utrzymaną w karminowo-czarnych barwach.

Bielawski podszedł do barku.

– Nie chcesz czegoś mocniejszego?

– Nie, dzięki, woda wystarczy.

– Gaz, nie gaz? – Odwrócił się do niej.

– Gaz – poprosiła.

Wyciągnął niewielką szklaną butelkę i podał jej razem ze szklanką. Odkręciła zakrętkę, nalała sobie niemal całą zawartość do szklanki i wychyliła duszkiem, czując, jak bąbelki łaskoczą ją w gardło. Bielawski patrzył, jak pije, a kiedy skończyła i odstawiła szklankę na stół, powiedział:

– To powiedz mi, jak tu trafiłaś.

Wzruszyła ramionami.

– Poszperałam w necie. Pamiętałam, że jakiś czas temu było głośno o porwaniu chłopca z zespołem Downa, gdzie wspomniano o tym, że to

syn znanego biznesmena, a jeszcze gdzie indziej w jakichś komentarzach pod artykułem ktoś wspomniał o tobie. To był domysł, ale jakoś się tym zasugerowałam i trafiłam.

– Pamiętasz, na jakiej to było stronie?

– A to takie ważne?

– Dla mnie tak.

– Dlaczego?

– Bo sobie nie życzę, żeby ktoś wpięprzał się w moje życie.

– Chcesz z tym walczyć?

– Tak się składa, że mam możliwości. Mała, ale prężna firma informatyczna, której zlecam czyszczenie tego, co się da. Na pewno nie pamiętasz?

– Przykro mi. – Pokręciła głową.

– Sprawdzisz w historii przeglądarki? – Uśmiechnął się, ale z lekkim napięciem.

– Tak.

– Okej. I co dalej?

– I przyszłam do ciebie.

– A skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?

– Brat mojego byłego męża pracuje w firmie, która zajmuje się montażem instalacji nawadniających trawniki. Wspominał mi kiedyś, że robili taki system u króla fajek na Warszawie. No, i to chyba największy dom w okolicy, więc...

– Jasne. – Bielawski uśmiechnął się. – Tylko głupi by się nie zorientował.

– Mniej więcej. – Jeszcze raz spojrzała na wielki obraz, który nie tyle przyciągał spojrzenie, ile wręcz wciągał, zasysał jak czarna dziura pochłaniająca światło.

– Jak to się stało? – Bielawski spoważniał nagle. – Jak zniknął twój syn?

– Najder ci nie powiedział?

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

Opowiedziała mu więc, dokładnie, tym razem jej historia była bogatsza o szczegóły, które poznała na komendzie. I znów opowieść kosztowała ją mnóstwo emocji, jednak tym razem trzymała nerwy na wodzy. Tym razem było odrobinę łatwiej. Kiedy skończyła, Bielawski milczał jeszcze przez chwilę. Potem wstał, podszedł do barku i wrócił do niej z puszką coli. Otworzył ją, upił łyk i nie wypuszczając jej z dłoni, powiedział cicho:

– Maciek, mój dziesięcioletni syn, ma zespół Downa. Jest umiarkowanie upośledzony, uczymy go życia, ma prywatnego nauczyciela, pedagoga specjalnego, ale nie mam złudzeń, że będzie sobie w stanie poradzić w przyszłości sam. Czasem potrafi znakomicie się sobą zająć, ogarnąć wiele spraw, ale czasem jest jak dziecko we mgle. Jest bardzo naiwny i łatwowierny...

Marta popatrzyła na niego badawczo i być może nawet on odczytał z jej oczu, co chodziło jej po głowie, bo powiedziała:

– Trisomia 21 wyszła w badaniach prenatalnych, ale... – Zawahał się na ułamek sekundy. – Podjęliśmy decyzję, że Maciek się urodzi. Miał poważną wadę serca, operacja się udała i w zasadzie wszystko się jakoś układało. Został porwany tydzień po swoich dziewiątych urodzinach, wiesz? Jasne, że to nie ma znaczenia, ale jednak jakoś... Wracał ze spaceru z Grzegorzem, swoim opiekunem i nauczycielem. Jak zwykle zatrzymali się na chwilę w Żabce. Maciek został na zewnątrz, też jak zwykle, bo przed tamtym sklepem jest taka buda, w której mieszka kot, i on go lubił głaskać i karmić. Taki mieli rytuał. Grześka nie było dosłownie kilka minut, a kiedy wyszedł z saszetką z kocim żarciem, Maćka też już nie było. – Mięśnie twarzy napięły się, a wzrok zrobił się na chwilę szklany.

Zaschło jej w gardle, ale nie poprosiła o kolejną butelkę wody. Nie chciała mu przerywać.

– Myśleliśmy, że pobiegł gdzieś za kotem, wpadł do niezabezpieczonej studzienki albo wykopu czy gdzieś na okolicznej budowie przysypał go piasek – kontynuował. – Aż w końcu przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić monitoring. I wtedy okazało się, że pod Żabkę podjechało auto, otworzyły się drzwi, a w nich pojawiła się ręka z czekoladą. Maciek oczywiście połakomił się na nią. Wsiadł. Wiesz, jakie to uczucie patrzeć na własne dziecko, które z ufnością wsiada do samochodu porywacza? Samochód był kradziony, znaleźli go w lesie gdzieś w Płoni, spalony. Oczywiście żadnych śladów. Pierwsza wersja mówiła o porwaniu dla okupu. Ale nikt się nie odezwał, chociaż czekałem. Było jak na filmach, wiesz? Gliniarze siedzieli u mnie w domu, nałożyli na komórkę jakieś ustrojstwo, jakby spodziewali się, że porywacze znają mój numer telefonu. Instruowali mnie, co mam mówić, chociaż chciałem załatwić to po swojemu. Zawsze chodzi o kasę, zawsze, rozumiesz? Liczyłem się nawet z siedmiocyfrową sumą. I dałbym ją, żeby tylko odzyskać dziecko. Ale, kurwa, dni mijały i nikt nie zadzwonił. Ci goście z policji zniknęli z mojego domu. A potem wrócili,



kiedy zniknął Sebastian, ten niedowidzący. Wtedy okazało się, że najprawdopodobniej chodzi o porwania, ale nie dla okupu. Tym razem nie chodziło o kasę.

– Nie wiem, o jakim Sebastianie mówisz – powiedziała nieswoim głosem. Zastygł w bezruchu.

– A co w ogóle wiesz? – zapytał cicho, odstawiając puszkę z colą na stół. Brzęknęła metalicznie, a ze środka dobiegł cichy syk.

– Prawie nic – odparła. – Tylko to, że porwano w sumie czworo niepełnosprawnych dzieci. Niczego więcej mi nie powiedziano.

– Czterech – poprawił ją. – Nie czworo, tylko czterech, bo to sami chłopcy. Twój, mój i dwóch innych.

Wstał nagle i wyciągnął do niej rękę. Kiedy tylko na nią popatrzyła, ale nie ruszyła się z miejsca, cofnął ją, a jego palce drgnęły lekko.

– Chodź – powiedział niskim z napięcia głosem. – Chcę ci coś pokazać.

# II WYŚCIG Z CZASEM

## 10

Przeszli przez salon, następnie korytarz i zeszli do piwnicy szerokimi, wygodnymi schodami. W tym domu wszystko było duże i przestronne, nawet te elementy, które zwykle tego nie wymagały, a nawet racjonalniej i taniej było je wykonać w tradycyjnej formie i wymiarach. Pomyślała tylko, że kto bogatemu zabroni. Kiedy znaleźli się na dole, Bielawski poprowadził ją w głąb korytarza i po chwili stanęli przed podwójnymi drzwiami. Uchylił jedno skrzydło i odsunął się, przepuszczając Martę pierwszą. Weszła z lekkim wahaniem do środka i stanęła jak wryta, kiedy zobaczyła, jak wygląda pomieszczenie.

Strop był dosyć nisko, co zapewne czyniło je optycznie większym, ale Marta stwierdziła, że i tak ma powierzchnię co najmniej trzech pokoi jej mieszkania, i to w starym budownictwie. W kącie był bar, za nim półki z butelkami alkoholi. Na środku stał stół do bilardu pokryty zielonym sukniem, obok stolik pokryty takim samym materiałem. Zorientowała się, że to stół do pokera. Pod ścianą znajdowała się pokryta brązową, pikowaną skórą kanapa w starym stylu, nad nią wisiał multimedialny projektor, a całą podłogę pokrywała karminowa wykładzina o grubym włosiu. Była w męskiej jaskini rozrywki. Tylko że teraz zmienionej w...

– Centrum dowodzenia... – szepnęła zszokowana.

Było w niej kilka elementów, które nie pasowały do wystroju. Jedna ze ścian, ta, na której zapewne wyświetlano filmy, pokryta była tablicami, na których zawieszono jakieś dokumenty, zdjęcia, tabele i mapy.

– Taak, można tak powiedzieć. – Bielawski chrząknął. – Centrum poszukiwań tych chłopaków nie jest na Małopolskiej, w komendzie wojewódzkiej, tylko tutaj. Taka prawda.

Popatrzyła na niego, a w jej oczach była mieszanina podziwu, szacunku i... Nadziei. Poczwała, jak wlewa się w jej serce i ogarnia ją radość. Przez jedną krótką chwilę miała wrażenie, jakby sprawa się rozwiązała, a powrót Piotrka był tylko kwestią niedługiego czasu, ale ta chwila minęła i znów patrzyła na tablice ze zdjęciami, planem miasta i mapą województwa.

I nagle na powrót ogarnęło ją zwątpienie.

– To jest jak z filmu – powiedziała gorzko. – Gadzety. Taka grota Batmana. Imponująco wygląda, ale niewiele pomaga.

– Tak sądzisz? – Bielawski zmarszczył brwi, przysiadł na krawędzi stołu do bilardu i założył ręce na piersi, przyglądając się jej uważnie.

– Tak. – Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem tablice: musiała ruszyć głową, bo nie była w stanie objąć jej wzrokiem, nie robiąc tego.

– Wiesz, powiem ci coś. Wydałem już prawie sto pięćdziesiąt tysięcy na te, jak to nazywasz: gadzety.

– To kosztowało sto pięćdziesiąt tysięcy? – Pokazała na tablice.

– To jest tylko artefakt. Efekt działań, który możesz zobaczyć. Zawiera ogrom pracy włożonej przez kilku ludzi w poszukiwania Maćka i reszty. Twojego syna też. I następnego porwanego chłopca.

– Przerażasz mnie – szepnęła.

Wzruszył ramionami, ale obojętność, z jaką to zrobił, była pozorna.

– To się zdarzy, rozumiesz? Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że to się znów zdarzy. Dlatego trzeba znaleźć skurwysyna jak najszybciej. Przyjechałbym do ciebie najdalej jutro, wiesz? Dałem ci trochę czasu, ale nie mamy go za dużo, mimo to chciałem sprawdzić, czy będę współpracował z kimś, na kogo mogę liczyć. Z kimś silnym psychicznie, zdecydowanym, nastawionym na sukces.

– A tamci? Inni rodzice?

Zagryzł lekko wargi. Podrapał się w brew, wyjął z luzu bilę i zaczął ją tacać po stole.

– Są... Są nastawieni negatywnie, rozumiesz?

– Do ciebie?

– I do mnie, i ogólnie do sprawy. Jakby się z tym pogodzili, równocześnie się na to nie godząc, wiesz, co mam na myśli?

– Nie.

– To dobrze, bo ja też tego nie rozumiem. Stracili nadzieję. Przestali walczyć, o ile w ogóle zaczęli. Nie wierzą. Ani we mnie, ani w skuteczność działań policji. Popadli w stupor, w odrętwienie i nie robią nic, żeby odzyskać swoje dzieci.

– Może to po prostu ich sposób na poradzenie sobie z tym? Musisz to uszanować.

– Ależ szanuję! – Popchnął bilę, która potoczyła się powoli przez całą długość stołu, uderzyła w bandę i stanęła. – I dlatego tak się cieszę, że

jesteś ty. Silna, zdeterminowana. To się nazywa szczęście w nieszczęściu i przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość, ale wiesz, o co mi chodzi?

Pokiwała głową. Nie chciała kontynuować tego tematu. Wbrew temu, co twierdził Bielawski, nie czuła się pewnie, nie czuła się silna, może tylko zdeterminowana. Ale też cieszyło ją, że nie jest już sama. Przecież po to między innymi tu przyszła: żeby nie być z tym sama.

– Co kosztowało tyle forsy? – zapytała.

Obejrzał się na ścianę z tablicami.

– Ludzie – powiedział. – Specjaliści. Prywatni detektywi, policjanci, tak, mam na myśli również Najdera, opinie fachowców, łapówki dla urzędników. Wizyty psychologa z Quantico, wykładowcy akademii FBI – przeloty i gaża. A to, co widzisz na ścianie, to właśnie efekt pracy tych ludzi.

– A realnie? Jak to się przekłada na realne postępy? Czy jesteś bliżej? Nie bliżej niż policja, tylko po prostu bliżej nich?

Bielawski patrzył jej w oczy i milczał. A ona czekała. Chciała usłyszeć, że tak. Zdawała sobie sprawę, że nie jest tuż-tuż, ale chciała wiedzieć, że nie wpadła do czarnej dziury, w której już ktoś był, co absolutnie nie zmieniło tragicznej sytuacji, bo dalej tkwili tam, tyle że we dwoje. Chciała wiedzieć, że ten ktoś właśnie szykuje się do wyjścia, ma na to sposób i po prostu zabierze ją ze sobą.

– Opowiem ci wszystko od początku, dobrze? – zaproponował, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

– Dobrze. – Westchnęła i dodała: – Policja nie informuje mnie o niczym. Kiedy dzwonię, mówią tylko, że działają. Nie wiem, co robią, co rozumieją pod pojęciem „działania”. Nie wiem nic, więc powiedz mi, kurwa, niech dowiem się czegokolwiek.

– No dobra... – Bielawski wyglądał jak wykładowca przy tablicy. – To jedziemy. Uderza co kilka miesięcy. Porywa zawsze chłopców. Zawsze niepełnosprawnych, przynajmniej tak było do tej pory. Policja oficjalnie nie łączy tych spraw, mówię o tym, że jest szlaban na informacje, żeby po pierwsze nie wzbudzać paniki, a po drugie, nie dawać sprawcy żadnych podpowiedzi, na jakim etapie jest śledztwo. A także po to, że jeśli to robi dla rozgłosu, bo go to jara, żeby tego rozgłosu nie było.

– A robi to dla rozgłosu?

– Mało prawdopodobne, ale dmuchamy na zimne. Działa na obszarze północno-zachodniej Polski, w zasadzie w województwie

zachodniopomorskim, choć pierwszy i ostatni przypadek, naszych dzieci, dotyczyły Szczecina. – Podeszedł do ściany i pokazał na mapę Polski. – Oczywiście to nie jest tak jak na filmach, że połączymy kreskami miejsca, w których uderzył, a w centrum tego obszaru znajdziemy jego norę, z której wychodzi na polowania, ale Yancey uważa, i tu się z nim chyba zgadzam, że to bardzo prawdopodobne, że tak jest. Tylko że ten obszar jest spory i nora wcale nie musi znajdować się w jego centrum, a Bob nawet przypuszcza, że to miejsce może być w okolicy dużego ośrodka miejskiego, choć na jego obrzeżach, na co wskazuje dwukrotne uderzenie w Szczecinie. Widzisz, schematy działania takich zwyroli co do zasady są podobne i to jest nasza szansa.

– Ja tam nie widzę żadnych szans. – Marta spuściła głowę.

– Źle – odparł natychmiast Bielawski, odwracając się od ściany. – Przestań tak myśleć.

– Dobrze, mów dalej. – Spojrzała na niego udęczonym wzrokiem.

– Mój Maciek był pierwszy, to już wiesz – podjął po chwili wątek. – Jedenaście miesięcy i cztery dni temu. Okoliczności porwania też już znasz. Przeszedłem wszystko to, co przechodzą rodzice zaginionych i uprowadzonych dzieci. To, co ty przechodzisz teraz. Statystyki i liczby. Ile rocznie znika, ile się odnajduje, w jakich okolicznościach znikają i się odnajdują. I ile się nie odnajduje... Sebastian Krawczyk zniknął drugi, osiem miesięcy temu. Ma dwanaście lat i jest prawie niewidomy. Od urodzenia. Widzi tylko światło, z bardzo bliskiej odległości jest w stanie rozróżnić kształty, ale to tyle co nic, nie można nazwać tego widzeniem. Jest bardzo samodzielny. Stał przed szkołą w Łobzie, do której chodził, i czekał na ojca. Została po nim tylko jego biała laska, świadkowie widzieli, że wsiadał do białego nissana juke, ale nikt nie zapamiętał numerów, nie ustalono też, czy wsiadł z własnej woli, czy został zmuszony. Osoby, które to widziały, nie potrafiły tego stwierdzić, więc najprawdopodobniej nie było żadnej szarpaniny, facet powiedział pewnie chłopakowi, że przysłał go ojciec, i już. Nie ma to chyba w zasadzie znaczenia, efekt jest taki sam. Następny był Vincent Kusiak, cztery miesiące temu. Vincent ma jedenaście lat i skoliozę, ale taką, która w końcu doprowadzi go do śmierci z powodu uduszenia albo zaburzeń układu krążenia, jeśli nie przejdzie operacji ortopedycznej. Jego kręgosłup przypomina łuk, a rodzice to bardzo prości ludzie. Też wracał ze szkoły, mieszka w Stargardzie, nie wiadomo nawet, w jakich okolicznościach zaginął, ale ze względu na niepełnosprawność

policja zakłada, że to jednak porwanie i również przez tego samego sprawcę.

– Mogło mu się przydarzyć wszystko.

– Tak. Jestem tego świadomy. Wszyscy jesteśmy. Ale porwanie twojego chłopaka bardzo uprawdopodobnia wersję uprowadzenia Vincenta. Jeśli chodzi o Piotrkę, to już wiem, że tablice na tym vanie były kradzione, Niemiec, właściciel auta, z którego je zdjęto, nawet o tym nie wiedział, bo trzymał auto na parkingu pod hotelem „Focus”. Do tej pory nie zgłoszono kradzieży szarego vana marki Ford, co może dawać nadzieję, że mamy jakiś trop, ale sprawdzenie wszystkich zarejestrowanych w Polsce samochodów tego typu i koloru lakieru może potrwać i nie przynieść żadnych efektów, bo pewnie są ich setki.

– Może być zarejestrowany nie w Polsce. Mógł zostać przelakierowany.

– Otóż to. – Bielawski pokiwał głową z uznaniem. – I tak to właśnie wygląda. Te dzieciaki poza niepełnosprawnością łączy jeszcze jedno: są jedynakami, choć nie mamy pewności, czy to ma jakieś znaczenie. Status materialny i społeczny ich rodziców jest kompletnie różny. Nie znały się ani przypadkiem, ani dlatego, że uczęszczały na przykład do tych samych placówek szkolno-wychowawczych albo medycznych. Ich rodzice też nie znali pozostałych rodziców. A więc można wykluczyć jakiś piętrowy spisek, zemstę. – Bielawski spojrzał na nią. – Domyślasz się, czemu on porywa tylko niepełnosprawne dzieci?

– Czemu?

– Pomyśl.

– Ty już pomyślałeś, szkoda czasu, po prostu mi powiedz.

– Bo nie mogą uciekać. W każdym razie nie szybko, jeśli w ogóle. Twój syn nie chodzi. Mój gubi się w każdym nowym miejscu i nie ogarnia świata. Sebastian prawie nic nie widzi, a Vincent nie jest w stanie poruszać się szybciej niż zgrzybiały staruszek. Już rozumiesz? Ma nad nimi kontrolę. Być może sam jest niepełnosprawny, tak twierdzi Yancey, i dzięki ich niepełnosprawności jemu jest łatwiej nad nimi panować... – Urwał nagle i zapatrzył się w ścianę szklanym wzrokiem. – Zabiję skurwysyna, jak go dorwę. Wyrwę mu serce gołymi rękami...

Poczuła, że musi zareagować.

– Ten Yancey – powiedziała cicho. – Mówisz o nim, jakby był cudotwórcą.

Przypomniał się jej Bogucki, więc zamknęła na chwilę oczy, usiłując pozbyć się go z myśli.

– Bob? – Wzrok Bielawskiego znów się wyostrzył; spojrzał na nią i lekko się uśmiechnął. – Cokolwiek o nim myślisz, to Yancey nie jest prestidigitatorem. Gwiazdą, która przyjeżdża na miejsce zbrodni w błysku fleszy, próbuje, jak pachnie i smakuje ziemia, rozgląda się i wizualizuje przebieg zdarzeń w każdym, najmniejszym detalu, a potem mówi, patrząc, jak wszyscy spijają słowa z jego ust: otóż zabójcą jest goryl Palmera. Jak w filmach, no nie?

Pokiwała głową, wiedząc, co ma na myśli.

– Otóż właśnie nie. To specjalista wysokiej klasy, z dorobkiem naukowym, a przede wszystkim z doświadczeniem. Pracował wielokrotnie przy śledztwach w sprawach morderstw, zarówno z władzami lokalnymi, jak i na szczeblu federalnym, czyli mówię tu o przypadkach seryjnych morderców działających w więcej niż jednym stanie. Jest ceniony w środowisku zawodowym. Nie obiecywał gruszek na wierzbie. Nie poklepał po ramieniu i nie powiedział: Marek, twój syn najdalej za tydzień będzie w domu, zaufaj mi. Przedstawił sprawę uczciwie, wskazał procentowe prawdopodobieństwo swoich wniosków, bo to nie jest tak, że jest nieomylny. Gdyby był pewnym siebie sukinsynem, kopnąłbym go w dupę od razu. Muszę się na kimś oprzeć, rozumiesz? I stać mnie na specjalistów najwyższej klasy.

– Dzięki Bogu, co? – Uśmiechnęła się słabo.

Bielawski zmarszczył nos, odsłaniając lekko górne zęby.

– Nie dzięki Bogu – powiedział. – Jedyłą osobą, której mogę podziękować za to, że mnie stać, jestem ja sam.

Uśmiechnęła się lekko i spuściła głowę, nie chcąc, żeby widział jej rozbawienie. A potem jej przeszło. Usiadła na jednym z pokrytych zielonym pluszem krzesel ustawionych przy stoliku do pokera.

– Powiedziałaś, że uderza co kilka miesięcy – rzekła z wahaniem.

– Bo tak jest.

– I powiedziałaś, tak przedstawił to Najder, że oni najprawdopodobniej żyją.

– Tak. Tak sądzi też Yancey.

– A wiesz, co ja myślę?

– No?

– Wiesz, dlaczego porywa następnych chłopców?



– Bo tamtych już nie ma, tak? – Spojrzał jej w oczy, a pod nią ugięły się nogi, tak twarde i bezlitosne było to spojrzenie.

– Tak – wydusiła z siebie. – Bo tamci przestali mu wystarczać albo się znudzili, albo... Pozbył się ich i potrzebuje nowego, kolejnego, który spełni jego oczekiwania.

– Braliśmy to pod uwagę. Nie będę cię oszukiwał, że to niemożliwe, bo to jest możliwe. Ale mało, rozumiesz? Prawdopodobieństwo jest niewielkie.

– Przekonaj mnie, dlaczego tak uważacie.

Bielawski zmarszczył nos i uciekł spojrzeniem w bok.

– Według Yanceya on nie jest typowym pedofilem. Ta niepełnosprawność, która ma dla niego jakieś znaczenie, nie jest typowa dla tego typu aberracji. To zwyczajnie przeszkadza. Oni lubią atrakcyjne, atrakcyjne dla nich oczywiście, ciała. Myślisz, że śliniący się, niedorozwinięty grubasek może być atrakcyjny? Wykręcony w chiński paragraf chudzielec? Prawie niewidomy, któremu nie może pochwalić się swoim kutasem? Czy prawie dorosły chłopak, który pewnie ma już owłosienie łonowe?

– To obrzydliwe... – Marta poczuła, że zaraz się rozpłacze.

– Wiem. – Podszedł do niej i nachylił się. – Myślisz, że mnie jest wesoło? Że mnie to nie dotyka? Nie brzydzi? Ale to jak z własnym, ukochanym rodzicem, który ma osiemdziesiąt lat i robi pod siebie. Myjesz go, wycierasz gównem, ale dalej go kochasz i nie zastanawiasz się, jakie to obrzydliwe. Robisz, co trzeba zrobić. Znieczulasz się w imię wyższego celu. I tu też. Chcę poznać sposób myślenia skurwiela, bo to mnie do niego przybliży, rozumiesz?

Pokiwała głową i pociągnęła głośno nosem.

– Nie znam się, ale nie sądzę, żeby istniało coś takiego jak typowy pedofil – stwierdziła. – To jak typowa kobieta. Bzdura. Nie ma czegoś takiego jak typowa kobieta. Ani typowy mężczyzna. Ani, kurwa, tym bardziej pedofil...

– Dobra, wiesz, o co mi chodzi.

– No właśnie nie do końca.

– Gdyby chciał zaspokoić swoje chore żądze, wziąłby pierwszego chłopca z brzegu, który w jakiś sposób by mu się spodobał. Po prostu z ulicy...

– Wszystkich zabrał z ulicy.

– Tak, ale... – Bielawski westchnął ciężko. – On zadaje sobie ogromny trud, bo musi najpierw znaleźć niepełnosprawnego, potem poświęcić czas

i ryzykować, żeby poznać jego zwyczaje, miejsca, w których bywa, i tak dalej. Przygotowuje się. Chyba nie sądzisz, że przypadkiem zobaczył kogoś takiego na ulicy i go sobie porwał? Twojego syna, mojego... To musiało kosztować sporo czasu i pieniędzy pewnie też.

– Dobrze, założmy, że jest, jak mówisz. Jak to się ma do tego, o czym mówiłam?

– Zdobytego z takim trudem trofeum nie pozbywa się ot, tak. Kolekcjonuje się je...

– Najder twierdził, że nieodnalezienie ich ciał może świadczyć o tym, że oni żyją. Ale skąd wiesz, skąd wy wiecie, że ten zwyrodnialec nie zakopał ich u siebie w ogrodzie? Może ich wypycha? Może robi z nich mumie i trzyma w piwnicy? I dlatego właśnie wciąż szuka nowych!

– Yancey...

– Yancey, wciąż ten Yancey! Powiedz coś sam!

– Uspokój się, proszę. – Jego głos był spokojny, ale zimny i właśnie to zimno ją otrzeźwiło.

– Przepraszam... Jeezu, przepraszam cię.

– Nie ma sprawy. – Cmoknął lekko, tak jak robią ludzie, kiedy są z czegoś niezadowoleni, ale nie mogą albo nie chcą dawać tego do zrozumienia wprost, a jedynie zasugerować. – To wszystko jest hipotezą śledczą wysuniętą na podstawie pewnych założeń, ale i wiedzy o podobnych przypadkach. Mam świadomość, że może być już za późno, ale wierzę, że nie jest, bo mam podstawy. Solidne. Oni żyją. Ukryci. Schowani przed całym światem, ale żyją... – Popatrzył na nią i prześlizgnął się spojrzeniem po jej twarzy. – Odpocznij trochę. Zrelaksuj się, na tyle, na ile jesteś w stanie. Zbieraj siły. Bierzemy się do roboty, dziewczyno.

Wróciła do domu w nieco lepszym nastroju, mimo wszystko. Wieczorem obejrzała komedię romantyczną, poryczała się, choć ze wzruszenia, a potem wiedziona czy raczej pchana jakąś dziwną siłą usiadła do komputera Piotrka i weszła w internet. W pasku przeglądarki wpisała frazę „porwanie dziecka” i zagłębiła się w świecie, który napawał ją strachem i obrzydzeniem. A niecałą godzinę później wyprostowała się gwałtownie, czując przebiegające po plecach ciarki, jakich nie miała, odkąd jej ojciec, myśląc, że to zabawne, wyskoczył z szafy w przedpokoju, kiedy miała cztery latka. Wystraszył ją wtedy niemal na śmierć.

Przewijała artykuł z dłonią przytkniętą do ust i zastanawiała się, czy kiedy pokaże go Bielawskiemu, będzie czuł to samo co ona.

# 11

- Proszę, nieee!
- Spokojnie, spokojnie. Jest pan już ze mną, w gabinecie, już wszystko w porządku!
- Jezzzuu... Bola mnie jaja. Jakby ktoś mnie tam kopnął...
- Nikt pana nie kopnął. Ścisnął pan je sobie sam.
- Co???
- Osłaniał pan genitalia, ścisnąc je tak mocno, że teraz aż bolą. Próbowałem pana przed tym powstrzymać, ale dostałem od pana w twarz.
- Jezu, przepraszam, ja... Ja nie chciałem!
- Wiem, nic się nie stało, spadły mi tylko okulary.
- Ale... Dlaczego je osłaniałem? Co mi pan chciał zrobić?
- Nie ja, spokojnie. To efekt hipnozy. Przykro mi.
- Co? Więcej nie dam sobie tego zrobić!
- Niech pan posłucha: przypomniał pan sobie kilka rzeczy...
- Nic nie pamiętam! Dalej niczego nie pamiętam! Dlaczego?
- Proszę o spokój. Zaraz wszystko wyjaśnię. Puszczę panu nagranie, dobrze? Kiedy usłyszysz pan to, co powiedział podczas hipnozy, może coś drgnie. Bo to w panu jest, te wspomnienia. Głęboko, ale właśnie się do nich dokopaliśmy. Czas odsłonić resztę. Ostrzegam, będzie pan wstrząśnięty, ale nie mam wyjścia. W inny sposób tego nie przepracujemy. Wie pan, jak się gasi pożar szybu naftowego? Nie wodą, nie pianą gaśniczą, bo to nic nie daje. Gasi się eksplozją ładunku wybuchowego.
- Co pan pierdoli?
- Tak. Eksplozja w sposób gwałtowny wykorzystuje cały tlen, który jest potrzebny w procesie spalania. I ogień z szybu gaśnie, bo nie ma już go co podsycać, podtrzymywać. I tu mamy podobną sytuację, rozumie pan? Analogiczną. Zwalczamy ogień ogniem, bo woda nie wystarcza. Będzie pan cierpiał, nie przeczę, ale konsekwencją będzie ukojenie. Pogodzenie się ze sobą. Nie z tym, co się stało, ale ze sobą. Uświadomienie sobie, że jest pan bez winy, że jest pan ofiarą okoliczności, pionkiem w grze. I to cierpienie

się skończy dużo szybciej, niż gdybyśmy tego nie robili. Bo cierpiałby pan do końca życia. Zatrąłoby to pana. Sączyło jak jad i w końcu zabiło.

– Dziękuję, panie doktorze. Dziękuję...

– Proszę usiąść wygodnie. I jeszcze jedno: w każdym momencie może pan poprosić o przerwę, dobrze?

– Dobrze.

– Zaczynamy?

– Tak. Jestem gotowy...

– Uwaga, włączam nagranie.

– Słyszysz mnie?

– Tak.

– Wszystko w porządku?

– Tak, chyba tak.

– Chciałbym, żebyś się cofnął do momentu, zanim jeszcze doszło do tego zdarzenia na drodze.

– Nie pamiętam żadnego zdarzenia.

– Dobrze, czy potrafisz sobie przypomnieć grupę dzieci? Niepełnosprawnych?

– Kaleki?

– Upośledzone. W różny sposób. Kojarzysz je?

– Tak... Chyba tak. Jezuu... widzę je. Widzę te dzieci!

– Gdzie teraz jesteś?

– Jestem w jakiejś piwnicy. Lekko śmierdzi stęchlizną i wilgocią. Nazywamy to miejsce Farmą.

– Kto: my?

– My, wszyscy.

– To znaczy kto?

– Noo...

– Dobrze, wrócimy do tego później. Widzisz teraz to pomieszczenie?

– To jest kilka pomieszczeń i jakiś tunel. Łączy je wszystkie. Jest chłodno i mokro.

– Ciemno?

– Nie, ciemno nie. To znaczy niezbyt ciemno, bo są lampy. Ale tu nie ma okien. Ani jednego. A drzwi... Drzwi są takie jak na statku. Wielkie, ciężkie, stalowe, są w nich takie śruby, ale okrągłe.

– Nity?

– Tak, nity.

– Kim ty jesteś?

– Nie wiem. Ja... Ja tylko patrzę. Na nich. Siedzimy przy stole. Jeden jest strasznie wykrzywiony, biedaczyna. Ledwo siedzi. Jest wystraszony, nie chce jeść, Tato mówi, że jak nie będzie jadł, to będzie musiał go ukarać i on je, ale potem wymiotuje. Jest drugi chłopiec, prawie nic nie widzi, jest... On jest chyba niewidomy. Prawie nic nie mówi. I jest jeszcze Maciuś.

– Jaki Maciuś?

– Ma downa. Często się uśmiecha, kiedy Tata daje mu cukierki. Tylko on jeden się czasem uśmiecha. Tylko on nie był jeszcze ukarany.

– Ukarany?

– Kiedy któryś jest niegrzeczny, Tata zabiera go gdzieś, a kiedy wracają, ten ktoś płacze i jest przerażony.

– Czy jest tam chłopiec na wózku inwalidzkim?

– Nie. Nie widzę nikogo takiego.

– A ktoś, kto nie chodzi? Jest noszony?

– Nie.

– Kto jeszcze jest przy stole?

– Jakiś człowiek.

– Mężczyzna?

– Tak. To Tato.

– Tak go nazywają?

– Tak.

– Potrafisz go opisać?

– Jest duży. Ma jasne włosy, a na sobie kombinezon. Taki, który kojarzy mi się z ogrodem.

– A twarz? Widzisz jego twarz?

– Tak i nie.

– Co to znaczy?

– No, widzę ją, ale nie potrafię jej opisać. Nie wiem, jak to możliwe. Widzę ją kątem oka, ale kiedy patrzę wprost, to jest jak rozmyta, jak w zaparowanym lustrze. Czy... Czy oni mnie widzą?

– Nie, Mariusz, spokojnie. Ciebie tam nie ma. To tylko wspomnienia, do których teraz dotarłeś. Jesteś absolutnie bezpieczny. Możesz przejść do innego pomieszczenia?

– Chyba mogę.

– Spróbuj. I jak?

– Jestem.

- Co widzisz?
- Pokój. Nie ma okna. Są w nim dwa łóżka. I biurko, na którym stoi komputer. Na ścianie jest telewizor, duży. I widzę konsolę do gier.
- PlayStation?
- Tak.
- Dobra, wróć tam, gdzie byłeś. Możesz?
- Tak. Jestem. Oni wciąż jedzą. Coś się dzieje, chyba się kłóca, ten pokrzywiony strącił na podłogę talerz!
- Specjalnie?
- Nie wiem, możliwe, bo patrzy na tego mężczyznę, jakby na coś czekał. Boi się. Aż zbiełał ze strachu. On wstaje i łapie małego za ramię. Jezu... On krzyczy, chyba krzyczy, bo ja nic nie słyszę, żadnych dźwięków. Zabiera go gdzieś, ten niewidomy nie reaguje, a Maciuś siedzi jak trusia. Boli mnie... Panie doktorze, boli mnie na dole...
- Spokojnie, jesteś bezpieczny.
- Boli! Jezu, au, jak boli.
- Wracaj, Mariusz. Zaraz zatrzymam zegar. Dziesięć, dziewięć, osiem, sie...
- Spokojnie, niech pan oddycha. Już?
- Już... Już. Trudno mi uwierzyć, że to wszystko powiedziałem. Ja niczego takiego nie pamiętam!
- Wiem, ale przypomni pan sobie. Krok po kroku. To dopiero początek, pierwsze informacje, które dopiero dają nam pojęcie, o co może chodzić. Pana umysł chroni sam siebie, dawkuje te zdarzenia, przepuszczając je z podświadomości do świadomości przez coś w rodzaju filtru, powoli, rozumie pan?
- Mniej więcej... O, kurwa, grubo... O jakim chłopcu na wózku pan mówił?
- Nie widział go pan tam?
- Chyba nie, skoro o tym nie mówiłem? Ale skąd pan wie, że miał tam być?
- Mam takie informacje. Najprawdopodobniej w momencie, do którego pan się cofnął, jeszcze go tam nie było. Nie potrafił pan określić czasu, w którym to się działo, więc to mogło być nawet kilka miesięcy temu.
- Aaa... Co ja tam robiłem?
- Nie wiem.

– Wie pan. Pan to wie, tylko ukrywa przede mną. Co robiłem z tamtymi dziećmi w tej cholernej piwnicy? Dlaczego ścisnąłem sobie kutasa po obudzeniu się?

– Cóż, wygląda na to, że nie mówi mi pan wszystkiego.

– Jak to? Przecież hipnoza...

– To nie tak, że pan nie chce. Pan nie może. Jeszcze. Ale dojdziemy do tego. Zejdziemy jeszcze jeden poziom niżej i...

– Trafimy do piekła.

– Proszę się nie nakręcać. Niech pan się napije wody. Śmiało, musi pan uzupełnić płyny, spocił się pan, odwodnienie byłoby teraz niezbyt pożądane.

– ...

– Dobrze, a teraz musi pan odpocząć.

– Kręci mi się w głowie.

– To normalne. Minie. Taki trans kosztuje naprawdę sporo sił, nie tylko umysłowych. Pewnie chce się panu spać?

– I to jak.

– Nie ma żadnych powodów, dla których nie mógłby pan zaraz zasnąć. To co? Kończymy na dziś?

– Kończymy, panie doktorze, jeśli można. Kończymy...

## 12

Bielawski wpatrywał się w kartkę, na której Marta wydrukowała artykuł znaleziony w sieci. Głaskał się po podbródku, a Sygit śledziła ruch jego oczu, którymi wodził po tekście. Przyjechała do niego z samego rana, bez uprzedzenia. Nie chciała mu tłumaczyć przez telefon, a na pewno zapytałby, po co chce przyjeżdżać do niego tak wcześnie.

– Kurwa... – Bielawski zaklął nagle, uderzając w papier palcami drugiej dłoni, aż się naddarł. – Trzech ludzi, byłych śledczych z wieloletnim doświadczeniem. Jeden wciąż aktywny zawodowo. Dobrze opłacani. Jak to możliwe, że oni to przeoczyli? Jak, do cholery?

– Ich zapytaj – poradziła, wyjmując mu kartkę z ręki.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że aż ją zmroziło.

– Żebyś wiedziała, że zapytam... Jak to znalazłaś? – Wskazał wzrokiem papier.

– Po prostu przeglądałam wszystko, co zdołałam znaleźć o tajemniczych zaginięciach dzieci w Polsce. W Google’u, rozumiesz? Może właśnie dlatego oni to przeoczyli, bo zabrali się do rzeczy zbyt profesjonalnie?

– Niewykluczone.

– Posłuchaj... Jest jeszcze możliwość, że to jednak nie ma związku z naszymi dziećmi.

– Jedne dzieci giną bez śladu. Na zawsze. Zostają zamordowane, giną w wypadkach w ustronnych miejscach, a ich ciała zostają ukryte przez sprawców. Albo toną w gliniankach, zostają przysypane żwirem, dzieją się im straszne rzeczy i nikt nigdy się o tym nie dowiaduje. Inne znajdują się dosyć szybko: uciekły z domu, zabrał je rozwiedziony rodzic, wpadają w ręce policji przyłapano na kradzieży w sklepie. A tu porwany zostaje kilkuletni chłopiec, który po kilkunastu tygodniach przetrzymywania zostaje znaleziony w ruinach spalonej chaty gdzieś na Pogórzu Izerskim. Niczego nie pamięta, w jego organizmie są ślady długotrwałego działania środków farmakologicznych. A więc mamy przypadek niemal idealnie zgodny z tym, co zakładamy, że stało się z naszymi chłopakami. Wpisuje się w schemat. Też był ukryty.



– Schemat, który jest naszym przypuszczeniem, bo nie mamy pewności, co się z nimi dzieje. A poza tym ten chłopiec nie był niepełnosprawny.

– A skąd to wiesz?

– No... Nie było o tym wspomniane...

– To jeszcze niczego nie oznacza.

– Ale to dosyć istotna informacja. Gdyby był, z całą pewnością by o tym wspomnieli w artykule.

– Nie z całą pewnością.

– Dobrze, nie z całą – zgodziła się. – Ale to wciąż może być przypadek.

– To po co mi to przyniosłaś? – Pomachał papierem.

Nic nie powiedziała. Nawet tego, jak zareagowała, kiedy znalazła artykuł w sieci.

– Sama czujesz, że ten związek istnieje. Nikłe prawdopodobieństwo, że to przypadek. – Bielawski pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Tak uważam.

– Ale dlaczego?

– On się rozkręcał. Może próbował, jak mu to wyjdzie. Sprawdzał, jaki będzie szum, jaki zasięg będą miały poszukiwania, w jaki sposób będzie to dotyczyć jego. I coś się nagle stało, że zniknął, zostawiając to dziecko. Nie wiemy co: może uznał, że policja jest zbyt blisko rozwiązania zagadki, może naszły go wyrzuty sumienia i zdecydował się uwolnić chłopca? Ale udało mu się, temu małemu. I to jest nasza szansa. Jest nadzieja, rozumiesz?

– Co masz na myśli?

– Bo skoro nie zabił go wtedy, tylko zaćpał lekami, żeby niczego nie pamiętał, to znaczy, że zabijanie nie jest jego celem jako takim.

– A co jest? Jak bardzo chorym trzeba być, żeby więzić dziecko przez tyle czasu?

– Bez wątplenia jest zwyrodnialcem, ale nie zabija.

– A skąd wiesz, że nie zabije tym razem? Może nie był wtedy na to gotowy, ale teraz już jest?

Bielawski oblizał usta i uciekł spojrzeniem w bok.

– Marek... – powiedziała cicho. – Wciąż nie odpowiedziałeś mi na pytanie...

– Jakie pytanie?

– Dlaczego uważasz, że to ten sam człowiek?

– Odpowiedziałem przed chwilą.

– To nie była odpowiedź na moje pytanie. Ty chcesz wierzyć, że tak jest. Z dwóch powodów. Bo to trop, za którym można pójść...

– To oczywiste – prychnął. – A drugi powód?

– Bo chcesz w to wierzyć. Chcesz...

Wyprostował się i spojrzał na nią, jakby go uraziła.

– Nie rozumiem – zachnął się. – A ty nie chcesz?

– Tu nie chodzi o to, w co wierzę, a w co nie. Ani tym bardziej w co chcę wierzyć. Jedyne, czego chcę, to mieć twarde dowody. Chcę wiedzieć, wiedzieć na pewno, a nie wierzyć!

Podszedł, chwycił ją za ramiona i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Posłuchaj mnie, Marta. Posłuchaj mnie uważnie. Przyzwyczaj się do tego, że tu nie ma i nie będzie nic pewnego. Że błądzimy po omacku. Że nigdy nie będziemy mieć pewności, że trop, który chwycimy, dokądkolwiek nas zaprowadzi. Ale będziemy nim iść, a nie siedzieć na dupach i joczyć, że to nie ma sensu. Gdybym w taki sposób postępował, to dziś byłbym dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłem w dniu porwania Maćka. Minął rok, każdy straciłby już nadzieję, ale nie ja. Ja wciąż wierzę, że on żyje. I tak, do kurwy nędzy, wierzę również, że to ten sam człowiek, wierzę, że nie chce zabijać i wierzę, że go znajdziemy. Czy to jest dla ciebie jasne, Marta? – Potrząsnął nią lekko. – Jasne? Odpowiedz mi! Bo inaczej to nie ma sensu. Nie ma sensu, żebyś była tu ze mną, bo mnie tylko spowalniasz. Więc jak?

– Jestem z tobą. – Zaciśnęła zęby i spojrzała mu w oczy. – Przepraszam...

– Dobra dziewczyna. – Uśmiechnął się nagle i spojrzał na jej włosy, jakby chciał ją po nich pogłaskać. – I nie ma sprawy. Każdy ma chwile zwątpienia. Myślisz, że ja nie mam?

– A masz?

Zmrużył oczy.

– Rzadko, bo nie jestem przyzwyczajony do porażek, dlatego że praktycznie nigdy żadnej nie poniosłem. I wydaje mi się, że wiem dlaczego.

– Dlaczego?

– Bo nigdy nie zakładałem, że może mi się nie udać. Kiedy w Lubieszynie po raz pierwszy rozkładałem polówkę i układałem na niej sztangi papierosów, nawet przez myśl mi nie przeszło, że może mi nie wyjść. Nawet jak musiałem uciekać do Stanów, to wiedziałem, że niedługo wrócę, i jeszcze zdążyłem tam wkręcić się trochę w nieruchomości i zarobić.

Każda zła sytuacja jest równocześnie okazją do zrobienia czegoś pożytecznego, rozumiesz? I trzeba ją maksymalnie wykorzystać. Skupić się na jasnych stronach.

– Mówisz jak coach.

Parsknął śmiechem.

– Rozejrzyj się po moim domu. Nie macham ci przed nosem gównem wartym certyfikatem ukończenia kursu dla trenerów personalnych, tylko pokazuję efekt zastosowania mojej filozofii życiowej w realu. Nie przekonuje cię to?

– Po co musiałeś uciekać do Stanów?

Przez twarz Bielawskiego przebiegł cień.

– Dawne dzieje. – Machnął ręką. – Nie wracajmy do tego.

– Okej... – mruknęła tylko.

– Pojedziesz ze mną do Orłowic? – zapytał nagle.

– Po co?

– Chcę to zobaczyć na własne oczy. Miejsce, w którym on trzymał tego dzieciaka. Zrobię zdjęcia, wyślę je Yanceyowi, on na pewno wyciągnie jakieś wnioski. A potem spotkamy się z tym dzieckiem.

– Przecież nie masz pojęcia, gdzie mieszka, ani w ogóle, o kogo chodzi!

– Za kilka dni będę to wiedział.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

– Jak na razie mam podstawy. Wszystkie informacje, na których mi zależało, dostawałem dość szybko dzięki ludziom, którym za to płać.

– I jak już to ustalą, to...?

– Zabiorę ze sobą kogoś i porozmawiamy z tym dzieckiem. Może coś pamięta.

– Kogo chcesz zabrać?

– Jest taki psychiatra i psycholog. Konsultowałem z nim Maćka. Specjalista od dzieciaków, i to wysokiej klasy specjalista. Wykłada na naszym uniwersytecie medycznym, ale też w Greifswaldzie. Opinie są raczej zgodne; facet jest genialny, jeśli chodzi o naprawianie trybików w głowie.

– Tylko z takimi pracujesz? – Spojrzała mu w oczy. – Z najlepszymi?

– Dokładnie. Gość nazywa się Sobczak. On wyciągnie z tego chłopca, co trzeba. Wracaj do domu i idź spać. – Uśmiechnął się do niej ciepło. – Chcesz jechać do niego ze mną?

– A co mam do roboty? – Westchnęła. – I tak nie mogę się na niczym sensownym skupić. Mam siedzieć w domu i umierać ze zmartwienia? To wolę to robić na zewnątrz.

– Przyjadę po ciebie wcześniej rano.

– Która to dla ciebie wcześniej rano?

– Dziewiąta?

– Okej... – Marta uśmiechnęła się lekko, zdając sobie sprawę, że naprawdę zrobiła Bielawskiemu niezbyt miłą niespodziankę, zjawiając się u niego tak wcześnie. – Niech będzie. Wielkopols...

– Wiem, gdzie mieszkasz. – Przekrzywił głowę i poczęstował ją kpiącym spojrzeniem. – Do jutra.

## 13

– To tu? – zapytała Marta.

– Tak. – Bielawski skręcił z Broniewskiego w uliczkę Doktora Judyma.

Byli na terenie dawnego zakładu opiekuńczego dla dzieci upośledzonych i chorych psychicznie, niedaleko szpitala wojewódzkiego na Arkońskiej. Kukułczy Młyn przed wojną był zespołem ponad siedemdziesięciu budynków zlokalizowanych w urokliwym miejscu Szczecina, miał wszystko, co potrzebne było do funkcjonowania zakładu: kuchnię, pralnię, kaplicę i niewielki cmentarz, na którym chowano pacjentów, również tych uśmiercanych w ramach akcji T-4. Dziś w budynkach mieściły się różne instytucje, a także oddziały szpitala psychiatrycznego. W Szczecinie dzieciaki nigdy nie mówiły innym dzieciakom: „odwiozą cię do Tworek”, tylko „zamkną cię na Broniewskiego”. W pewnym momencie swojego życia, nie tak dawno temu, Marta też była pewna, że tam w końcu wyląduje.

– To mała, prywatna klinika psychiatryczna – wyjaśnił Marek, kiedy mijali mostek nad strumykiem Warszewiec. – Dla bogatych ludzi, ze świetnymi specjalistami. Spotkamy się z jednym z nich. Psychiatrą, o którym ci mówiłem, Sobczakiem.

– Dobrze być bogatym, kiedy się zachoruje, co?

– W przypadku chorób psychicznych to chyba nie ma znaczenia. – Bielawski zmarszczył nos i zrobił minę, jakby poczuł jakiś niemiły zapach. – Przy raku czy innych chorobach przewlekłych to faktycznie może być istotne, ale wobec psychicznych wszyscy są równi: biedni i bogaci.

– Tak sądzisz?

– Tak. Tak sędzę.

Droga powoli zamieniała się w parkową ścieżkę, w oddali widać było plac zabaw i starą wieżę ciśnień przerobioną na dom mieszkalny. Marek zjechał na pobocze. Budynek, przed którym się zatrzymali, odzyskał jakiś czas temu dawną świetność: niepokryty jeszcze zanieczyszczeniami tynk raził w oczy bielą, a opierzenia i parapety błyszcząły w słońcu jak lustra.

Wysiedli oboje z samochodu. Bielawski w milczeniu poprowadził Martę w stronę budynku.

– Facet dzierżawi dwa piętra, zatrudnia kilka osób: dwóch lekarzy psychiatrów i niezbyt liczny personel pielęgniarski – zaczął jej wyjaśniać. – Leczą się tu ludzie, których oczywiście na to stać, opieka jest dzienna, w formie poradni, ale całodobowa też, jest tu także kilka pomieszczeń, w których można umieścić kogoś tak, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Wiesz, o co chodzi?

– Wiem – mruknęła.

– Jesteśmy umówieni na dziesiątą. Gość ma świra na punkcie czasu, jest obsesyjnie punktualny, więc dobrze, że nie jesteśmy spóźnieni, ale za wcześnie też nie możemy być. Poczekamy te kilka minut.

Usiedli na ławce przed wejściem. Marta przycupnęła na jej skraju, co uświadomiło jej nagle, jak bardzo jest zdenerwowana, Bielawski zaś rozparł się wygodnie, zakładając ręce za głowę i odchylając się do tyłu. Patrzył w bezchmurne niebo, a Marta myślała sobie, ile w nim spokoju i opanowania. Był jednym z tych ludzi, którzy zawsze wiedzą, co robią, albo im się tylko tak wydaje, ale mimo to nie zastanawiają się nad tym za bardzo. Po prostu idą naprzód, konsekwentnie realizując założone cele. Przez chwilę zapragnęła być taka jak on: bez emocji, opanowana i twarda, dopóki nie uświadomiła sobie, jak wiele ich różni. A przede wszystkim płęć.

Siedzieli tak w milczeniu kilka minut, w tym czasie Marta usiłowała cieszyć się pogodą, śpiewem ptaków i soczystą zielenią parku otaczającego budynek, ale wysiłki spełzły na niczym. Z jakiegoś powodu czuła się, jakby czekała na wyniki badań, od których zależeć miało wszystko, a przecież mieli tylko pogadać z człowiekiem, który miał im w jakiś sposób pomóc. Może sprawiał to fakt, że był psychiatrą?

– Chodźmy. – Marek wstał z ławki i stanął nad Martą, zasłaniając sobą słońce.

Wstała. Kilka minut później, zaanonsowani przez recepcjonistkę, wchodzili do gabinetu lekarskiego. W środku czekał na nich mężczyzna w białym kitlu, ale pierwsza rzecz, na którą Marta zwróciła uwagę, był niepasujący do niczego drewniany, naścienny zegar. Podeszli z Markiem do lekarza. Był wysokim, szczupłym blondynem, pod rozpiętym kitem widziała markowe ciuchy. Stał z założonymi do tyłu rękami już w momencie, gdy weszli, jak surowy nauczyciel starej daty czekający tylko,

kto ośmieli się spóźnić. Marta przyjrzała mu się, lekko zadzierając głowę. Był raczej przystojny, choć jego urodę określiłaby jako chłodną. Ciemnożółte włosy, zaczesane do góry, były rzadkie i choć nie wyglądał, jakby łyśiał, to jego fryzura takie sprawiała wrażenie. Nie miał na lekko kwadratowej twarzy śladu zarostu, piwne oczy świdrowały ich, aż Marta poczuła się trochę nieswojo.

Przypomniała sobie swoje zdenerwowanie na ławce przed wejściem.

– Dzień dobry – powiedział lekarz.

Miał zaskakująco ciepły i miły głos.

– To pan doktor Sobczak – przedstawił go Marek. – A to Marta Sygit, mama Piotrka, numeru cztery.

– Jakiego numeru? – Marta otworzyła szeroko oczy.

– Nie denerwuj się, nadaliśmy im numery, żeby uprościć sprawę, tak? Jak Żydzi, którzy zamiast opowiadać dowcipy, ponumerowali je i rzucają tylko numerkami. Jest szybciej i wygodniej.

– To nie jest zabawne – odparła zimnym tonem.

– O Jezu, chodzi o zasadę, rozumiesz? Tak jest prościej... Dobrze, matka Piotra Rybickiego. Panie doktorze, jesteśmy tutaj, bo mamy... Pani Sygit na coś wpadła i w związku z tym mamy pewną teorię.

– Taak? – Sobczak przeniósł spojrzenie na jej twarz i Marta miała wrażenie, że usiłuje przeskanować jej mózg.

A potem zobaczyła, że skupia wzrok na jej włosach, później muska nim biust wypychający bluzę z kapturem i miała wrażenie, że nawet nie stara się tego ukryć. Jego spojrzenie nie było wprawdzie obleśnie lepkie, i być może nawet cieszyłaby się z niego jako kobieta, ale raczej na ulicy, a nie tu.

– Marta przypadkiem natknęła się na dawną sprawę porwania dziecka – kontynuował Marek.

– Tu? W Szczecinie? – Sobczak zmarszczył brwi.

– Nie, na Dolnym Śląsku.

Bielawski wyjaśnił pokrótce Sobczakowi, o co chodzi. Kiedy skończył, lekarz zrobił zdziwioną minę.

– Jak dla mnie za dużo tu przypadku, żeby dało się to sensownie powiązać, bo te sprawy łączy tylko dziecko – stwierdził. – Ale jestem specjalistą od dzieci, a nie od sprawców, eee... porwań. No, ale skoro państwo tak uważacie...

– Tak właśnie uważamy, choć oczywiście też nie jesteśmy specjalistami – powiedział szybko Bielawski, jak gdyby bał się, że Sobczak zacznie go przekonywać, że się myli.

– A co na to policja?

– To świeże odkrycie, i tak między nami, zdaję sobie sprawę, że mogą podejść do tego równie sceptycznie, jak pan przed chwilą.

– Czyli nie poinformował ich pan jeszcze o tym?

– Nie.

– No dobrze, rozumiem... Choć nie do końca, przyznam, bo wciąż nie wiem, czego pan ode mnie w związku z tym oczekuje?

– Widzi pan, teraz chodzi o to, że ktoś musi z tym dzieckiem porozmawiać. Nie przypadkowa osoba, tylko specjalista. To dziecko przeszło traumę, prawdopodobnie zamknęło się na pewne wspomnienia, zablokowało. Pan jest niewątpliwie specjalistą, i to cenionym, poza tym stosuje w swojej pracy różne techniki...

– Mówi pan o hipnozie?

– Na przykład – odparł Bielawski, ale ton jego głosu i krótki czas odpowiedzi świadczyły o tym, że nie chodziło mu o przykład, tylko konkretnie o hipnozę.

Wiedziała to Marta i wiedział to Sobczak, bo wpatrzony w podłogę pokręcił głową i powiedział z ledwo skrywanym rozbawieniem:

– Przykro mi, ale jest pan laikiem. To nie działa tak, jak pan myśli.

– Dobrze, nie wnikam. Ale potrafi pan dotrzeć do takiego dziecka.

Sobczak westchnął i dla odmiany spojrzał teraz w sufit.

– Panie Marku, to nie jest tak, że ja mogę w każdej chwili rzucić wszystko i jechać z panem. Ja mam plany poukładane jak w szwajcarskim zegarku na miesiące naprzód, jestem w kilku bardzo poważnych terapiach, przypominam, że jedna z nich dotyczy pańskiej... – Sobczak spojrzał na Martę. – Waszej sprawy. Każde odstępstwo od reguły, od utartego schematu, do którego przyzwyczajeni są pacjenci, powoduje regres. Cofamy się, a to niebezpieczne. Nie mogę do tego dopuścić jako lekarz, rozumie pan? Poza tym, wątpię, żeby ta rozmowa z dzieckiem cokolwiek dała, skoro, jak pan twierdzi, leki praktycznie skasowały mu pamięć. I ja potwierdzam: to możliwe.

– Nic pan nie zrobi? Pieniądze nie mają znaczenia.

– Proszę pana, pan mnie nie obraża, tu nie chodzi o pieniądze... Mogę ewentualnie skontaktować się z psychologiem, którzy z nim pracował, i po



koleżeńsku podpytać, jeśli ustali pan, kto nim był. Da pan radę?

– Dam. W ciągu kilku dni dam panu nazwisko i kontakt do tej osoby. – Bielawski zawahał się lekko. – Na pewno nie da pan się przekonać?

– Przykro mi, na pewno. – Sobczak rozłożył szeroko ręce.

– Dobrze, nie będziemy zajmować panu więcej czasu. – Bielawski uśmiechnął się, a Marta poczuła lekkie zdziwienie.

Na tyle, na ile zdążyła go poznać, sądziła, że jest bardziej przebojowy. A tu skapitulował, zanim jeszcze zaczął się rozkręcać. Była pewna, że stać go na więcej.

– Szczerze mówiąc, nie mam go za dużo, nawet dla pana, panie Marku. – Sobczak roześmiał się cicho.

Wychodząc z gabinetu, Marta zauważyła, że na zegarze jest ta sama godzina, którą widziała, kiedy tu wchodzili. Uświadomiła sobie też, że nie słyszała tykania.

– Facet jest obsesyjnie punktualny, a jednak zegar w gabinecie nie chodzi – zagadnęła Marka, kiedy czekali na windę. – Dziwne.

– Może miał naręczny pod rękawem – stwierdził obojętnie Bielawski.

Marta pokiwała głową.

– Możliwe. – Zerknęła na niego. – Czemu tak szybko odpuściłeś?

– Zauważyłaś?

– Tak.

– Bo wiem, że ciśnienie go nie ma sensu. Zdążyłem go trochę poznać.

– Okej... A powiedz mi: wszystko załatwiasz pieniędzmi?

– Prawie wszystko.

– Bo nie wszystko da się nimi załatwić?

– Owszem, nie wszystko. – Teraz on na nią spojrzał. – Czasem wystarczy dorzucić ich więcej. A czasem trzeba użyć perswazji.

– Perswazji?

Nadjechała winda. Wsiedli do niej, Bielawski wcisnął „0” i drzwi zaczęły się zamykać.

– Nie chcesz wiedzieć. – Mlasnął. – Zresztą to ciebie nie dotyczy.

– Jasne... – Uznała, że wystarczy i że nawet jej to za bardzo nie interesuje. – Z rozmowy, a przede wszystkim z tego waszego „numeru cztery” wynikało, że on wie o wszystkim? Tak samo, kiedy wspominał, że jedna z terapii dotyczy twojej sprawy, a potem poprawił się, że naszej? Czyli wiedział o mnie wcześniej?

– Na bieżąco konsultuję z nim wszystko, czego się dowiem.

– I naprawdę te jego zajęcia i pacjenci uniemożliwiają mu wyjazd dosłownie na parę godzin? Góra jeden dzień?

– Nie mam pojęcia, facet jest geniuszem, a oni mają swoje, wiesz...

– Wiem. – Pokiwała głową. – Na przykład bezwstydnie dostają wzrodu na mój widok.

– Co ty mówisz? – Bielawski spojrzał na nią zdumiony.

– Pod koniec miał w spodniach wyraźne wybrzuszenie.

– Może ma po prostu dużego?

– To gdzie się czaił na początku?

– Jezu, żartujesz? – Parsknął śmiechem.

– Nie, uwierz mi, kobiety widzą takie rzeczy.

– Okej, mnie tam w życiu nie przyszłoby do głowy spojrzeć w tamto miejsce. Może jest wyjątkowo reaktywny, no i powiedzmy sobie szczerze, jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

Powiedział ten komplement bez jakiegokolwiek podtekstu w tonie głosu, nawet na nią nie patrząc, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Uznała, że to miłe.

– Okej – westchnęła. – Czyli jedziemy sami?

– Na to wygląda. Kiedy tylko wrócę do domu, skontaktuję się z detektywem, żeby ustalił szczegóły tej sprawy, a przede wszystkim, o jakie dziecko chodzi. I kto się nim opiekował po uwolnieniu, mówię o psychologu.

Poczuła lekkie szarpnięcie i winda się zatrzymała.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że ktoś taki też zajmuje się naszą sprawą? – zapytała Marta, kiedy wyszli już na zewnątrz. – Tak jak o Yanceyu?

– Przecież powiedziałem. – Bielawski wzruszył ramionami. – A nawet cię do niego przywiozłem.

Pomyślała, że robi z niej balona. A może jednak ma w tym jakiś cel albo po prostu jej do końca nie ufa.

– O czym jeszcze mi nie powiedziałaś? – drążyła.

– Wiesz o wszystkim, o czym powinnaś wiedzieć.

– Dziwnie to zabrzmiało, Marek. Czyli o czymś jednak nie wiem?

– Marta. – Spojrzał na nią tak poważnym wzrokiem, że aż poczuła chłód na karku. Jakby nigdy się nie znali, tylko na przykład potrącili na chodniku i wymienili spojrzenia, zastanawiając się, czy się wzajemnie opieprzyć, czy przeprosić; tak na nią patrzył. – Nie draż. Wiesz o wszystkim, tak? Po prostu źle się wyraziłem.

– Dobra – mruknęła. – Odwieszysz mnie do domu?

– A jak myślisz? – Teraz w jego oczach dostrzegła zdumienie.

Po drodze Bielawski podpytywał o jej życie, rodzinę i pracę. Odpowiadała mu, może bez zagłębiania się w szczegóły, i zastanawiała, czemu chce to wiedzieć. Czy naprawdę go to interesuje, czy tylko zabija czas albo nie lubi, kiedy panuje niezręczna cisza. Wiedziała, że kiedy sprawa się zakończy, bez względu na to, w jaki sposób, następnym razem zobaczą się wyłącznie przez przypadek. Nie będzie kółka wzajemnego wsparcia rodziców porwanych dzieci, swoistego „klubu Ukrytych”, będą chcieli zerwać ze wszystkim, co mogłoby przypomnieć tragiczne zdarzenia, rozpacz, płonne nadzieje i wszystko inne, z czym zmagają się teraz. Bo teraz łączyła ich wyłącznie wspólna tragedia.

Wysiadła pod domem. Posłała mu jeszcze ciepły uśmiech, do którego trochę się zmusiła, i poszła do siebie.

Dwa dni później Bielawski przyjechał do Marty. Nie kontaktowali się ze sobą od czasu wizyty u Sobczaka, choć korciło ją, żeby zadzwonić do Marka i zapytać, co słyhać. A najchętniej usłyszeć, że jest świetnie i są już blisko. Dlatego zdziwiła się, kiedy otworzyła drzwi i ujrzała go za nimi. Poza tym nie było jeszcze dziewiątej.

– Wiem już wszystko. – Uśmiechał się szeroko.

– Wszystko? – Zmarszczyła brwi.

– No, nie wszystko, chodzi mi o to porwanie z Orłowic. Chłopiec nazywa się Maksiu Trzeciak, tak na niego mówią: Maksiu, i ma osiem lat. Jego rodzice są lekarzami i z tego, co się zorientował mój człowiek, nie życzą sobie wracania do tego. Chronią go przed mediami, przed obcymi. Mały praktycznie nie wychodzi z domu. Nie wiem, co ze szkołą, może ma nauczanie indywidualne albo edukację domową?

– Jest niepełnosprawny?

– Nic na to nie wskazuje, ale było mało czasu, a ten detektyw miał tylko ustalić, o kogo chodziło i gdzie mieszka. I to ustalił. Mieszkają w Jeleniej Górze, znam dokładny adres. To nie tak daleko Orłowic, gdzie go znaleziono. I zobacz: podobny schemat, bo został porwany z dużego miasta. Jest tylko jedna różnica: ma siostrę.

– Jak chcesz z nim porozmawiać, skoro rodzice na pewno nie zgodzą się na spotkanie?

– Nie wiem. Podejść na ulicy, spytać, czy możemy zadać kilka pytań...

– Ty... Żartujesz, prawda?

– O co ci chodzi?

– Chcesz podejść do chłopca, który przeżył traumę porwania, i pytać go o rzeczy, o których musi zapomnieć, żeby dalej żyć? Zresztą przecież przed chwilą sam powiedziałeś, że nie wychodzi z domu.

– A co innego proponujesz?

– Na razie pytam, czy tak to widzisz?

– A ja pytam: to jak inaczej chcesz to załatwić?

– Może go jeszcze porwiesz z tej ulicy, jak wreszcie wyjdzie z domu, co? Zawiesz w ustronne miejsce i zmusisz do odpowiedzi...

– Marta, o co ci, kurwa, chodzi?

– Miej trochę empatii, człowieku, o to mi chodzi.

– A mnie chodzi o moje dziecko. I twoje, przypominam ci, też!

– Ale to nie w taki sposób! Nie wolno ci tego robić w ten sposób, rozumiesz? Krzywdzić jedno dziecko, żeby uratować drugie! To jest chore!

– Nie krzycz, sąsiedzi usłyszą...

– Gównu mnie obchodzą sąsiedzi!

– A mnie gównu obchodzi, co sobie o tym myślisz, bo zrobię wszystko, żeby znaleźć Maćka! Wszystko! I nie chodzi o jedno dziecko, tylko czworo! To prosta kalkulacja!

– Naprawdę to dla ciebie takie proste, Marek? Stosunek liczb?

– Wiesz co... – Chwycił skrzydełka nosa i zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał, aż nagle wybuchnął. – Jak ci się nie podoba, to spierdalaj! Co tak patrzysz? Olej wszystko, łkaj w poduszkę, jak tamci. Módl się, kurwa, nie wiem, rób, co chcesz, pojedź sobie do Medzugarje, jasnowidza albo wróżki.

Popatrzyła na niego jak na obcą formę życia.

– Jakim ty jesteś człowiekiem? – zapytała. – Jakim?

– Zdesperowanym, Marta. – Jego głos ścichł. – Miałem nowotwór, osiem lat temu przeszedłem resekcję jąder, nie zgodziłem się na pobranie materiału do in vitro, gdybym chciał mieć jeszcze jedno dziecko. Moja żona nie chciała, bała się, że następnemu przydarzy się to samo co Maćkowi. Więc mój syn jest moim jedynym potomkiem i nie mam szans na kolejnego. To nie jest najważniejszy aspekt w całości zagadnienia, to oczywiste, ale jednak istotny, rozumiesz? Maciek nie przejmie po mnie firmy, nie będzie jej rozwijał, nie będę patrzył z dumą, jak pomnaża majątek, ale to nieistotne, bo jest moim synem. Odzyskam swoje dziecko choćby nie wiem co i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Nikt! Ani nic. I jeśli będziesz mi w tym przeszkadzać, zamiast pomagać, to się pożegnamy. Dalej będę robił swoje, szukał również twojego syna, ale już bez ciebie. Rozumiemy się? Więc jedziesz ze mną czy nie?

– Jadę – odpowiedziała twardo. – Ktoś musi cię pilnować. Ja załatwię tę sprawę.

– No to zbieraj się.

– Co? – Otworzyła szeroko oczy. – Teraz? Tak od razu?

– A na co chcesz czekać? – Zamrugał powiekami, jakby to była dla niego najdziwniejsza rzecz na świecie. – Przecież nie chodzisz do pracy, prawda? Nic cię nie trzyma w domu. Spakuj się na dwa noclegi na wszelki wypadek, gdyby zdarzyło się coś niespodziewanego. Najpierw pojedziemy do Orłowic zobaczyć to miejsce. A potem do Jeleniej. Nie będziemy czekać, aż wyjdzie z domu. To my go tam odwiedzimy.

– Jak to zrobisz, skoro...

– Jego rodzice dużo pracują. Mają opiekunkę, rozumiesz?

– I co, myślisz, że przekonasz ją, żeby nas wpuściła?

– Ja nie myślę. – Wyjrzał przez okno i spojrzał w górę, jakby sprawdzał, co szykuje pogoda. – Ja wiem, że ona nas wpuści.

## 15

Mercedes z przyjemnym mruzeniem silnika połykał kilometr po kilometrze, mieli ich za sobą już prawie trzysta. Marta siedziała z przodu, słońce świeciło jej w twarz, więc miała na nosie okulary przeciwsłoneczne. Kiedy rano wsiadała do auta, Bielawski powiedział jej, że wygląda jak lepsza wersja Sary Connor, pijąc do jej bojówek i może trochę zbyt obcisłej koszulki bez rękawów z dość głębokim dekoltem. Ale chciała być ubrana wygodnie i nie jej wina, że miała spory biust. Teraz jechali w milczeniu, Marek skupiony na prowadzeniu, ona kontemplując nudny krajobraz.

– Byłam u jasnowidza, wiesz? – powiedziała nagle.

– Co? – Bielawski spojrział na nią z nieskrywanym rozbawieniem.

– Byłam u jasnowidza – powtórzyła wpatrzona w perspektywę drogi, odrobinę żałując, że mu się do tego przyznała.

– U którego? Tego z Chełmży? Boguckiego?

– Tak. – Westchnęła. – U Boguckiego.

– Kiedy zdążyłaś się z nim spotkać? Przecież nie po tym, jak ci zasugerowałem kilka godzin temu u ciebie w domu? – zażartował.

– Nie, nie po tym, jak na mnie nawrzeszczałeś – odparła i uśmiechnęła się słabo. – Wpadłam na to sama. Wcześniej.

Bielawski milczał przez chwilę, przetrawiając chyba to, co powiedziała.

– I co? – zapytał, znów lekko rozbawiony.

– I nic. Widzisz gdzieś tu mojego syna? Albo swojego?

Spoważniał. Jechali przez chwilę w ciszy.

– Wiesz, co o nim myślę? – zapytał nagle. – O tym Boguckim?

– No?

– To nie jest oszust, taki typowy, żerujący na ludzkiej krzywdzie i lubiący błyszczeć dla samego błyszczenia. On w to chyba naprawdę wierzy. W te swoje wizje. Nie uważa się za nieomylnego, ale jest przekonany, że jeśli już trafi, jest to wyłącznie jego zasługa. Jest dobrym psychologiem. Umie słuchać i kojarzyć fakty. Pewnie sporo się napatrzył, w końcu współpracował z policją, tego nikt mu nie odmawia, chociaż bez

przesady. Ma spore doświadczenie. Ale weź przypomnij sobie na przykład dyskusje o polityce z każdej rodzinnej imprezy, na której byłeś.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam na rodzinnej imprezie – mruknęła.

– Okej... – Bielawski zgubił na chwilę wątek. – W każdym razie pewnie kojarzysz te teksty: zobaczycie, skończy się to tak i tak... I co, ile razy to się potwierdziło? Wiesz, pamiętam, że mój ojciec jeszcze za głębokiego peerelu wieszczył, mówiąc do mojego dziadka: zobaczysz, ojciec, jeszcze dożyję końca komuny, mało tego – ty też dożyjesz. I miał, kurwa, rację. Nie trzeba być geniuszem ani tym bardziej jasnowidzem, żeby przewidzieć pewne rzeczy. Wystarczy trochę pomyśleć, tylko wielu ludziom po prostu nie chce się tego robić. Nie chce im się myśleć, rozumiesz? Wolą, żeby ktoś pomyślał za nich i podsunął im gotowe rozwiązanie, bo tak łatwiej. No i trzeba przyznać, że gość zna się na autopromocji. Takie jest moje zdanie...

– Bardzo szczegółowa opinia. – Zerknęła na niego.

– Co masz na myśli? – Oczy ukryte za okularami przeciwsłonecznymi patrzyły na drogę.

– Nie potrafiłabym powiedzieć tyle o człowieku, o którym usłyszałam kilka razy w mediach.

Zobaczyła, że palce Bielawskiego lekko drgnęły na kierownicy.

– Byłem u niego – przyznał po chwili z ociąganiem. – Pół roku temu.

Nic nie powiedziała. Nie chciała kontynuować tematu i Marek chyba też nie. Zobaczyła tylko, jak gwałtownie wciąga powietrze.

– Co? – zaniepokoiła się lekko.

– Nic. – Bielawski zmarszczył brwi. – Pomyślałem teraz o Yanceyu, wiesz?

– Co on ma wspólnego z Boguckim?

– Niby nic. Ale popatrz, obaj zajmują się mniej więcej tym samym, obaj wyciągają wnioski na podstawie dostarczonych im danych. Dostają rzeczy zaginionych, oglądają miejsca, w których żyli, wypytyują bliskich o szczegóły dotyczące życia, a potem formułują te wnioski. Robią niemal dokładnie to samo!

– Tylko że jeden ma ku temu naukowe podstawy, a drugi nie.

– Otóż to. Ale jak się tak dobrze zastanowić, to obaj tak naprawdę zgadują. Rozumiesz? Zgadują. – Spojrzał na nią i od razu wrócił wzrokiem na drogę. – Yancey opiera się na innych sprawach, które przecież nie były takie same, bo nie ma dwóch takich samych spraw, a Bogucki na podstawie swoich urojonych wizji, jeśli przyjmiemy za pewnik, że zjawiska



paranormalne nie istnieją. Dla mnie nie istnieją. I teraz zobacz, jaką mają skuteczność. Myślę, że podobną, może z lekką przewagą na korzyść Yanceya. Co więcej, obaj uczciwie przyznają, że mogą się mylić.

– Chcesz mi powiedzieć, że jednak znów korzystasz z usług Boguckiego?  
– Zerknęła na niego i teraz to ona miała w oczach rozbawienie.

– Nie, zostanę przy Bobie. – Roześmiał się. – Zwłaszcza że do jasnowidza w konkretnej sprawie można pójść raz, ponowna wizyta nie ma sensu, prawda? Ale przyznasz, że można zwątpić, co?

– W którego z nich?

– O, właśnie, i to jest dobre pytanie. A uściślając: można zwątpić w Yanceya albo uwierzyć w Boguckiego.

– „Albo” czy „i”? To drugie nie będzie czasami konsekwencją pierwszego?

– Masz na myśli, że zawsze trzeba się opowiedzieć po którejś stronie?

– Raczej w coś wierzyć. Bo jeśli nie wierzysz w nic, to nic ci nie zostaje.

– Ja wierzę w siebie, mówiłem ci. I tego się będę trzymał. – Wyprostował ręce, zacisnął mocniej palce na kierownicy i odchylił do tyłu głowę, kręcąc nią przez chwilę na boki. – Stajemy coś zjeść? – zapytał.

– Nie jestem głodna, ale jeśli ty jesteś, to możemy – zgodziła się.

Kilka kilometrów dalej zjechali na MOP. Bielawski zaparkował i przeszli do budynku McDonalds'a. W środku, przy kontuarze było pełno ludzi, kolejka do kas aż zakręcała, więc od razu podszedł do automatu.

– Na pewno nic nie chcesz? – zapytał, odwracając się do niej.

Pokręciła głową i patrzyła, jak zdecydowanymi ruchami klika palcem po wyświetlaczu i po chwili zabiera wydruk z numerem zamówienia. Przeszli do stanowiska odbioru i czekali w milczeniu, przypatrując się ludziom. Kilkanaście minut później Bielawski odebrał tacę z trzema hamburgerami, wrapem, frytkami i dużą colą.

– Wiem, świństwo, ale daje energię. – Wyszczrzył się do niej.

Znaleźli miejsce w rogu restauracji, gdzie właśnie jakieś małżeństwo z dwójką dzieci zwolniło stolik. Marek wziął z tacy serwetkę i zanim usiedli, stał nią blat, zrzucając okruchy na podłogę.

– Chlew – mruknął niezadowolony.

Patrzyła, jak je. Pochłaniał wszystko, nie szybko, ale bez zbędnych przerw, jakby faktycznie uzupełniał zapasy energii, a nie cieszył się smakiem. Jadł z zamkniętymi ustami i w taki sposób, że aż nabrała ochoty

na jedzenie. Ale nic nie powiedziała. Kiedy zabrał się do drugiego hamburgera, stwierdziła, że cisza ją męczy.

– Powiedział mi, że Piotrek żyje, ale cierpi. I że miejsce, w który przebywa, jest ciemne – oznajmiła, patrząc, jak Bielawski wgryza się w bułkę.

– Ty znowu o tym Boguckim? – zapytał, zerkając na nią.

– Tak – mruknęła.

Bielawski odłożył hamburgera na tackę, przełknął i wytarł usta papierową serwetką.

– Mnie gadał mniej więcej tak samo, to już było po drugim porwaniu – powiedział. – Policja wcześniej u niego była w tej sprawie, więc mógł sobie wyrobić na nią jakiś pogląd. Do tego nie trzeba jasnowidza, sam bym to wymyślił, mając już tyle danych. Skoro Piotrek został porwany, to wiadomo, że porywacz nie trzyma go w ogródku, na słoneczku. Prawie wszystkie znane przypadki porwań i długoterminowych uwięzień to piwnice albo zamknięte pomieszczenia z zasłoniętymi oknami, żeby nikt z zewnątrz nie zajrzał do środka. Odludne miejsca, choć oczywiście zdarzało się, że ofiary były przetrzymywane w środku miasta. Ale z oczywistych względów to jest dużo trudniejsze do ukrycia i dlatego dotyczy pojedynczych ofiar. I wszyscy to wiedzą: policja, Yancey i Bogucki też. – Wziął kubek i pociągnął przez słomkę spory łyk. – Toaleta?

Pokręciła głową.

– Ja skorzystam.

Wziął tacę i kiedy przechodził obok pojemnika na odpady, wrzucił wszystko do jednej przegródki, nie przejmując się rozdzielaniem na papier, plastik czy resztki organiczne. W koszu wylądował jeden hamburger i resztki drugiego. Kiedy Bielawski zniknął za rogiem, Marta doszła do wniosku, że nie potrafi faceta rozgryźć. Zachowywał się kulturalnie, choć bywał szorstki w obyciu, więc to zachowanie wynikało raczej z wyrachowania niż przekonania, przynajmniej tak to odbierała. Nie dbał o drobne rzeczy: te, które dotyczyły wspólnego dobra, i to mogło wynikać ze skupienia się na rzeczach według niego bardziej istotnych, jak na przykład zarabianie dużych pieniędzy. Nie miała pojęcia, jak myślą ludzi jego pokroju, czy raczej ci żyjący w takich bańkach jak Bielawski. Obawiała się tylko jednego: faceci tacy jak on prezentowali często skłonności do ryzykownych zachowań. Nie chciała, żeby coś takiego miało wpływ na to, co robili teraz.

Kiedy wyłonił się zza ażurowego przepierzenia, wstała i poszła w stronę wyjścia. Spotkali się przy nim, Bielawski przepuścił ją w drzwiach, co znów jej zaburzyło nieco jego obraz. A potem wsiedli do mercedesa i ruszyli w dalszą drogę.

## 16

– Jak znajdziemy to miejsce? – zapytała Marta, kiedy minęli tablicę z nazwą miejscowości. – Przecież w artykule jest tylko zdjęcie tego spalonego domu?

– Wątpię, żeby to zdjęcie miało cokolwiek wspólnego z rzeczywistością.

– Dlaczego?

– To fotka z iStocka, tak zwykle bywa z tymi artykułami w internecie. Chyba nie sądzisz, że ktoś pojechał na miejsce specjalnie, żeby cyknąć zdjęcie?

– Tak właśnie sądziłam – mruknęła.

Bielawski westchnął, rozglądając się na boki.

– Nawet jeśli się mylę, to i tak szukanie go przez kręcenie się po wsi nie ma sensu.

– Czyli co teraz?

– A co ty byś zrobiła? – Spojrzał na nią i uśmiechnął się chytrze.

Zwolnił wyraźnie i teraz ledwie się toczyli.

– Zapytałabym.

– Otóż to.

– A kogo? Miejscowych?

– Najlepiej – zgodził się.

– Chcesz zapukać do pierwszego lepszego domu i zapytać o porwane dziecko?

– Mniej więcej, tyle że nie do pierwszego lepszego. – Dodał lekko gazu, włączył kierunkowskaz, zjechał na pobocze i zatrzymał auto. – To tutaj.

– Tu? – Zmarszczyła brwi.

Oboje wysiedli, ale tylko Marta była zdziwiona. Znajdowali się w samym środku wsi, było bardzo cicho, skądś dobiegał ją szum Kwisy. Kilkadziesiąt metrów dalej widziała skrzyżowanie, a przed sobą miała ciąg kilku długich, dwukondygnacyjnych budynków o zaniedbanych elewacjach. W środkowym mieścił się sklep wielobranżowy i tam właśnie skierował się Bielawski, nie czekając na nią. Poszła za nim, wzruszając ramionami.

Chyba bawiło go to utrzymywanie aury tajemniczości i pomyślała, że jednak każdy facet ma coś z dziecka. Nawet taki jak Bielawski.

Weszła za nim do sklepu i patrzyła, jak nie zwracając na nic uwagi, podchodzi do regału, bierze butelkę wody, colę, a potem rusza ku ekspedientce czuwającej na stanowisku i czujnym spojrzeniem śledzącej nieznanego jej klienta. Kobieta za ladą miała na sobie fartuch, który kojarzył się Marcie z peerelem, choć niewątpliwie był nowy i czysty. Lekko zaniedbana trwała wymagała interwencji fryzjera, ale uznała, że nie będzie pierwsza rzucać kamieniem, skoro ona też już z pół roku nie była u Anki, której nożyczkom jako jedynej fryzjerce na świecie była w stanie powierzyć swoje włosy.

Bielawski postawił zakupy na kontuarze.

– Coś jeszcze dla pana? – zapytała sprzedawczyni, biorąc butelkę z wodą do zeskanowania.

– Chciałem zapytać o to porwanie...

Ręka kobiety znieruchomiła.

– A co pan taki ciekawski?

– Dziennikarzem jestem.

– Przecież już dawno wszyscy o tym zapomnieli.

– Nie wszyscy. – Bielawski uśmiechnął się zagadkowo.

Marta widziała z boku, jak ten uśmiech podzielał na ekspedientkę. Był w stanie zdziałać cuda, wiedziała to i czuła jako kobieta, była też pewna, że Bielawski również doskonale to wie. Pokręciła głową i uśmiechnęła się z przekąsem.

– A co pan chce wiedzieć?

– Przede wszystkim gdzie to jest?

– A, jak na kopalnię się jedzie.

– Na kopalnię?

– Tu mnóstwo starych sztolni jest w okolicy. Od średniowiecza kopali rudy. Cyń, kobalt, uranu nawet szukali.

– Jasne. Daleko to?

– Kawalek. Skręci pan na skrzyżowaniu na Czerniawę i za starą fabryką płyt pilśniowych pierwsza w prawo, jakieś pół kilometra dziurawym asfaltem. Pan pogada z Jakubiakiem. Mieszka w takim zrujnowanym domu, nieotynkowanym, z połatanym, blaszanym dachem, trudno przegapić.

– A to miejsce, w którym ktoś przetrzymywał tego dzieciaka?

– Je trudno znaleźć. Ale Jakubiak panu pokaże, to obok niego. Przez pole przejdziecie, i już.

– A pani coś o tym wie?

– Ja plotkować nie lubię. – Sklepowa wykrzywiła usta. – A on tak. Tylko sugeruję jeszcze coś dokupić. – Kącki ust powędrowały do góry, uśmiechnęła się, odwróciła i z półki z alkoholami zdjęła butelkę wódki. – To powinno pomóc.

– Poproszę jeszcze jedną.

– Pan uważa, to alkoholik z długim stażem. Nie da pan mu rady.

– Nie zamierzam. Ja nie piję. – Puścił do niej oko. – Kartą poproszę.

Wybuchnęła perlistym śmiechem. Bielawski zapłacił, zgarnął butelki pod pachę i nie zwracając uwagi na Martę, wyszedł ze sklepu, obdarzając ekspedientkę na pożegnanie jeszcze jednym łobuzerskim uśmiechem. Wyszła za nim, nie mówiąc ani słowa i nie oglądając się za siebie. Czekał przy samochodzie, okulary słoneczne znów były na jego nosie. Wsiadła do mercedesa, patrząc rozbawiona na Bielawskiego, on też spoglądał na nią, aż jej głowa zniknęła pod dachem. Wsiadł również i zapinając pas, spojrzał na nią jeszcze raz i zapytał:

– Co?

– Nic – mruknęła.

– To czemu tak na mnie patrzysz?

– Kiedy się tak uśmiechnąłeś... W sklepie...

– No?

– Nogi jej zmiękły. I nie tylko nogi, uwierz mi.

– Myślisz?

– Nie myślę, wiem. I wiem, że ty też to wiesz, cwaniaku. – Uśmiechnęła się. – Wyglądałeś, jak najmilszy facet na świecie.

– Przecież ja jestem najmilszym facetem na świecie. – Wyszczrzył się do niej.

Po jej ustach błądził sceptyczny uśmieszek i zrobiła to specjalnie.

– No dobra, nie jestem. – Marek westchnął, sięgając do przycisku uruchamiającego silnik. – Zrobiłem to specjalnie.

– Ale osiągnąłeś cel. Bo ona tak myśli.

– Pewnie nie ona jedna, co? – Zerknął na nią, a potem w prawe lusterko, ale nie ruszył. – Oto kolejny przykład pokazujący, że świat jest sklecony z pozorów. Jego elementy są prawdziwe, ale to, jak je odbieramy, albo raczej jak ktoś pozwala nam je odbierać, już nie. Tak samo my dajemy je

odbierać innym przez pryzmat pozorów, które tworzymy. Żeby się obronić, pochwalić, zemścić, pokazać swoją wyższość, osiągnąć cel, jak przed chwilą... Każdy to robi. Wszystko, co się na tym świecie dzieje, jest efektem tej gry, gry pozorów. Nie ma przypadku, przeznaczenia, boskiego planu. Jest wynik gry. Gramy w nią wszyscy. Ja, ty... – Spowaźniał nagle. – I ten skurwiel, który porwał nam dzieci...

– Nasze dzieci też w nią grają, Marek? – Jej też przestało być do śmiechu.

– Nie. One są tylko pionkami w tej grze, jak wszystkie inne dzieci. Potem dorastają i z pionków zmieniają się w graczy, płodzą i rodzą kolejne pionki, które zmieniają się w graczy i wydadzą na świat kolejne pionki. I tak dalej, kolejne pokolenia, od tysięcy lat, przez kolejne tysiące, dopóki to wszystko nie pierdolnie. I teraz chodzi o to, kto jest lepszym graczem, rozumiesz? Kto stworzy lepsze pozory i omami nimi innych, nie dając się samemu omamić pozorami tamtych.

– Takie to proste?

– Tak – odparł z przekonaniem. – Właśnie o to chodzi. Że to jest proste i nie trzeba doszukiwać się w tym żadnej głębi, drugiego dna czy sedna. Tracić na to sił i środków. Trzeba działać. I to właśnie robię.

– Stwarzasz pozory działania?

– Jezu, nic nie rozumiesz. Działam realnie, tylko pod przykrywką pozorów. To mnie wyróżnia spośród innych. Ja je wykorzystuję do osiągnięcia celu, dla innych celem jest jedynie ich stworzenie. To im wystarcza. Mnie nie. – Teraz wreszcie ruszył, gwałtownie, aż opony zabuksowały na szutrze.

Nawrócił, na skrzyżowaniu skręcił w lewo. Jakieś dwieście metrów dalej w ścianie zieleni zobaczyli przerwę. Brama była otwarta, za drzewami majaczył jakiś zrujnowany budynek.

– To chyba ta fabryka – powiedziała Marta, Bielawski tylko w milczeniu pokiwał głową.

Zwolnił nieco i kiedy oboje zauważyli po prawej stronie kolejny wyłom w gęstej płataninie drzew i krzewów, Marek wjechał tam. Szeroka na dwa metry dróżka wiodła pod górę, nachylenie było niewielkie, a nawierzchnia fatalna, jej większość stanowiły ubytki w asfalcie. Marta zobaczyła, jak zęby Marka lekko się zaciskają.

– Co, żal auta? – zapytała lekko złośliwie.

– Nawet nie chodzi o to, że kosztuje pół miliona, ale je lubię i po prostu o nie dbam – odparł, nie patrząc na nią, i w tej samej chwili pożałowała swoich słów.

Wiedziała, że mężczyźni są w stanie wiele zrobić dla swoich samochodów.

– No i ciężko na nie zapracowałem – dodał po chwili.

– A nie jest w leasingu? – Jakaś przekora kazała jej podążać dalej tą drogą.

– Dobra... – Marek potarł skrzydełko nosa. Zauważyła, że robił tak, kiedy był lekko zakłopotany: lekko, bo nie widziała go mocno zakłopotanego. – Ciężko pracowałem, żeby dziś było mnie stać na ratę, która jest prawdopodobnie i tak większa niż twoja pensja w sklepie budowlanym – powiedział obojętnie. – Jeszcze sobie podosrywamy czy już starczy?

– Starczy. – Strzepnęła z kolana niewidzialny pyłek.

Była świadoma, że mógł jej dowalić o wiele mocniej niż ona jemu, ale mimo to się powstrzymał i to też w jakiś sposób dobrze o nim świadczyło.

– Jest jakaś chałupa. – Bielawski wskazał przed siebie. – Trochę po lewej, widzisz?

Pokiwała głową.

Łaciaty dach wystawał nieco ponad gęstwinię krzewów, a kiedy podjechali bliżej, zobaczyli budynek w całej okazałości, choć trudno było tu mówić o okazałości. Poniemiecki dom nie wołał, lecz wręcz wył o remont spękanyymi ścianami, odrapanymi z farby oknami i połatanym byle jak dachem. Komin groził zawaleniem, był wyraźnie przechylony i wyglądało na to, że trzyma się na słowo honoru. Czas trwałości technicznej budynku dobiegał najwyraźniej końca. Człowiek, który wyszedł ze środka domu, gdy się zatrzymali, też wyglądał, jakby był u kresu swojej ziemskiej wędrówki. Zgarbiony, łysy na czubku głowy i ze zmierzwionymi po bokach niemal białymi włosami, zarośnięty, miał na sobie starą koszulę w czarno-czerwonej kratę i szary, poplamiony bezrękawnik. Brązowe spodnie musiał nosić kiedyś człowiek dwa razy większy od niego, a na nogach miał powalane błotem gumofilce. Stał bokiem do nich i patrzył w milczeniu spod krzaczastych brwi zaskakująco trzeźwym spojrzeniem.

– Pan Jakubiak? – zapytał Marek, wysiadając z samochodu.

Marta też wysiadła, obeszła mercedesa i dołączyła do Bielawskiego. Stary wciąż stał nieruchomo jakieś dziesięć metrów od nich, lekko się kołysząc na nogach.



– Tak – odpowiedział, zuchwa lekko mu drżała, widzieli to nawet z tej odległości. – Czego?

– Pogadać chcieliśmy...

Stary przestawił nogę i teraz stał przodem do nich. Zobaczyli, że ściska coś w dłoni, ale dopiero kiedy ruszył ramieniem, zorientowali, że to stylisko od siekiery.

## 17

Siekiera zwisała ostrzem tuż przy ziemi, kołysząc się lekko.

– Zostań tam, gdzie jesteś, a jakby co, staraj się być zawsze za mną – mruknął Bielawski, wysuwając się o krok przed Martę i sięgając po coś z boku spodni.

Marta poczuła, jak nagle wysycha jej w gardle i struchlała lekko. Kiedy Marek podniósł skraj kurtki, zobaczyła, że przy pasku ma coś podłużnego, jakąś krótką, czarną rurkę. Nie wyjął jej, tylko położył na niej dłoń i głośno powiedział do Jakubiaka:

– Spokojnie, panie Jakubiak, jesteśmy dziennikarzami, chcemy pogadać o tym porwanym dziecku. Zapłacimy. W gotówce, w produktach, jak pan woli. A może nawet i to, i to?

– Skąd? – Głos starego był zachrypnięty. – Jaka gazeta?

– Z Wrocławia. Internetowa.

– Ale blachy szczecińskie?

– Auto jest w leasingu, tam jest siedziba firmy leasingowej.

Jakubiak powoli pokiwał głową, jakby mu to cokolwiek wyjaśniło, potem spojrzął na trzymaną w rękę siekierę i odrzucił ją. Upadła na błotnistą ziemię z głośnym plaśnięciem. Marek odsunął rękę od biodra i kurtka zasłoniła z powrotem czarny przedmiot przytroczony do paska spodni.

– Chodź – szepnął do Marty.

Drgnęła i ostrożnie ruszyła za nim. Jakubiak prostował się, w miarę jak się do niego zbliżali. Kiedy byli już dwa metry od niego, stary podtarł nos. Marta miała ochotę zrobić to samo, bo stary tak śmierdział, że robiło się jej niedobrze.

– Ładne auto. – Brudny palec wskazał za ich plecy. – Chyba dużo ludzi czyta tę waszą gazetę?

– Nie narzekamy – odparł wesoło Bielawski. – To co, pogadamy?

– Możemy. Ale nie wpuszczę was do domu, bo nie spodziewałem się gości i nie posprzątałem. I matkę chorą mam, z łóżka już nie wstaje.

– Nie ma sprawy. Ładna pogoda jest, możemy zostać na zewnątrz. A i tak chcieliśmy, żeby nam pan pokazał to miejsce.

– Chatę Ropczyckiego?

– Mówi pan o tym człowieku, który porwał dziecko? Tak się nazywał? Ropczycki?

– Porwał, nie porwał... Kto tam wie, jak to było.

– Pisali, że porwał i przetrzymywał.

– Ja tam nie wiem, jak było i nikt chyba nie wie. Gadali, że zaginęło dziecko i nagle znalazło się tutaj. Ale nie wiadomo kiedy i jak. Ja tam niczego nie widziałem. Jeszcze mnie na spytki wzięli, czy aby na pewno ono tam było, a nie u mnie, rozumie pan to? Mnie porywaczem chcieli zrobić! Ładnie by było, gdyby to się po wsi rozniosło, życia bym nie miał... Ale wy nic nie powiecie, co? – Spojrzał na nich podejrzliwie.

– Obowiązuje nas tajemnica dziennikarska – powiedziała Marta.

– Coś jak u księdza, tak?

– Mniej więcej – potwierdził Bielawski. – Powie nam pan coś więcej o nim?

– Romek nie był stąd. Przyjechał parę lat temu, kupił chałupę po Wasiakach, starą rudere. Młode Wasiaki ojcowiznę sprzedawali i byli szczęśliwi, że ktokolwiek chce to kupić. Cena dobra była, bo chcieli się tego pozbyć. No i kupił. Nigdzie nie pracował, ale kasę miał.

– Skąd pan wie?

– No, kupił chałupę, tak? Przecież nie za biedronki?

– Może na kredyt?

– Może wy tego nie wiecie, ale biednym kredytów nie dają. – Jakubiak spojrzał na niego jak na dziecko. – W sklepie nigdy na zeszyt nie brał, zawsze gotówką płacił. A do roboty też nie chodził, bo widywałem go, jak się krzątał po obejściu. Może zarobił gdzie? W każdym razie nie dziadował. Coś kiedyś powiedział, że nie pracuje, bo wypadek miał dawno temu, ale nie wyglądał na kalekę. Może tylko tak gadał? A może na przykład nerkę stracił albo coś takiego, że nie widać było?

– Czyli rozmawiał pan z nim?

– Parę razy przez te dwa lata, jak tu mieszkał.

– Jakie wrażenie robił?

– W sensie?

– Dało się z nim wypić?

– Gdzie tam. – Jakubiak machnął ręką. – W życiu go nawalonego nie widziałem. Nie to, co ja. – Wybuchnął chrapliwym, nieprzyjemnym śmiechem, pokazując sporo ubytków w uzębieniu.

– Jak to było z tym dzieckiem?

– A, to ja je znalazłem.

– Pan?

– No ja. Dlatego mnie podejrzewali na początku. Najpierw pożar w nocy zobaczyłem, poleciałem tam i usłyszałem wrzask tego dzieciaka. Siedział niedaleko chałupy, znaczy niedaleko... Tak się hajcowało, że kamieni kilkanaście metrów dalej nie dało się od gorąca dotknąć, auto też się spaliło, szkielet tylko został... Siedział zawinięty w koc i ryczał. Zaniósłem go do siebie i zadzwoniłem po straż i karetkę.

– Rozmawiał pan z nim?

– Panie, coś pan, z nim nie było kontaktu. Jak już się uspokoił i przestał wyć, to tylko siedział, gapił się w ścianę i kiwał jak naćpany. A potem go zabrali do szpitala.

– Czy coś było z nim nie tak?

– No, mówię przecież...

– Ale nie w tym sensie. Czy miał obie ręce, nogi, czy nie miał zespołu Downa na przykład, czy chodził?

Jakubiak wzruszył ramionami.

– Wyglądał normalnie, jak zwykły dzieciak. Ręce i nogi miał na miejscu. Jak już go do siebie przyniosłem, to się wyrwał i chciał uciekać, więc umiał chodzić.

– No dobra. – Bielawski rozejrzał się dookoła. – Zaprowadzi nas pan tam?

– A po co?

– Zobaczyć chcemy. Zdjęć kilka zrobić.

– Nic tam nie zostało. Ściany same, osmalone.

– Ale mimo wszystko byśmy chcieli... – Marek odsunął połą kurtki i wyciągnął obie wódki. – Z pustymi rękami nie przyjechalibyśmy.

– Przekonał mnie pan. – Oczy Jakubiaka błysnęły, kiedy pożądlwym wzrokiem obrzucił butelki.

– Proszę, dla pana. – Bielawski wyciągnął ręce i stary natychmiast przejął alkohol.

– Poczekajcie chwilę, zaniosę do domu – mruknął, jakby lekko zawstydzony.

Zniknął po chwili w jego wnętrzu, a Marta zagadnęła Marka.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć, co? Mam na myśli tych dziennikarzy z Wrocławia. Nawet gdy ktoś cię przyłapie na niekonsekwencji czy kłamstwie, to nie tracisz rezonu.

– Kiedy robisz coś nieeleganckiego i ktoś cię złapie za rękę, krzycz, że to nie twoja ręka. Krzycz głośno i przekonująco. Pewnie, że nie zawsze zadziała, ale większość ludzi to idioci. Na takich zadziała, a jest duża szansa, że na takiego trafisz.

– Coś nieeleganckiego, mówisz... – Pokręciła głową.

Kiedy Jakubiak wyszedł z chałupy i skręcił w stronę pola, poszli za nim. Owionął ich smród niemytego ciała i przetrawionego alkoholu, który ciągnął się za nim jak niewidzialny welon na wietrze. Marta zmarszczyła nos i zamknęła na chwilę oczy, ale to kosztowało ją bolesne potknięcie o wykrot. Podbiegła i dogoniła Marka, który niczego nie zauważył, tylko parł za Jakubiakiem, skupiony na swojej misji.

– Wasiaki kawałek ziemi mieli, ale on jej w ogóle nie uprawiał – perorował Jakubiak, mozolnie pokonując suche skiby. – Mógł cokolwiek zasadzić, za co Unia dopłaty daje, ale tu wszystko odłogiem leżało. Nie wiem, co on robił, skoro nawet nie pił. Bywało, że i dwa tygodnie go tu nie widziałem, a potem znów się zjawiał jak gdyby nigdy nic.

– Co się z nim stało?

– A kto tam wie? Albo się spalił w tym pożarze, albo dzieciaka zostawił i uciekł.

– Ale jego ciała nie znaleziono?

Jakubiak odwrócił się do nich na chwilę.

– Panie, tam była taka temperatura, że tylko cegły zostały, aż ściany popękały, sami zaraz zobaczycie. Strażacy, jak przyjechali wreszcie, to tylko stali i patrzyli, bo nic się zrobić nie dało. Domów w okolicy nie ma, drzew też nie, nie było ryzyka, że się ogień przeniesie, ale on tam trzymał jakąś chemię chyba, bo ogień szalał jak skurwysyn i smród taki był, że nie szło wytrzymać. Do cna się wszystko spaliło. Mówię, tylko cegły zostały. Policja chodziła, prokurator przyjechał, z komendy wojewódzkiej straży pożarnej byli eksperci. I nic nie wiadomo do dziś.

Szli dalej w milczeniu, pokonując lekką pochyłość terenu. Słońce rzeźbiło pole cieniem rzucanym przez bruzdy, pokonywali pasiastą połąć trawersem, zmuszeni do wejścia w określony rytm, ułatwiający im marsz, a właściwie przeskakiwanie przez nie. Nagle w oddali dostrzegli ruiny: gołe

ściany z otworami i trójkątami szczytów. W miarę jak się do nich zbliżali, dało się dostrzec coraz więcej szczegółów. Ściany były osmalone, niemal jednolicie czarne, nie zauważyli śladu konstrukcji dachu, a dookoła wałało się mnóstwo gruzu. Nie było żadnych śmieci, które zwykle otaczają takie miejsca po akcji gaśniczej. Pogorzelnisko robiło wstrząsające wrażenie.

– Tam go znalazłem, tego dzieciaka. – Jakubiak wskazał grupę rosnących nieopodal krzewów.

Marta stała z rękami opartymi o kolana, odzyskując oddech, a Bielawski sprawdzał lokalizację na komórce.

– Faktycznie, nic nie zostało – mruknął, przełączając teraz na tryb aparatu.

– No, mówiłem przecież. – Jakubiak wzruszył ramionami.

Bielawski ustawił się i opcją panoramy zrobił zdjęcie okolicy, obracając się dookoła. Jakubiak przezornie ukucnął, kiedy obiektyw wycelowany był w niego, Marta po prostu ustawiała się za plecami Marka. Potem Bielawski obfotografował ruiny. Wszedł do środka i przeszedł się po pomieszczeniach, czując, jak wyściełająca podłogi warstwa spalonych resztek wyposażenia i stropów ugina mu się pod stopami. Zrobił wewnątrz jeszcze kilka zdjęć i wyszedł na zewnątrz.

– Dobra, nie będziemy pana trzymać – zwrócił się do Jakubiaka. – Wrócimy sami tą samą drogą. Dzięki.

– Jeszcze jakaś stowa za fatygę się znajdzie? – zapytał Jakubiak.

Bielawski z nieprzeniknioną miną sięgnął do kieszeni po portfel, wyjął z niego banknot i podał Jakubiakowi, trzymając go między palcami.

– Polecam się. – Wyciągnął go ostrożnie, niemal z namaszczeniem, chuchnął na niego i schował w dłoni, a potem odwrócił się i żwawo ruszył w kierunku swojej chałupy.

Odprawdzili go spojrzeniami. Kiedy jego sylwetka zmaląła do rozmiarów ludzika lego, Marek wyciągnął przed siebie dłoń, wystawił kciuk i palec wskazujący i mrużąc oko, ujął w nie postać Jakubiaka.

– Dziwne, jak różne ludzie mają ceny.

– Każdemu według potrzeb – mruknęła Marta.

– A może on po prostu nie jest chciwy?

– Wszystkich mierzysz jedną miarą?

– O nie! – Roześmiał się. – To niebezpieczne w interesach...

Odwrócił się w stronę ruin i schował ręce do kieszeni.

– Wiesz, nigdy nie rozumiałem świrów, którzy jeżdżą na wycieczki do miejsc słynnych zbrodni. W Stanach to jest podobno niewielka gałąź turystyki.

Marta podeszła do ściany i nie wiedząc, dlaczego to robi, opuszką przejechała po warstwie tłustej sadzy.

– Myślisz, że coś w tych miejscach zostaje? – zapytała, przyglądając się teraz z lekkim zdziwieniem czarnemu kółku na palcu. – Aura? Strach ofiar? Zło?

– Nie, nie wierzę w takie rzeczy. – Marek podał jej chusteczkę higieniczną. – To są tylko miejsca. Ale to brak szacunku dla tych ofiar, nakręcanie sławy skurwielom, których jedynym osiągnięciem było wyrządzanie krzywdy innym ludziom. To jest chore. Powinno się o nich jak najszybciej zapomnieć, a nie robić ze skurwysynów pożywkę dla następnych.

– Zapominanie nie jest dobrym pomysłem – stwierdziła Marta. – To pamięć chroni przed kolejnymi aktami zła. Zauważyłeś, że kiedy mija dużo czasu od wojny, wybucha następna? Bo ludzie zapominają.

– Wydaje ci się, pamięć nie ma nic do rzeczy. Od setek, tysięcy lat nic się nie zmieniło. Wciąż pojawiają się kolejni szaleńcy i nie da się przed nimi uchronić. I to się tyczy i zabójców pojedynczych osób, i szefów państw. I nieważne, czy to lokalni kacykowie, czy przywódcy potężnych mocarstw. Zasada jest ta sama. Chodź, wracamy, późno się robi.

Szli przez pole dużo wolniej, milcząc, każde pogrążone we własnych myślach. Jakubiaka nie było na podwórku, możliwe, że zaczął się raczyć darami. Przed wejściem do samochodu Bielawski otrzepał porządnie buty i poprosił o to samo Martę. Zrobiła to bez słowa komentarza.

– Ten wypadek, o którym wspomniał Jakubiak... Myślę, że mamy coś, Marta. – Marek był wyraźnie podekscytowany. – Jedziemy do Jeleniej. Ale zatrzymamy się jeszcze na chwilę w sklepiku.

## 18

– Wiesz, przez chwilę pomyślałam, że masz pistolet – powiedziała Marta, gdy ruszyli spod domu Jakubiaka. – Wtedy, kiedy sięgnąłeś pod kurtkę, jak on wyszedł na nas z tą siekierą.

– Mam broń, ale rzadko noszę ją ze sobą.

– A co to było?

– Pałka.

– Pałka? – zdziwiła się. – Taka krótka?

– Długość się nie liczy, tylko technika, nie wiesz? – Zerknął na nią, ale kiedy się nie roześmiała, dodał: – Teleskopowa.

– Po co ją nosisz?

– A jak myślisz?

– Co by ci dała na siekierę? Chcesz powiedzieć, że zasłoniłbyś się pałką przed ciosem siekiery?

– Nie do końca.

– A co byś nią zrobił?

– Martwisz się o mnie? – Brwi wysunęły się znad oprawek ciemnych okularów.

– Nie, ale w sumie jesteś moją nadzieją na odnalezienie syna. Jedyną i ostatnią. Nie chciałabym jej stracić.

– Nie martw się o mnie.

– Mówiłam, że się nie martwię.

– Okej. No to inaczej: spokojnie, poradziłbym sobie.

– Nawet z siekierą?

– Nawet z siekierą. Bo to nie siekiera robi krzywdę, tylko ten, kto ją trzyma. A to był zwykły pijaczek.

– Jesteś bardzo pewny siebie – zauważyła.

– Jestem. – Pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko. – Jeszcze się nie zorientowałaś?

Znów podjechał pod sklep i zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu. Oboje weszli do środka, i tak jak poprzednio, jakby znając



doskonale swoje role, Marta podeszła do regału z boku, a Bielawski do ekspedientki, po której widać było, że cieszy się z jego ponownej wizyty.

– Dzień dobry jeszcze raz, dopytać o coś chciałem.

– A był pan u Jakubiaka?

– Byłem, byłem. Pogadaliśmy sobie. Dziękuję za informacje, bardzo mi pani pomogła.

– Cieszę się.

– Co on u pani kupował?

– Jakubiak?

– Nee, Ropczycki. – Roześmiali się oboje, Bielawski grzecznościowo, sklepowa, żeby pokryć lekkie zmieszanie. – Alkohol?

Ekspedientka zmarszczyła brwi.

– No właśnie wódki nigdy nie kupował. Tylko spożywkę. Ewentualnie jakąś chemię kuchenną czy łazienkową. Po grubsze zakupy musiał jeździć do Świeradowa albo do Mirska. I nie wydaje mi się, żeby tam kupował alkohol. To przecież artykuł pierwszej potrzeby.

– Miał samochód?

– Miał.

– Jaki?

– Wie pan, ja tam nie znam się na markach samochodów. Taki większy.

– Bus?

– Tak, taki busik, tylko bez okien.

– W jakim kolorze? – zapytała Marta.

Ekspedientka spojrzała na nią, jakby zjawiała się tu w tej chwili.

– Noo, czerwony – bąknęła. – Bardziej wiśniowy.

– Płacił kartą? – dociekał Bielawski.

– Nie, gotówką. Zawsze – odparła zdecydowanie. – I nigdy nie zdarzyło się, żeby poprosił o coś na zeszyt.

Bielawski rozejrzał się po kątach i suficie.

– Ma tu pani monitoring? – zapytał.

– Tak.

– Od dawna?

– Od czasu włamania jakieś pół roku temu. Szef zamontował, bo dużo nie ukradli, ale sporo szkód narobili. Gówniarze z Mroczkowic, popili się i im odwalilo.

Marta zobaczyła, jak Marek cmoknął kącikiem ust.

– No nic, dziękuję serdecznie. – Znów przywołał na twarz ten swój uśmiech gwiazdora, czym sprawił ekspedientce sporo radości. – Poproszę jeszcze gumy Orbit, w pastylkach, pieprz z miętą.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli do mercedesa.

– Myślisz, że nawet gdyby mieli monitoring, to trzymaliby nagrania sprzed dwóch lat? – zapytała Marta.

Bielawski oderwał górę opakowania, wysypał sobie na dłoń dwie pastylki i włożył do ust, a potem wyciągnął opakowanie w jej stronę. Odmówiła ruchem dłoni.

– Sprawdzam wszystko, Marta, rozumiesz? – Przejechał palcami po strunowym zamknięciu i odłożył gumy do przegródki pod deską rozdzielczą. – Liczę na przypadek, bo wielokrotnie to on pozwalał na wykrycie sprawców przestępstw. To przypadek jest motorem dziejów. To dzięki niemu wynaleziono mnóstwo rzeczy. Może przypadkiem komputer, na którym zapisywano pliki z monitoringu, stoi u właściciela na strychu i na dysku jest kilka ostatnich dni, zanim go wymieniono? A na tych zapisach jest Ropczycki?

– To chyba niezbyt popularne nazwisko? Nie możesz po prostu uruchomić swoich kontaktów i ustalić, kto to jest?

– Oczywiście, że tak zrobię. Ale ono może nie być prawdziwe. Może być i trzydzieści osób o tym nazwisku i ustalenie, czy mają coś wspólnego z Orłowicami, zajmie trochę czasu, którego nam brakuje. Ale nie mamy wyjścia. Zapinaj pas, jedziemy.

Trzeciakowie mieszkali w historycznym centrum Jeleniej Góry, w niskiej kamienicy z podcieniami, niedaleko rynku. Jej elewacja była odnowiona, na narożniku wisiała mosiężna tabliczka z informacją o dacie renowacji i nazwą programu funduszy europejskich, z których została sfinansowana. Przez chwilę szukali wejścia.

– Powinna być sama – powiedział cicho Bielawski, naciskając guzik domofonu.

– Kto? – Marta nie zrozumiała, o kim mówi.

– Opiekunka małego. Jego rodzice powinni być w pracy i mam nadzieję, że nic się nie zmieniło.

– Skąd to wiesz?

Marek spojrział na nią z lekką kpina i w tej samej chwili z głośnika rozległo się ciche „słucham?”.

– Dzień dobry, pani Malwino, nazywam się Marek Szykuć, chciałbym z panią porozmawiać, wpuści nas pani?

– Nie rozumiem, skąd pan zna moje imię? – W głosie dziewczyny zabrzmiało zdziwienie. – Nie znam pana.

– Ja wiem, wszystko pani wyjaśnię, wpuści nas pani? Chociaż na schody, dobrze? – Jego głos był łagodny, ale stanowczy, było w nim jakieś ciepło, którego Marta na co dzień nie słyszała.

– N-no, dobrze... – Rozległ się brzęczyk, Bielawski spojrział na Martę tryumfująco i pociągnął za gałkę drzwi.

Weszli do środka i otoczyły ich chłód i półmrok. Weszli na pierwsze piętro, w otwartych drzwiach mieszkania stała na oko trzydziestoletnia dziewczyna w szarym dresie i rozpuszczonych włosach. Była lekko zgarbiona i wyraźnie zaskoczona, i to zaskoczenie wciąż malowało się na jej twarzy.

Bielawski wysforował się naprzód, ale kiedy dotarł na szczyt schodów, przystanął w pewnej odległości od dziewczyny, oglądając się i upewniając, że Marta jest z tyłu. Stała obok niego i czekała. Zdążyła się zorientować, że Marek ma już jakiś plan rozmowy, choć przecież umawiali się, że ona to

załatwi. A może nie umawiali się, tylko jej się wydawało? Ale mimo to nie odezwała się.

– Przyjechaliśmy w pewnej sprawie... – Zawiesił głos, jakby się zawahał, ale wiedziała, że to gra i że doskonale wie, co chce powiedzieć i jak. – Niedawno straciliśmy dziecko. Zostało porwane jak Maksiu.

– Ja... Ja nie wiem, co powiedzieć, proszę pana.

– Nie musi pani nic mówić, proszę nam pozwolić porozmawiać z Makssem.

– To niemożliwe...

– Nie, proszę pani, niemożliwe nie istnieje – przerwał jej. – Jeśli się bardzo chce i ma się dobrą wolę, to można wszystko. – Pochylił się lekko w jej stronę i spojrzał prosto w twarz. – Proszę pani, powiem wprost. Jeśli pozwoli nam pani zobaczyć się z chłopcem, dam pani tysiąc złotych.

– Słucham?

– Tysiąc. Za dosłownie kilka minut.

– Ja... Ja nie mogę.

– Może pani.

– Mogę to ja stracić pracę!

– Dwa tysiące – powiedział twardo Bielawski, wyciągając pugilares. – I więcej nie zaproponuję: ani kolejny raz, ani większej sumy. To pani miesięczna pensja, prawda? Dostanie pani tyle samo za kilka minut. Nikt się nie dowie. – Pochylił się ku niej jeszcze bardziej i ściszył głos. – Pani zrozumie: moja żona i ja jesteśmy zdesperowani. Porwano naszego synka, nikt nam nie wierzy, kiedy mówimy, że to może mieć związek z porwaniem Maksa.

– Pięć minut – powiedziała kobieta, wpatrując się w plik dwusetek, który trzymał Bielawski.

– Dziesięć – odparł.

Ramiona jej lekko opadły. Uniosła dłoń i przytknęła do ust serdeczny palec, nieświadomie gryząc skórkę obok paznokcia.

– Dobra – zdecydowała się. – Poczekajcie chwilę, zadzwonię do jego matki, niby o coś zapytać, żeby się zorientować, czy nie wraca. Zaraz was wpuszczę.

Drzwi się zamknęły. Bielawski zaczął miarowo uderzać plikiem banknotów w dłoń. Papier plaskał o skórę, a dźwięk boleśnie wrzynał się w uszy Marty.

– Twoja żona? – Spojrzała na Bielawskiego z ukosa. – Nasz synek?

– Trochę prawdy i trochę kłamstwa. – Wzruszył ramionami. – Najlepszy koktajl. Najbardziej strawny. – Nagle jego twarz rozciągnęła się w lekko tryumfującym uśmiechu. – I co, dalej nie wierzysz, że forszą da się załatwić wszystko?

– Nie wszystko, Marek – stwierdziła. – Nie łudź się. Po prostu jak do tej pory nie załatwiałeś takich spraw, których nie da się załatwić za pomocą pieniędzy.

– Wszystko, Marta. – Pokiwał głową. – To tylko kwestia ceny.

– A gdyby chciała więcej?

– Nie dałbym.

– Nie? – zdziwiła się. – Myślałam, że ci zależy?

– Bo zależy. Ale zapewniam cię, że nie zdążylibyśmy nawet wyjść na zewnątrz, a ona zawołałaby nas z powrotem. I wzięłaby te dwa tysiące. A nawet tysiąc, bo dwóch bym już nie dał.

– Taki jesteś pewny?

– Tak. Znam się na ludziach. A zwłaszcza na ich relacjach z pieniędzmi...

– Urwał, kiedy drzwi otworzyły się nagle.

Twarz opiekunki była blada.

– W porządku, oboje są jeszcze w pracy – szepnęła i odsunęła się od drzwi, żeby ich wpuścić.

Marta weszła pierwsza, Bielawski przemknął się za nią, a kiedy tylko znalazł się w środku, drzwi zamknęły się cicho. Wykorzystał tę chwilę i wcisnął opiekunce plik banknotów, które natychmiast zniknęły w kieszeni.

– Nie boi się pani, że mały powie rodzicom? – zapytała Marta.

– Nie powie. – Opiekunka pokręciła przecząco głową. – On nie mówi.

– Przez traumę po porwaniu? – teraz pytanie zadał Bielawski.

Marcie wyrwało się z piersi lekkie, prawie niesłyszalne westchnienie. Dziewczyna westchnęła za to bardzo głośno, zrobiła płaczącą minę i otworzyła drzwi do jednego z pokojów. Zobaczyli ciemnowłosego chłopca, który siedział w milczeniu przy małym stoliku i coś rysował.

– Maksiu, kochanie – powiedziała opiekunka ciepło. – Zobacz, ci mili państwo przyszli cię odwiedzić.

– Nie wygląda, jakby był niepełnosprawny – szepnęła Marta do Bielawskiego.

Dziewczyna usłyszała to.

– Skąd pani to wie?

– O czym? – nie rozumiała.

– Ta informacja nie była podawana do mediów. Pisali tylko, że był faszerowany pigułkami i dlatego nic nie pamięta i niczego nie mówi. Ale to nie do końca tak. Były pigułki, ale to nie od nich. On jest autystykiem.

Sygit i Bielawski spojrzeli na siebie.

– W ogóle nie mówi? – zapytała Marta.

– Pojedyncze słowa i to tylko wtedy, kiedy on chce. Nie odpowiada na pytania, nie artykułuje potrzeb, czasem coś tam bąknie. Przeważnie zupełnie bez związku. Praktycznie wszystko rozumie, ale ma swój świat i nikogo do niego nie wpuszcza.

Marta nabrała głęboko powietrza w płuca i weszła powoli do pokoju, nie zwracając uwagi na opiekunkę. Teraz czas, by to ona przejęła pałeczkę. Kucnęła przy chłopcu i uważnie przyjrzała się jego twarzy. Była skupiona, a spojrzenie Maksa wbite było w kartkę, na której czarną kredką gryzmolił jakieś zawijasy. Miał długie rzęsy, spomiędzy lekko rozchylnych ust wystawał koniuszek języka. Bródka była lekko cofnięta, a zadarty nosek marszczył się co chwila. Panowała cisza, słychać było tylko skrzywienie kredki przesuwającej się po papierze.

– Cześć – powiedziała Marta cicho, wciąż kucając, z rękami opartymi o uda. – Mam na imię Marta, a ty jesteś Maks, prawda?

Chłopiec nie zareagował.

– Przyjechaliśmy do ciebie, bo chcieliśmy z moim... mężem zapytać cię o coś. Myślisz, że mógłbyś ze mną porozmawiać?

– Marta mówi – odezwał się niespodziewanie chłopiec.

Spojrzała na opiekunkę.

– To kreskówka o gadającym ludzkim głosem psie, który wabi się Marta – powiedział Bielawski. – Maciek to uwielbia.

– Tak, zupełnie jak Marta, pies, który mówi. – Uśmiechnęła się do Maksa, ale jego twarz wciąż pozostawała bez wyrazu. – Chciałabym cię zapytać o dom, w którym mieszkałeś, kiedy ktoś zabrał cię od rodziców.

Była przygotowana na to, że mały wybuchnie płaczem, zacznie wrzeszczeć albo rzuci się na podłogę, ale nic takiego nie nastąpiło. Po prostu dalej siedział w tej samej pozycji i bazgrał po kartce, na której było coraz więcej czarnych mazajów.

– Mówiłam, że to bez sensu. – Opiekunka westchnęła.

– Nic mi nie powiesz? – zapytała jeszcze Marta, ale efekt był taki sam.

Mały milczał.

Rozejrzała się po pokoju. Miał typowy dla chłopaka w tym wieku wystrój; na wielkiej na całą ścianę fototapecie rozpoznała ludziki z animacji Lego Ninjago, łóżeczko miało obramowania stylizowane na bolid Formuły 1, a dywan był miasteczkiem z uliczkami, po których można było jeździć resorakami. Nad stolikiem, przy którym siedział Maks, wisiała korkowa tablica wypełniona rysunkami. Tylko dwa z nich były kolorowe. Reszta, jakieś kilkanaście, wyglądała niemal dokładnie tak samo. Przedstawiały nieporadnie naszkicowaną ręką dziecka sylwetkę człowieka z szeroko rozłożonymi ramionami. Nie dało się rozpoznać elementów garderoby, całość była narysowana w wyłącznie czarnych i szarych barwach, ale uwagę zwracało jeszcze coś innego. Każda z postaci na wysokości pasa miała coś podobnego, co teraz rysował Maks. Jak kłębek włóczki rozwleczony przez niesfornego kota, albo bufiaste portki do kolan.

– Od dawna to rysuje? – zapytała Marta opiekunki.

– Od czasu... – Urwała. – To już prawie dwa lata.

Pokiwała głową.

– Co na to psycholog?

– Bardzo źle zareagował na psychologa, państwo Trzeciakowie w zasadzie zrezygnowali z terapii Maksia. On gryzmoli dwa, trzy takie rysunki dziennie i każe wieszać na tej tablicy. Kiedy ktoś chce je zdjąć, krzyczy. A czasem sam każe któryś zamienić i krzyczy, kiedy robi się to za wolno.

Kątem oka Marta zauważyła nagle, jak Bielawski oblizuje usta i rusza z miejsca, więc natychmiast powstrzymała go wyciągnięciem ręki. Zatrzymał się w progu w pół kroku. Zgromiła go spojrzeniem i jej usta ułożyły się w słowa „ja to załatwię”. Wycofał się, ale w jego oczach widziała, że zrobił to z niechęcią.

– Maksiu. – Pochyliła się lekko i spojrzała małemu w twarz. – Czy dałbyś nam jeden rysunek? Bardzo nam się podobają, wiesz? Bardzo ładnie rysujesz i myślę, że taki obrazek spodobałby się naszemu synkowi, kiedy już wróci do domu, co ty na to?

Mały nie patrzył na nią, zachowywał się, jakby była przezroczysta. Nie odchylił się, żeby ominąć wzrokiem jej głowę, tylko dalej rysował swoje bazgroły.

– Mogę wziąć jeden? – Wstała z kucek i sięgnęła do tablicy po rysunek.

Nagle mały pisnął, a ona się zawahała.

– Musimy mieć chociaż jeden, Maksiu, wiesz? Tylko ten je...

Chłopiec wrzasnął tak głośno i przeraźliwie, że poczuła, jak jej mózg ogarnia paraliż. Nie była w stanie myśleć. Opiekunka rzuciła się w stronę Maksa, a ona przemogła się i zerwała najbliższy rysunek z tablicy.

– Co pani robi? – krzyknęła kobieta. – Jak pani może? Wypieprzajcie stąd, ale już!

Marta przycisnęła rysunek do piersi jak najcenniejszy skarb i kuląc się, wybiegła z pokoju, potracając opiekunkę, która rzuciła się do chłopca, by go uspokoić. Bielawski odwrócił się na pięcie i ruszył za nią, a przeraźliwy wrzask ścigał ich jeszcze na klatce schodowej. Kiedy wypadli na ulicę, Marta stanęła pod ścianą kamienicy i wyciągnęła rękę do Bielawskiego. Wyjął jej z niej rysunek, a ona oparła się o swoje kolana, pochyliła i zaczęła płakać.

– Kurwa, co ja zrobiłam... – Łkała z twarzą zasłoniętą firaną rudych włosów. – Co ja najlepszego zrobiłam? Skrzywdziłam dziecko...

Bielawski podszedł do niej i położył dłoń na jej plecach.

– Zrobiłaś, co należało – powiedział. – Potrzebowaliśmy tego rysunku i wiedziałaś o tym. Nie miałaś wyjścia. A to może nas zbliżyć do porywacza, rozumiesz? Pomoże ocalić nasze dzieci.

– Wcale mi to nie pomoże! – Wyprostowała się i spojrzała na niego z wściekłością: jej zielone oczy ciskały gromy. – Wcale!

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Jest jeszcze coś. – Wyciągnął telefon i wszedł w album ze zdjęciami. – Kiedy z nim rozmawiałaś, skoczyłem do pokoju jego siostry.

– Po co?

– Rozejrzeć się. – Wzruszył ramionami. – Wiesz, jaką mam zasadę. Sprawdzić wszystko.

– Ale co jego siostra ma z tym wspólnego?

– To. – Pokazał jej zdjęcie: była na nim naga lalka.

– Ken – stwierdziła, ocierając łzy z policzków. – Bez ubranka.

– Mała ma mnóstwo lalek Barbie. Wymuskane panienki o idealnych kształtach w ekstraciuchach. Siedziały sobie na półce. Ken był za nimi, nagi.

– Może nie lubi mężczyzn? Taki etap. Za parę lat jej przejdzie.

– To chyba nie ona. – Marek powiększył palcami zdjęcie na wyświetlaczu i przesunął, żeby pokazać jej konkretny fragment. – Popatrz.

Podbrzusze lalki było usiane niebieskimi kropkami i dziurkami, jakby ktoś znęcał się nad nią długopisem.



– Boże... – Marta zasłoniła usta dłonią.

Bielawski z nieprzeniknioną twarzą schował telefon do kieszeni.

– Wyślę skan rysunku i to zdjęcie Yanceyowi – mruknął. – Niech obejrzy i powie, co o tym myśli. A my wracamy do Szczecina, nic tu po nas.

Niemal całą drogę spędzili w milczeniu. Marta podsypiała, a kiedy nie spała, po prostu wpatrywała się w mijany krajobraz, który ciemniał, w miarę jak blask schowanego już za horyzontem słońca topniał, ustępując miejsca nocy. Dojechali do Szczecina po dwudziestej trzeciej. Bielawski wysadził ją przed domem.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedział, pochylając się w fotelu, by ją lepiej widzieć.

– No? – spytała obojętnie. Było jej wszystko jedno.

– Ciągłe masz wątpliwości, że wszystko załatwiam pieniędzmi.

– Mam.

– Nie uderzyło cię coś, kiedy rozmawialiśmy z tą dziewczyną, opiekunką Maksa?

– Co?

– Nie powiedziała nam w drzwiach, że on nie mówi, tylko wzięła kasę. Ludzie bardzo łatwo biorą, gorzej z dawaniem.

– Inaczej to widziałam.

– Jak?

– Po prostu nie dałeś jej tego powiedzieć, tylko od razu wyciągnąłeś forszę.

Został przez chwilę z otwartymi ustami, a potem wyprostował się w swoim fotelu.

– Okej, to był ciężki dzień, odpocznij – poradził jej jeszcze, jakby sama tego nie wiedziała.

Obojętnie skinęła głową i zatrzasnęła drzwi mercedesa, a potem powlokła się na górę.

## 20

- Dzień dobry, panie doktorze. Chyba przysnąłem?
- Tak, nie szkodzi.
- Dziwne, zasnąć na krześle...
- Proszę pamiętać, że wciąż jest pan pod wpływem silnych leków.
- To dlatego nie pamiętam, jak się tu znalazłem?
- Taak, upośledzenie pamięci krótkotrwałej jest efektem ubocznym, podobnie jak ta chorobliwa senność, ale to minie.
- Mam nadzieję, to strasznie męczące. To już... Który to dzień?
- Trzeci dzień naszej pracy.
- Dopiero trzeci? Mam wrażenie, jakbym siedział tu tygodniami.
- Zaburzenia poczucia upływu czasu również stanowią skutek uboczny. Ale to też minie, proszę być spokojnym. No dobrze, zaczynamy... Panie Mariuszu, cóż... Pokusiłem się o małą analizę tego wszystkiego, co zdążyliśmy wyciągnąć z pańskiego umysłu. Prawda się panu nie spodoba, ale nie mam wyjścia, nie mogę tego przed panem ukrywać...
- O co chodzi?
- Proszę się nie denerwować, nie jestem policjantem ani prokuratorem, tylko lekarzem, i na razie na takim poziomie będziemy rozmawiać. Jak lekarz z pacjentem.
- O czym pan mówi?
- Przykro mi to mówić, ale to pan jest porywaczem.
- C-c-co takiego?
- Pan porwał te dzieci i przetrzymuje je w odosobnieniu i teraz musi pan sobie przypomnieć, gdzie to jest, zanim coś im się stanie. Minęło już kilka dni, one tam są same, nie mamy pojęcia, w jakich warunkach, może bez pożywienia i, co gorsza, wody...
- To niemożliwe, nie mogę być porywaczem!
- Dlaczego?
- Bo nie widziałem chłopca na wózku! Gdybym go porwał, widziałbym go tam i opowiedział o nim, będąc pod wpływem hipnozy! Przecież w hipnozie nie da się kłamać!

– Kto panu tak powiedział? Da się, absolutnie da!

– Ja go naprawdę nie widziałem!

– Nie może pan tego pamiętać, bo podsunąłem panu sugestię. W momencie przebudzenia miał pan zapomnieć o wszystkim, o czym mi pan opowiadał. Faktycznie, nie powiedział pan nic o chłopcu na wózku inwalidzkim, ale co, jeśli, tak jak wtedy wspomniałem, cofnął się pan po prostu do czasu, kiedy go tam jeszcze nie było? Zanim go pan porwał?

– To niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe...

– Jak pan się z tym czuje?

– Z czym, kurwa!?! Z tym, że jestem zbrojnym gwałcą małych dzieci?

Co to za pytanie w ogóle?

– Przypomniał pan sobie coś jeszcze?

– Nie!

– Niech się pan postara. Chodzi nie tylko o tamte dzieci, ale również o pana. Jeśli będzie pan współpracował z organami ścigania, którym pana w końcu przekażę, to będzie się liczyło na pańską korzyść. Poprawi pan swoją sytuację. Dostanie mniejszy wyrok, a co za tym idzie, zmniejszy się ryzyko, że coś się panu stanie w więzieniu.

– Co ma mi się stać?

– Współwięźniowie lubią wymierzać swoją sprawiedliwość osadzonym skazanym za przestępstwa popełnione na dzieciach. Specyfika takich miejsc. A strażnicy często to akceptują.

– Boże...

– Jeszcze raz zapytam: jak pan się z tym czuje?

– Jestem wściekły! Rozumiesz? Wściekły!!!

– Na siebie?

– Nie... Nie wiem. Co mam teraz zrobić? Nie pójdę siedzieć, nie przeżyję tam...

– Spokojnie, proszę się nie bać, nie pójdzie pan do więzienia.

– Nie?

– Nie. Nie ma powodu.

– Przed chwilą pan powiedział, że...

– Nie jest pan porywaczem.

– Co?

– Mówię, że nie jest pan porywaczem.

– Jak to... Jak to nie? To po co to wszystko? Po co pan to robi? Chryste, po co pan to robi?

– To terapia szokowa. Wiem, że ma pan teraz mętlik w głowie, ale ona ma zmusić pański umysł do wyteźonej pracy na poziomie świadomości. W hipnozie pracujemy na poziomie podświadomym. Można ująć to tak: ma pan przed sobą rozsypane puzzle. Widzi pan, co jest na poszczególnych kawałkach, orientuje się pan, że niektóre będą leżeć obok siebie, niedaleko, niektóre pasują jeden do drugiego, ale wciąż nie ma pan jeszcze pełnego obrazu. Nie wie pan, co będą przedstawiać jako całość, choć coś już zaczyna świtać. Ale nie ma pan pewności. Bo to może być jednak wszystko. No, ale jedną rzecz mamy wyjaśnioną: nie jest pan porywaczem.

– Skąd ta pewność?

– Bo tak jak panu mówiłem, można kłamać w hipnozie, ale nawet pod hipnozą nie zrobi się nic sprzecznego z własnym systemem wartości. Zasugerowałem panu podczas transu, że jest pan porywaczem, a pana reakcja była jednoznaczna. Również ta świadoma, teraz, przed chwilą. Szczere oburzenie. Niedowierzenie. Szok.

– To co tam robiłem? Skoro to widziałem, to znaczy, że tam byłem? Jako kto?

– I to jest pytanie, na które szukamy odpowiedzi. Nie tylko gdzie pan był, ale i w jakim charakterze.

## 21

Następnego dnia Bielawski zaprosił Martę do siebie. O czternastej miał mieć telekonferencję z Robertem Yanceyem, któremu wysłał niezbędne materiały: wszystko to, czego zdobili się dowiedzieć i co zdobyli. Rysunek Maksa, zdjęcia z Orłowic, mapy z pozaznaczanymi lokalizacjami.

Drzwi otworzyła jej jakaś kobieta ubrana w satynowy, seledynowy szlafrok, z niedbale upiętym z boku głowy blond kokiem.

– Dzień dobry... – wykrztusiła Marta z zaskoczeniem, cofając się lekko.

– Dzień dobry. – Jej głos był obojętny. – Pani do męża?

– Tak – potwierdziła.

Kobieta wyciągnęła ku niej dłoń, więc trochę bezwiednie ją uścisnęła.

– Bielawska – powiedziała i niemal wciągnęła ją do środka.

Marta poddała się jej, ale kiedy tylko uścisk zelżał, skorzystała z okazji i wysunęła palce z chłodnej dłoni. Kiedy Bielawska zamknęła drzwi, spojrzała na nią, jakby była przezroczysta.

– Marek jest u siebie na dole – powiedziała. – Mam panią zaprowadzić czy trafi pani sama?

– Trafie, dziękuję. – Zakłopotana uciekła wzrokiem w bok, a kiedy znów spojrzała w stronę Bielawskiej, okazało się, że ta zniknęła jak duch.

Dobiegł ją tylko odgłos zamykanych gdzieś drzwi. Wzruszyła ramionami i zeszła do piwnicy. Stała przed drzwiami do pieczary Batmana, zastanawiając się, czy pukać, ale uznała, że skoro Bielawski sam ją zaprosił, to jej oczekuje. Nacisnęła klamkę i weszła. Siedział przy biurku pod tablicami z materiałami poszukiwań, przed nim stał laptop, na którym pracował. Gdy usłyszał, że wchodzi, nie odwracając się, uniósł dłoń.

– Już kończę – rzucił przez ramię. – Rozgość się, zaraz naleję ci coś do picia.

Rozejrzała się i wybrała kanapę. Bielawski poklikał jeszcze chwilę, potem okręcił się na krześle i podjechał do niej, odpychając się nogami.

– Znasz angielski? – zapytał.

– Nie. – Pokręciła głową.

– Szkoda – mruknął. – No nic, będę tłumaczył albo streszczę ci potem wszystko.

– Okej. – Westchnęła. – Marek...

– Tak?

– Dlaczego twoja żona w tym nie uczestniczy? Zobaczyłam ją dziś pierwszy raz.

– Masz z tym jakiś problem?

– Nie, pytam z ciekawości.

Bielawski wzruszył ramionami.

– Ona jest jedną z tych, która nie wierzy. Pogodziła się jakoś z tym, co się stało, jeśli w ogóle można się z czymś takim pogodzić. Chodzi do psychoterapeuty.

– Pomaga jej to?

– Chyba tak.

– Chyba? To nie rozmawiacie o tym?

– Od jakiegoś czasu nie rozmawiamy prawie wcale. My też możemy o tym nie rozmawiać?

– Jasne, przepraszam. Nie chciałam się wtrącać w twoje prywatne sprawy.

– W porządku.

Nalał jej coli i podał szklanekę, a ona usiadła na kanapie, prawie się na niej kładąc i opierając pięty o krawędź stołu do bilardu. Bielawski spojrzał na nią znacząco, więc zdjęła nogi i postawiła na podłodze.

– Popełniłam faux pas? – zapytała.

– Czuj się swobodnie: możesz wszędzie, tylko nie na stół. I będzie git.

– Jasne, przepraszam. – Roześmiała się z zakłopotaniem i upiła łyk coli.

Bielawski podszedł do niej i przysiadł na krawędzi stołu, niemal w tym samym miejscu, w którym przed chwilą Marta trzymała nogi. Założył ręce na piersi i widząc jej wzrok, spojrzał na swoje biodro.

– Ja mogę. – Roześmiał się. – Dobra, do rzeczy. Najder poszperał mi w systemach, ale mamy niewiele. Praktycznie nic ponad to, czego dowiedzieliśmy się od pana z siekierą i pani w sklepie. Roman Ropczycki, czterdzieści siedem lat, miejsce pobytu nieznane, ostatnio zameldowany w Orłowicach. Tyle. Od czasu znalezienia Maksa nie wiadomo, gdzie jest. Nie jest oficjalnie uznany za zmarłego, więc formalnie żyje, choć faktycznie były podejrzenia, że spalił się w tej chacie doszczętnie i nie zostały po nim nawet zęby. Strażacy mieli wątpliwości, Najder w to nie wierzy, ja też nie,

bo nawet w piecu kremacyjnym zawsze coś zostaje po zwłokach i trzeba to zmielić w specjalnym młynie. Sprawa jest o tyle dziwna, że mamy tu do czynienia wyłącznie z podejrzeniami, przypuszczeniami i hipotezami. Bo teoretycznie mogło być tak, że Ropczycki żył sobie spokojnie, nagle w jego chałupie pojawił się porywacz z Maksem, stało się coś, Ropczycki został przez niego zabity i nawet jeśli jego ciało nie spłonęło w chacie, to mogło zostać zakopane gdzieś w pobliżu. Ale Ropczycki zachowywał się dziwnie od początku. Zjawia się nie wiadomo skąd, nie wiadomo, co robi i kim jest. Nie da się wysledzić ścieżki jego życia, która urywa się ponad trzydzieści lat temu. Jako dziecko mieszkał w małej wsi pod Przemyślem, skończył tylko podstawówkę. I już. Koniec historii. I nagle pojawia się w Orłowicach. Za dom zapłacił Wasiakom gotówką, rozumiesz? Nie przelewem, tylko gotówką. Ponad sto tysięcy. Niby niedużo, ale dziwne, nie? Moja teoria jest taka, że spieprzył stamtąd, zatarł ślady i zaczął od nowa. Z naszymi dzieciakami. A to, że nie zabił Maksa, daje mi jakąś nadzieję.

– Może nie zdążył. – Marta postanowiła, że zagra rolę adwokata diabła, choć kosztowało ją to sporo.

– Możliwe, ale weź pod uwagę, że znał stan małego. Wiedział, że jest autystyczny i nie mówi.

– Ale rozumie. I on to musiał też wiedzieć, więc nie mógł mieć pewności, że Maks w jakiś sposób kiedyś nie wyartykułuje, co się stało.

– Zgadza się, i tu mi trochę zgrzyta. Ale mały był zaćpany lekami: zrobili mu badanie krwi w szpitalu, miał wysokie stężenie benzodiazepin, musiał być nimi faszrowany przez długi czas. Może z jakichś względów Ropczycki bał się go zabić, a może Maks uciekł do lasu i wrócił, jak tamten już odjechał? Milion możliwych scenariuszy.

– A Ropczycki wcale nie musi być Ropczyckim, prawda?

– Akt notarialny. Tam musiał wylegitymować się dokumentem.

– Mógł być fałszywy. Prawdziwe nazwisko, PESEL, ale inny człowiek.

Bielawski pokiwał smutno głową.

– Widzisz, tę sprawę potraktowano ulgowo. Po pierwsze, dzieciak się odnalazł. Żywy. Po drugie, nie mówi, bo jest chory, czyli nie jest w stanie udzielić żadnych wyjaśnień. Po trzecie, jego rodzice, bardzo ustosunkowani w Jeleniej ludzie, nie życzyli sobie drażenia tematu. Chronili go, rozumiesz? Chcieli już mieć święty spokój. Sprawa została zamknięta. I tak

wszyscy sądzili, że to był jeden raz, a sprawca najprawdopodobniej spłonął w pożarze. Wygodniej dla wszystkich było to po prostu zakończyć.

– I dzięki temu on mógł porwać nasze dzieci.

– Właśnie. – Bielawski nabrał powietrza, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale nagle rozdzwonił się leżący na barku telefon.

Podszedł do niego, spojrzął na wyświetlacz, potem zmarszczył lekko brwi i przyłożył komórkę do ucha.

– Dzień dobry... Co pan powiedział? – Wyprostował się nagle i złapał za czoło, a potem przesunął dłoń po włosach i zatrzymał dopiero na karku. – Jak to... Jak to uciekł? Jakim, kurwa, cudem? ... Jak mogę być spokojny? Przecież to była nasza jedyna szansa! Ja... Ja wiem, że to nie pana wina, o nic pana nie obwiniam, absolutnie... Skurwysyn... Pierdolony skurwysyn...

Odłożył nagle telefon na barek i stał przez chwilę nieruchomo, wpatrzony tępo w ścianę przed sobą. Nagle, błyskawicznie podniósł dłoń, zacisnął ją w pięść i uderzył w blat barku, aż zabrzęczały butelki i szklanki.

– Kurrrr-waaaaa!!! – ryknął, aż Marta się skuliła.

Pierwszy raz widziała, żeby stracił nad sobą panowanie. Ten gest, ton głosu, wrzask, w ogóle do niego pasowały i Marta zaczęła się zastanawiać, czy faktycznie zaszło coś, co uzasadniało ten wybuch, czy Marek taki właśnie był, a jedynie nie pokazywał jej tego.

Wolała zdecydowanie tę pierwszą opcję. Bielawski uspokoił się tak samo nagle, jak wybuchnął. Podszedł powoli do kanapy, usiadł na niej ciężko, na drugim końcu, i ukrył twarz w dłoniach.

– W porządku? – zapytała.

– Nie, nie w porządku. – Westchnął i spojrzął na nią, choć dłonie zostały z boku głowy, na uszach.

– Powiesz mi, co się stało? – Zmarszczyła brwi.

Miała przeczucie, że to miało coś wspólnego z ich sprawą. Wiedziała to w momencie, w którym Marek spojrzął na nią podczas rozmowy przez telefon.

– Przepraszam, ale jest coś, o czym nie wiedziałaś... – powiedział cicho, tak cicho, że ledwie go usłyszała.

– Taak?

– Tak.

– No to słucham.

Zacisnął usta i popatrzył na nią, ale po chwili spuścił głowę.



- Widzisz... Od niespełna tygodnia u Sobczaka w klinice przebywał człowiek, który... O którym sądziliśmy...
- Powiesz mi to wreszcie?
- Prawdopodobnie był w miejscu, gdzie przetrzymywani są nasi chłopcy.

## 22

– Coś ty powiedział? – Marta poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Miał amnezję, bo został uderzony w głowę. Nie pamiętał prawie nic, co stało się w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Sobczak miał do niego dotrzeć, dogrzebać się. A on spierdolił. Miałem z nim układ, zapłaciłem chujowi, żeby dał się przebadać...

Marta zagotowała się w środku.

– Jak, kurwa, mogłeś mi tego nie powiedzieć!?! – wrzasnęła. – Jak!?

Zerwała się z kanapy i podeszła do niego powoli, jakby jeszcze zastanawiała się, czy to zrobić, a on wstał i popatrzył jej w oczy, mimo że zdawał sobie sprawę, co może się za chwilę stać.

Stała przed nim, oddychając szybko i urywanie, podniosła rękę, zamknęła oczy i uderzyła go w pierś. Niezbyt mocno, zaraz jednak podniosła drugą i zrobiła to samo, tym razem odrobinę mocniej. A potem na jego tors spadła lawina niezdarnych ciosów zadawanych pięściami. Odczekał chwilę i nagle złapał ją za nadgarstki. Szarpnęła się, ale nie puszczał.

– Popatrz na mnie – powiedział cicho.

Pokręciła głową, odwróciła ją i mocno zacisnęła powieki, jak mała dziewczynka, która obraziła się na tatusia, bo nie kupił jej lodów.

– Popatrz – poprosił.

Pociągnęła nosem i otworzyła oczy, ale patrzyła gdzieś w bok, pod jego łokciem. Bielawski pochylił się lekko i zbliżył usta do jej ucha.

– Złamałem prawo – wyszeptał. – Popełniłem przestępstwo, w dodatku przekupiłem funkcjonariuszy policji, żeby to zatuszować, a wręcz po to, żeby pomogli mi je popełnić. Za to się idzie do więzienia, dziewczyno. Poszedłbym i ja, i oni. Ja bym wyszedł i żył dalej, jak żyłem, dla nich skończyłoby się to katastrofą, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? I co? Miałem się tym chwalić? Co by to dało, gdybym ci powiedział, Marta? Co? Powiedz mi, co by to dało?

– W ogóle nie zamierzałeś mi o tym mówić? Nawet wspomnieć, bez szczegółów?

– Już widzę, jak nie chcesz znać szczegółów... – parsknął. – Miałem ci powiedzieć po tym, jak Sobczak wyciągnie z niego, co trzeba.

– Chcę wiedzieć o wszystkim, rozumiesz? – Spojrzała mu wreszcie w twarz. – O wszystkim. O każdym jebanym szczególe! Nie waż się przede mną niczego ukrywać, słyszysz? Słyszysz, co mówię, Marek? Mówię ci to na przyszłość, gdyby coś takiego miało się powtórzyć. A teraz opowiedz mi, o co chodzi z tym człowiekiem. Chcę usłyszeć wszystko. Wszystko!

Bielawski chwilę patrzył w podłogę, jakby zastanawiał się, od czego zacząć.

– Od początku – pomogła mu.

Zobaczyła, jak język wypchnął policzek, potem wzrok powędrował w stronę sufitu, aż wreszcie zaczął.

– Gość nazywa się Janusz Stróżyk. – Chrząknął, przystawiając zwiniętą dłoń do ust. – Mieszka w Mirosławcu. Trafił do szpitala w Drawsku z raną głowy, wstrząśnieniem mózgu i amnezją pourazową. Przytomny. Nie wiedział, dokąd jechał i po co. Nie wiedział nawet, kim jest. Pamiętał tylko, że jechał swoim samochodem i po drodze miał kontakt z chłopcem, który nie chodził. I ten chłopiec twierdził, że został porwany i był przetrzymywany w jakichś piwnicach. Nie wie, gdzie dokładnie go znalazł, pamięta tylko, że prawie go rozjechał. Nie było z nim tego chłopca, i Stróżyk nie wie, gdzie on zniknął. Gdzieś w międzyczasie dostał od kogoś w łeb. Sobczak twierdzi, że to nie jest dziwne przy tej jego amnezji, bo te dwa zdarzenia były stresujące i ich echa mimo wszystko zostały w świadomości. Poza tym amnezja nie jest wynikiem stresu, tylko uszkodzenia konkretnego obszaru mózgu. Z ludzkim mózgiem to zawsze jest dziwna sprawa, w każdym razie wiemy na pewno, że został uderzony w głowę. Mocno, miał pękniętą czaszkę. Musiał się ocknąć i jakoś dał radę prowadzić, niektórzy tak mają, są po prostu niezniszczalni. Problem w tym, że nie znamy dokładnej lokalizacji, bo facet mógł przejechać kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt kilometrów, szukając karetki pogotowia, rozumiesz? Nie pamiętał, kim jest, krwawił z głowy i jechał, aż nie napotkał karetki pogotowia, tak mu się ubzdurało. Nie do szpitala, tylko karetkę. Zajechał jej drogę w okolicach Kalisza Pomorskiego, powodując stłuczkę i komplikując życie ciężarnej, którą wieźli do porodu. W szpitalu przesłuchiwał go miejscowy policjant, a kiedy usłyszał coś o porwanym dziecku, dał cynk do KWP, bo w całym województwie są na te porwania dzieci wyczuleni. I Najderowi przyszło do głowy, żeby zdjąć typowi odciski

palców, kiedy spał. No i wyszło, że nazywa się Stróżyk i ma wyrok do odsiedzenia, nie stawił się w więzieniu pół roku wcześniej, ale go chyba zbyt aktywnie nie szukali, bo to jakiś drobiazg. Wyperswadowałem Najderowi informowanie przełożonych; oficjalnie dalej nie było wiadomo, kim ten facet jest. Spotkałem się z tym Stróżykiem w szpitalu w Drawsku. Powiedziałem mu, kim jest, że ma wyrok i dałem mu okazję na uniknięcie odsiadki, jeśli coś dla mnie zrobi. Za określoną opłatą oczywiście. Zgodził się wypisać ze szpitala na własne życzenie i położyć się do kliniki Sobczaka. Sobczak sam mi to zaproponował. Miał go wy badać swoimi metodami. No to zamówiłem karetkę, która przewiozła Stróżyka do Szczecina, zainstalowałem go u Sobczaka i czekałem na efekty. Ledwo zaczęli pracować, a on wziął i spierdolił, rozumiesz? Gnojek parszywy...

Marta siedziała jak zamurowana.

– To była nasza jedyna szansa – wyszeptała po chwili.

Ta myśl była jak cios obuchem. Bielawski spuścił głowę.

– Wiem. Wiem, kurwa. Dalej mi się dziwisz, że tak wybuchnąłem? – zapytał. – Tak, widziałem, jak na mnie patrzysz, też bym się przestraszył na twoim miejscu. Zwykle panuję nad sobą w najbardziej stresujących sytuacjach, ale teraz... – Pokręcił ze zdumieniem głową.

– Znowu jesteśmy w czarnej dupie. – Westchnęła.

Bielawski wyprostował się, a jego oczy błysnęły: nie wiedziała, czy z entuzjazmu, czy ze złości.

– Krąg się zacieśnia, Marta – powiedział z przekonaniem. – Bo jeśli to był Piotrek, to miejsce, gdzie są przetrzymywani, nie może być daleko od tego, w którym Stróżyk przywalił w karetkę. To koło o promieniu kilkunastu kilometrów, a nie trójkąt na całe województwo jak wcześniej.

Siedziała przez chwilę w ciszy i przetrawiała informacje. Wreszcie głęboko odetchnęła, zagryzła dolną wargę i spojrzała Bielawskiemu śmiało w twarz.

– Mam nadzieję, że to był ostatni raz, kiedy mi o czymś nie powiedziałaś.

– Obiecuję. – Nie odwrócił głowy, wytrzymując jej spojrzenie, ale po chwili zerknął na zegarek. – Dobra, zaraz będę się łączył z Yanceyem. Nalać ci czegoś jeszcze do picia?

Podziękowała, więc usiadł do komputera i kilka minut później na ekranie pojawił się jakiś mężczyzna, z którym Marek bez żadnych ceregieli zaczął rozmawiać po angielsku. Słuchała ich konwersacji, nie rozumiejąc ani słowa. Yancey był chudym, żyłastym facetem z siwą czupryną i w

okularach bez oprawek, których szkła migają refleksami oświetlającej jego twarz lampy za każdym razem, kiedy ruszył głową. Miał dość wysoki głos, a jego ruchy, kiedy pokazywał jakieś szkice, były oszczędne jak u prezentera wiadomości.

Rozmowa trwała jakiś kwadrans. Prawie zasypiała, kiedy usłyszała hurgot kółek krzesła, na którym siedział Bielawski. Kiedy otworzyła oczy, Marek był tuż przed nią, na fotelu, pochylony w jej stronę, z łokciami opartymi o kolana.

– Odleciałaś? – zapytał.

– Prawie. – Z trudem powstrzymała ziewnięcie.

– No dobra, to zreferuję ci szybko rozmowę. Bob twierdzi, że wiele, praktycznie wszystko, wskazuje na to, że to Ropczycki jest porywaczem. Te teorie, które snułem, o przypadkowym spotkaniu porywacza i Ropczyckiego w jego domu, są bardzo mało prawdopodobne. Ten spalony bus to auto do łowów. To dostawczak, bez szyb, anonimowy, popularna marka, niczym się niewyróżniający. Ropczycki kupuje dom na odludziu. Za gotówkę. Nigdzie nie pracuje, ale ma pieniądze. Nie znamy źródła ich pochodzenia, prawdopodobnie pochodzą z przestępstwa: oszustwa bądź zwykłej kradzieży. Tak zachowują się ludzie, którzy chcą się ukryć, Marta. Ukryć przed ludźmi, przed światem. Gdyby nie Maks, byłby zwykłym dziwakiem, jakich wielu, ale jego zachowanie plus mały Maks znaleziony przy jego domu daje nam niemal pewność, że to on był porywaczem. A jeśli chodzi o Maksia... Boba martwi ten rysunek i Ken. Maks ma fiksację, to charakterystyczne dla autystyków, u niego jest to rysowanie. Motyw człowieka, prawie na pewno mężczyzny, przewija się w jego rysunkach od czasu porwania, widziałaś sama, wspominała też o tym opiekunka. Barwy monochromatyczne, praktycznie sama czerń, ale najbardziej zastanawiająca jest ta plama w pasie, w okolicach genitalnych, rozumiesz?

Marta poczuła, że łzy zbierają się jej pod powiekami.

– Musimy liczyć się z tym, że on krzywdzi dzieci. Molestuje. Może jest tylko ekshibicjonistą i wystarcza mu obnażanie się, a może... – Urwał i wstał z krzesła, a potem ruszył w stronę barku. – Też nie chcę o tym myśleć, Sobczak będzie miał mnóstwo roboty, jak już je odnajdziemy, bo to okres kształtowania się ich seksualności i ten proces został ostro zaburzony. Ale najważniejsze jest, żeby chłopcy żyli. Z resztą sobie jakoś poradzimy. Będą mieć blizny do końca życia, ale będziemy z nimi pracować, nie

musisz się martwić o kasę, zapewnię opiekę psychologiczną im wszystkim, zobaczysz, że Sobczak ich z tego jakoś wyciągnie...

– Marek! – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Co? – Zamrugał, jakby się właśnie obudził z krótkiej drzemki.

– Proszę... – szepnęła.

Zamilkł. Wziął stojącą na barku szklanekę i wypił całą jej zawartość jednym haustem.

– Już wierzysz, że to ten sam człowiek? – zapytał, odstawiając szkło na blat.

– Nie wiem... Sama nie wiem, czy wierzę.

– To nie tak, że wszystko na to wskazuje, ale wiele. Yancey twierdzi, że to bardzo prawdopodobne. Facet zmienił teren. Zatarł ślady, przeniósł się, zorganizował wszystko na nowo. Niewykluczone, że w podobny sposób, choć pewnie ulepszył parę rzeczy nauczony doświadczeniem. I teraz idzie mu dużo lepiej. Trwa to rok, nie został wykryty, porywa wciąż nowe dzieci. Ze względu na sprawę Stróżyka Yancey proponuje skupić się na małych miejscowościach i przysiółkach w trójkącie między Wałczem, Szczecinkiem a Szczecinem, z oczywistych względów, a najbardziej na rejonie Wału Pomorskiego, w okolicy, gdzie miała miejsce ta akcja. Jakies odludzie, popegeerowskie zabudowania, zamknięte zakłady produkcyjne. Takie nieruchomości można kupić niemal za bezcen. Bo on raczej nie zmieni przyzwyczajień. Co najwyżej lekko zmodyfikuje plan. A na koniec gwóźdź programu: pojawiło się nowe przypuszczenie. Pamiętasz, mówiłem ci o swojej teorii, że on porywa niepełnosprawne dzieciaki, żeby nie mogły uciec?

– Pamiętam.

– Jakubiak wspomniał, że Ropczycki powiedział mu kiedyś o jakimś swoim wypadku. Nie było widać u niego żadnych mankamentów, ale może być tak, że on jest w jakimś stopniu niepełnosprawny, rozumiesz? I teraz pytanie: czy on porywa niepełnosprawne dzieci faktycznie po to, żeby mu było łatwiej je kontrolować ze swoim kalectwem, czy też żeby napawać się tym, że one mają gorzej?

– Paraplegia, skolioza, zespół Downa, skrajne niedowidzenie. Co jest lepsze od tego?

– Rysunki Maksia.

– Co?

– Te bazgroły w pasie ludzików... I Ken.

– Myślisz, że jest kastratem? – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, kiedy przypomniała sobie jego historię o nowotworze jąder i uświadomiła, że niezbyt szczęśliwym sformułowaniem mogła go urazić.

Oczy Marka zrobiły się na ułamek sekundy pozbawione wyrazu i Marta nie miała wątpliwości, że patrzą w przeszłość.

– Moja terapia była ciekawym doświadczeniem, wiesz? – powiedział cicho. – Nie chodzi o leczenie, strach, ból, przełamanie jakichś barier, godzenie się z rzeczywistością i tak dalej. Moim idolem był wtedy Lance Armstrong. Chodzi mi o coś innego. Bo widzisz, miałem do czynienia z facetami w podobnej sytuacji. Wielu z nich poszło do lekarza za późno, bo nie widzieli problemu w tym, że jaja im spuchły albo że boli. Zaprzeczali temu. Przejdzie, myśleli. Tak bardzo się wstydzili albo bali diagnozy, że zaprzepaszczali ostatnią szansę, a potem było już za późno. Miałem orchidektomię, mówiłem ci. Dla mężczyzny trauma takiej operacji jest porównywalna z mastektomią u kobiety. One tracą atrybut kobiecości, symbol jej i macierzyństwa, czują się ułomne i niepełne. Mężczyźni też często sądzą, że przestają być mężczyznami. Ja akurat nie miałem z tym problemu, bo dla mnie wybór: żyję bez nich albo nie żyję, był prosty. Dostałem silikonowe implanty i nie widać żadnej różnicy. Ale każdy przypadek jest inny, rozumiesz? Widziałem różne rzeczy, różne postawy. Każdy z tych facetów podchodził inaczej do utraty swoich skarbów. Każdego inaczej siekło. I jeśli Ropczycki też przeszedł coś takiego, mogło to na niego jakoś wpłynąć. Koszmarnie nieprzewidywalnie.

Milczeli przez chwilę.

– Podziwiam cię, że tak łatwo ci o tym mówić. – Marta westchnęła.

– Łatwo? – Bielawski zmrużył oczy. – To nie jest dobre słowo. Minęło parę lat, poza tym być może ja jestem z tych, którzy znieśli to mimo wszystko lepiej. A co sądzisz o tym, co powiedziałem? O Ropczyckim, o teoriach Yanceya?

– Nie jesteśmy ani o krok bliżej. – Pokręciła głową, spuszczaając wzrok.

– Nie? – Bielawski się zdziwił. – Ty znowu... Naprawdę tak myślisz? A Ropczycki? Szukają go, Marta. Szuka go policja, szuka go Najder i szuka go jeden z najlepszych prywatnych detektywów w tym kraju.

– Chyba nie...

– Nie, spokojnie, nie on. Wiemy wreszcie, kogo szukać. I to dzięki tobie, bo to ty znalazłaś artykuł i skojarzyłaś, że to może mieć coś wspólnego z naszymi dziećmi. I ty mówisz, że nie jesteśmy bliżej? – Podszedł do

niej. – Ja wiem, ty myślisz zero-jedynkowo. Nie znaleźliśmy ich: zero, znajdziemy, będzie jeden. A ja widzę konkretną wartość między tymi liczbami. Dobra, może nie konkretną, ale jesteśmy w drugiej połowie, rozumiesz? Absolutnie nie jest tak, że nie mamy nic! I pomyśl może o tym w ten sposób.

Skinęła głową.

– Spróbuję – obiecała.

– Funkcjonuję tak od roku, wiesz? I czasem zastanawiam się, gdzie bym był, gdyby nie ta moja wiara. Ten zapach.

– Mówiłeś mi to już.

– Mówię jeszcze raz, bo mam wrażenie, że zapomniałaś.

– Nie zapomniałam.

– Cieszę się. – Klepnął się w uda i uśmiechnął. – No nic, czekamy. Zobaczymy, co przyniesie najbliższa przyszłość...

Zaproponował jej partyjkę bilardu dla rozluźnienia, ale odmówiła, bo nie miała nastroju. Kiedy Bielawski odprowadzał ją do drzwi, gdzieś z tyłu holu mignęła jego żona, znów poruszająca się jak duch w tym swoim zwiewnym szlafroku i Marta pomyślała, że nawet nie wie, jak ona ma na imię. Ale nie zapytała o to Marka. Pożegnała się z nim i pojechała do domu.



## 23

– Dziś spróbujemy dotrzeć do jakichś informacji o pańskim życiu osobistym, dobrze?

– Dobrze, panie doktorze...

– Widzę, że słabo dziś z entuzjazmem?

– Dziwi się pan?

– Nie, ale być może trzeba by obniżyć nieco dawkę leków, pomyślimy o tym. No dobrze, zacznijmy, panie Mariuszu. No i przypomniał pan sobie parę rzeczy, a to już coś.

– To dzięki panu, umówmy się. Pan mnie kieruje.

– Od tego jestem. A więc ma pan żonę?

– Tak. Mam żonę...

– Jak ma na imię?

– Marta.

– A dzieci?

– Mam syna. Piotrka.

– Ile ma lat?

– Czternaście... Nie, piętnaście.

– No i świetnie. Jak wygląda pana żona?

– Co to znaczy, jak wygląda?

– No, niech mi pan ją opisz. Wzrost, kolor oczu, włosów...

– Średniego wzrostu...

– A gdyby miał pan podać wzrost w centymetrach?

– Nie jestem pewien, jakieś metr siedemdziesiąt?

– Dobrze, dalej. Oczy.

– Oczy... Zielone.

– Świetnie. Włosy?

– Rude. Rude, lekko kręcone, gęste. Takie włosy trudno zapomnieć.

– Nie do końca, ale rozumiem, co ma pan na myśli. A jak wam się układało w łóżku?

– Pyta pan o... seks?

– Tak.

– Wie pan, nnooo...

– Dobra, zostawmy seks. To chociaż niech pan się postara opisać, jakie ma piersi.

– S-słucham?

– Proszę opisać jej biust. Duży, mały, obwisły, czy piersi są symetryczne, jak wyglądają brodawki sutkowe... Spokojnie, jestem lekarzem, terapeutą, tu nic nie wyjdzie poza to pomieszczenie. No więc?

– Ale...

– Skoro przypomniał pan sobie, jak wygląda jej twarz, to jak sądzę z resztą nie będzie problemu? Sfera seksualna to więcej bodźców, który które łatwiej zapamiętać. Czy trudniej zapomnieć, jeśli pan woli.

– No, są raczej większe niż mniejsze... Przepraszam, można tu jakiś nawiew włączyć? Gorąco mi trochę.

– Niestety nie, ale może wody?

– Tak, poproszę...

– Tyle wystarczy?

– T-tak.

– Spokojnie, niech się pan nie spieszy.

– ...

– Już? Czy jeszcze trochę?

– Nie, wystarczy, dzięki. Ma trochę dziwny smak.

– Nie lubi pan lekko nasyconej?

– Tak się to nazywa?

– Tak, to taka woda gazowana, tylko trochę mniej. To co, wracamy do rozmowy?

– No, chyba tak.

– Niech pan opisz jej narządy płciowe.

– Mogę jeszcze wody?

– Tak, proszę sobie nalać, śmiało.

– ...

– To jak, odpowie mi pan?

– Ja... Chyba nie pamiętam.

– Nie, to nie tak. Nie może pan tego pamiętać, bo to nie jest pana żona. Nie jesteś Mariuszem Rybickim, choć to pierwsza rzecz, jaka ci się przypomniała. To nie jest twoja żona, a ty najprawdopodobniej nawet nigdy w życiu nie widziałeś nagiej kobiety na żywo. Może tylko w internecie.

– C-co... Co pan opowiada? Niby dlaczego?  
– Bo jesteś nastolatkiem.  
– Co!?  
– Jesteś nastolatkiem. Nie masz nawet jeszcze zarostu na twarzy.  
Pogłaszcz się po policzku albo podbródku.  
– Kurwa, co tu jest grane?  
– To następny krok. Zrobiliśmy następny, duży i ważny krok.  
– Nie wierzę. Co to, kurwa, jest!?  
– Nie jesteś Mariuszem Rybickim. Jesteś nastolatkiem.  
– Nie wierzę, słyszy mnie pan?  
– Proszę, tu jest lustro. Spójrz. Spójrz w lustro!  
– Jezuu...  
– Spokojnie.  
– Kręci mi się w głowie.  
– Tak, wiem, bo już powoli kończymy na dziś. Poznajesz się?  
– Nie, nie, niee! Nie wiem, kto to jest, ale to na pewno nie ja! To jakieś sztuczki!  
– Oddaj mi lusterko. Spokojnie, tak? Wypłacz się. To kwestia niedługiego czasu, a przypomnisz sobie wszystko. Obiecuję ci to.  
– Skąd wiem, że moja żona... Że ta kobieta jest ruda i ma zielone oczy? Skąd to wiem??? Bo ja to wiem, a nie wymyśliłem sobie. Mariusza Rybickiego też nie!  
– Zgadza się, nie wymyśliłeś tego wszystkiego.  
– Więc... Jezuu, zaraz spadnę z tego krzesła... Więc skąd to wiem?  
– Ty mi powiedz.  
– Nie mam pojęcia.  
– Dobrze, więc ja ci powiem. Ktoś ci to powiedział. Tam, na Farmie. A ty zbudowałeś z tego jakiś obraz. Poukładałeś puzzle, ale wzięłeś nie te klocki i powciskałeś je na siłę. Teraz będziemy musieli je nieco poprzestawiać.  
– To kim ja jestem?  
– Dojdziemy do tego. Spokojnie.  
– A kto mi to wszystko powiedział?  
– Logika nakazuje sądzić, że syn rudej kobiety, która nazywa się Marta Sygit, i Mariusza Rybickiego. Chłopak na wózku. Twój towarzysz niedoli, Piotrek. Piotrek Rybicki.

## 24

Tym razem drzwi otworzyła kobieta w sile wieku, ubrana w fartuch kuchenny. Na moment zatrzymała spojrzenie na włosach Marty, a potem bez słowa odsunęła się, wpuściła ją do środka i zamknęła drzwi. Po chwili minęła ją i nie oglądając się już, rzuciła ciche „proszę za mną”. Marta ruszyła za nią. Przeszły przez dom i Marta znów trafiła na szerokie schody do piwnicy. Była pewna, że zostanie zaprowadzona do jaskini Batmana, ale gosposia skręciła w lewo i po chwili znalazły się przed szerokimi drzwiami. Kobieta zapukała i kilka sekund później otworzyły się, a za nimi ukazała się twarz Bielawskiego.

– Co się stało? – zapytał zdziwiony.

– Nic. – Wzruszyła ramionami.

Gosposia w milczeniu się oddaliła. Marta odczekała chwilę, aż odejdzie wystarczająco daleko, i dodała:

– Chyba nie chciałam być sama, więc przyszłam do ciebie. Tak naprawdę nie mam do kogo pójść. Smutne, nie? – Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Trochę – przyznał, robiąc jej miejsce w drzwiach. – Ale skoro już jesteś, to chodź, potrenujemy razem.

Minęła go i poczuła zapach świeżego potu. Nie był niemiły, przebijał przez zapach wody toaletowej i wydał jej się bardzo męski. Bielawski miał na sobie szarą koszulkę na ramiączkach i mogła teraz zobaczyć jego ramiona. Nie miał imponujących mięśni, jednak widać było, że jest silny. Na dłoniach miał rękawiczki w kolorze khaki, zauważyła na kostkach plastikowe wykończenia. Owca

– Trenujesz jakieś sztuki walki? – zapytała.

– Może sztukę, ale nie walki. – Bielawski zmarszczył zabawnie nos. – Raczej systemową sztukę jej unikania.

– Czyli sprint?

Roześmiał się.

– Nie. Chodzi o to, że walka jest tylko w ostateczności, kiedy wszelkie próby perswazji zawiodły i dochodzi do konfrontacji. I to też nie jest

walka, bo wszystko sprowadza się do błyskawicznej reakcji, właściwej odpowiedzi i ucieczki.

– Na czym polega odpowiedź? Na ciosie w twarz?

– To zależy, czy też masz nóż albo pałkę, czy tylko ręce.

– Sam to wymyśliłeś?

– Nie, nie ja. Pewien gość, który próbował różnych rzeczy, sztuk i systemów, stwierdził, że opracuje własny. To było ładnych parę lat temu, ale on go wciąż doskonalili.

– Dlaczego ćwiczysz akurat to, a nie aikido czy karate?

– Jestem pragmatyczny. Nie mam czasu ani ochoty na filozofowanie. Przekonała mnie prostota tego systemu. Jego szybkość. I skuteczność.

– Pokażesz mi? – Zmrużyła oczy.

Bielawski uśmiechnął się lekko, a ona pomyślała, że wszyscy mężczyźni są jednak tacy sami. Stał w lekkim rozkroku, odrobinę wysunął prawą nogę do przodu i uniół ręce w obronnym geście.

– Postawa wyjściowa przed konfrontacją mówi: nie chcę się bić. Pokazuje agresorowi: zobacz, mam gołe ręce. Nie są zaciśnięte w pięści. Ale jednocześnie, jeśli napastnik jest zdeterminowany, prowokują do ataku na korpus i to daje ci przewagę na starcie, bo o ułamki sekund wcześniej wiesz, jak się obronić. Jaki zrobić unik czy blok. A jeśli wyprowadzi cios na głowę, to ręce też już są w połowie drogi do zasłonięcia się. Nawet jeśli masz nóż, to postawa wyjściowa też różni się od wszystkich innych systemów walki z użyciem noża, gdzie się nim zasłaniasz. Ale to złudna ochrona, bo tą postawą dzielisz pole walki na kilka stref, które musisz kontrolować. A kiedy ręce są rozłożone, masz tylko dwie: górną i dolną, i obie kontrolujesz w pierwszej fazie ataku z tej samej pozycji ruchem nadgarstka. Dopiero potem blokujesz i zadajesz ciosy. A wszystko w ułamku sekundy.

– To teoria, a praktyka? – Postanowiła, że go trochę podpuści.

– Praktyka? – Bielawski opuścił ręce. – Praktyka zwykle jest taka, że większość agresywnych koleśków nie zdaje sobie sprawy, że jeśli już prowokuje atak, to musi być przygotowana na kontratak. Może nawet walkę. A nie jest, bo myśli, że jak nastroszy piórka i zagdacze, zwłaszcza jeśli przeciwnik jest wizualnie słabszy od niego, to żadnej walki nie będzie, bo tamten ustąpi. Takie akcje rozgrywają się w ułamkach sekund, rozumiesz? Są emocje, często alkohol, złość, głupota. Błyska nóż, tulipan, pojawia się pałka, maczeta, albo nawet goła pięść. I ty musisz zareagować

błyskawicznie. Nie zastanawiać się, gdzie pójdzie cios, bo go nawet dobrze nie zdążysz zobaczyć. Nie myśleć, że może skurwiel jednak nie zaatakuje. To jest walka o życie, zawsze musisz tak zakładać, bo nigdy nie wiesz, czy nóż cię draśnie w rękę, czy przetnie tętnicę. Wszystko polega na wyćwiczeniu pamięci mięśniowej. To ma być odruch. W zależności od tego, z której strony i na jakiej wysokości idzie cios, robisz odpowiedni blok i wykańczasz technikę uderzeniem bądź chwytem, albo obiema tymi rzeczami. Jeśli masz się czym bronić, wykorzystujesz to: torebka, kurtka, chwycona ze stolika butelka czy szklanka. Jeśli nie znajdziesz niczego do obrony, wciąż masz dwie ręce i głowę. Załatwiasz typa, przejmujesz nóż czy co tam ma i odskakujesz. Uciekasz. Rozumiesz? Nie mścisz się, nie dajesz upustu swojej złości, nie kopiesz go przez kwadrans, nie dobijasz. Nie o to chodzi. Uciekasz, bo ucieczka jest elementem obrony. Zwiększeniem szansy na przeżycie. Nigdy nie wiesz, czy facet się nagle nie pozbiera, nie wyciągnie pistoletu, o którym nie miałaś pojęcia, albo czy zza krzaka nie wyjdzie nagle jego kilku kolesi. Unikanie walki czy ucieczka to nie wstyd. Wstyd to dać się zabić gnojowi za telefon albo portfel. Bo giniesz wtedy przez głupotę. Nie jego. Swoją. Uderz mnie.

– Co?

– Uderz mnie.

– Jak?

– Tak jak potrafisz.

– Ale ja nie potrafię! Nigdy nikogo nie uderzyłam!

– A jeśli będziesz musiała?

– To pewnie to zrobię.

– Ale przecież nie wiesz jak?

– Nnooo...

– To ja ci pokażę, jak uderzyć i co ważniejsze, jak się obronić przed ciosem. Uderz.

– Boję się.

– Czego?

– Że ci coś zrobię.

– Nie zrobisz. – Roześmiał się krótko. – A nawet jak ci się uda, to biorę to na siebie. No?

– Sorry, Marek, nie potrafię.

Opuścił rękę.

– Powiesz to chujowi, który będzie chciał ci zabrać telefon albo portfel?

– Po prostu oddam mu to. – Wzruszyła ramionami. – Nie będę ginąć za portfel czy telefon, sam przed chwilą powiedziałeś, że to głupota.

– Swoje ciało też mu oddasz, jak ładnie poprosi?

– Co?

– Dawaj dupy, suko.

– Co ty powiedziałeś?

Przybliżył do niej twarz i przechylił głowę, prawie stykali się teraz nosami.

– Jesteśmy tu sami, a drzwi są dźwiękoszczelne. Nikt niczego nie usłyszy. Zerznę cię zaraz i spróbuj tylko coś zrobić. – Poczuła jego palce na swoim biodrze i nagle zalała ją krew.

Marta wzięła zamach i wyprowadziła najmocniejszy cios, na jaki potrafiła się zdobyć. Zrobiła to bezmyślnie, nie zastanawiając się jak, po prostu uległa emocjom i popłynęła na ich fali, dając się jej nieść przed siebie, bez jakiegokolwiek kontroli. I nagle jej pięść trafiła na ścianę. Syknęła, kiedy poczuła prąd aż do łokcia.

Opuściła rękę i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak twarz Bielawskiego wyłania się zza barykady, jaką zrobił z przedramion i na którą się tak boleśnie natknęła, i wyprowadza przedramieniem cios w jej stronę, a za nim, niczym atakujący z góry jastrząb, leci już druga ręka. Odruchowo odchyliła się do tyłu, ale obie dłonie Marka zatrzymały się nagle w bezpiecznej odległości od jej twarzy.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem. – Jego głos był spokojny i opanowany jak zwykle. – Przesadziłem, wiem o tym, przepraszam. Nie chciałem ci nic zrobić. Chciałem ci tylko pokazać...

– Spokojnie, nic się nie stało, to nie ciebie się przestraszyłam. – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – Tylko siebie...

Bielawski spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

– Okej. – Cofnął się lekko. – Nie znamy samych siebie, dopóki ktoś nas nie sprawdzi, co? Mnóstwo pracy zabiera pozbycie się emocji. A właściwie zostawienie ich na później, bo w tej kluczowej chwili tylko przeszkadzają. Zobacz, co musiałem zrobić, żeby przełamać twoją obawę przed uderzeniem mnie. Ale zobacz też, jak zareagowałaś, kiedy doprowadziłem cię na sam skraj.

– To nie był skraj. To znaczy był, ale ja z niego skoczyłam, rozumiesz?

Bielawski patrzył na nią z zadumą.

– Większość ludzi nie wyobraża sobie, że mogłaby świadomie skrzywdzić drugiego człowieka w normalnych okolicznościach. Tak jak ty przed chwilą. Dopiero w reakcji na zagrożenie potrafi to przełamać, choć też z trudem, a brak wprawy czyni zwykle tę reakcję mało skuteczną. Ale są ludzie, dla których to nie jest problem, wiesz? I to przed nimi trzeba się umieć obronić. Oni nie będą się zastanawiać jak ty. Nie będą mieć rozterek



moralnych. Twoja reakcja musi być instynktowna, ale wyćwiczona. Musisz być wtedy skoncentrowana i opanowana. Potem się zdenerwujesz, jak będzie po wszystkim. Zdaję sobie sprawę, że to się łatwo mówi, ale z czasem to przychodzi samo.

– Tobie przyszło?

– Pewnie nie do końca. – Uśmiechnął się. – Dążenie do doskonałości jest drogą, która nigdy się nie kończy. Chodzi o to, jak daleko jesteś w stanie nią dojść, bo do końca pewnie nigdy.

– Jak to zrobiłeś? – Wciąż rozmasowywała sobie kostki i palce.

– To się nazywa blok łokciowy. Jest jeszcze barkowy, tylko żeby je prawidłowo zastosować, trzeba to wyćwiczyć. A potem błyskawiczny kontratak. Ale zostawmy to, chciałaś tylko zobaczyć. Nauczę cię za to czegoś innego.

– Czego?

– Kiedyś być może znajdziesz się w sytuacji, w której będziesz zmuszona powalczyć o życie. Nie życzę ci tego, ale to może zdarzyć się każdemu.

– A tobie się zdarzyło? – wtrąciła.

Zamilkł na sekundę.

– Tak. Dawno temu. Straciłem sporo gotówki, odrobinę krwi, ząb i trochę godności. I dlatego od kilkunastu lat bawię się w to, co ci przed chwilą pokazałem. Oczywiście nie masz żadnych szans ze stukilogramowym typem i nawet nie próbuj sobie wyobrazić, że stajesz z nim do walki jak równy z równym. Twoją szansą są pewne określone punkty na ludzkim ciele. – Obrócił ją do lustra zajmującego pół ściany i zaszedł od tyłu. – Uderzasz tu, tu albo tu. – Pokazał palcem miejsca na jej twarzy i szyi. – To bardzo wrażliwe anatomicznie i mocno unerwione miejsca. Oczy, nos, grdyka, pod żuchwą. Obojczyk, stawy łokciowe i kolanowe. W ostateczności walisz w genitalia, taki cios powali najtwardszego.

– Ciebie też? – Odwróciła się do niego.

– Nie bierz pod uwagę mało prawdopodobnych okoliczności. Ilu facetów żyje bez jąder? – Uśmiechnął się z przekąsem. – I pamiętaj o jednym: kiedy uderzasz, uderzasz nie ręką, tylko całym ciałem. Staje się jak żelbetowa rama i choć to ręka, przedramię albo łokieć dotyka przeciwnika, uderza całe twoje ciało. W momencie kontaktu spinasz się na maksa, jesteś betonowym blokiem.

– Mój były mąż bywał czasem betonowym blokiem.

– Hej, bez żartów, przekazuję ci pożyteczną wiedzę. To ci może kiedyś uratować życie.

– Dobra, dobra...

– Nie wierz w to, co pokazują na filmach. Tam się leją po mordach i brzuchach kilka minut i tylko leci im trochę krwi z nosa. Obejrzyj sobie walki w klatkach. Przez pierwsze kilkadziesiąt sekund chłopaki trzymają pozycję, ciosy są technicznie doskonałe. A potem to już tylko walka o zwycięstwo, byle uderzyć, byle trafić. Mocny cios w odpowiednie miejsce kończy sprawę, czasem nawet definitywnie. Ale jeśli to jest walka o życie, i to o twoje życie, to nie przejmujesz się, czy zrobisz napastnikowi krzywdę, czy nie. Martwisz się, czy on nie robi jej tobie i tylko to ma cię obchodzić. Nic innego. Na przykład to, czy wybijesz mu oko, albo czy złamiesz kość gnykową. Albo czy jak dźgniesz go nożem, to przetniesz tylko skórę czy nerw albo tętnicę. Jakby co, polecę ci dobrego prawnika, a ty masz mieć szansę z niego skorzystać, a nie znaleźć się na cmentarzu. – Puścił do niej oko. – Zapamiętałaś?

Podniosła rękę i palcem powoli zaczęła wskazywać te miejsca na twarzy Bielawskiego, które chwilę wcześniej jej pokazał. Opuszka zostawała w nich odrobinę dłużej, niż musiała.

– Bardzo dobrze. – Jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

– Mogę poboksować? – zapytała nagle, wskazując na wiszący na łańcuchu worek treningowy.

Doszła już trochę do siebie. Bielawski obejrzał się lekko zdziwiony i wrócił do niej spojrzeniem.

– Chcesz? Dobra, dam ci rękawice i pokażę, jak to robić, żebyś nie uszkodziła sobie niczego. Poćwiczysz ramę.

Po chwili miała na dłoniach krzyczące czerwienią rękawice bokserskie. Bielawski poinstruował ją krótko, jak ma uderzać, pokazał cios prosty i sierpowy, i jak ma napinać ciało przy zadawaniu ciosu, a potem ona podeszła do worka i zaczęła w niego walić, dając z siebie wszystko. Po dwóch minutach była wyczerpana, a mokra koszulka lepiła się jej do pleców.

– Widzisz, jak wyczerpujące jest uderzanie? Trzeba to robić ekonomicznie. W warunkach realnej walki rzadko kiedy liczy się siła. Przede wszystkim liczy się technika. Spróbuj fiknąć do gościa, który waży sto dwadzieścia kilo i ma dwa metry wzrostu, a on by cię zdmuchnął kichnięciem. Walnięcie kogoś takiego pięścią nic ci nie da. Lepiej uderzyć

przedramieniem w szyję, nos, ale miej na uwadze, że ono jest tylko przedłużeniem, bo cios zadaje całe twoje ciało, rozumiesz? Spróbuj. – Wypiął klatkę piersiową. – Przedramieniem, nie rękawicą. Kąt prosty w łokciu, zamach i walisz. Nie musisz zaciskać pięści. I nie zapomnij o napięciu. Dawaj.

Uderzyła. Raz, potem drugi. Z satysfakcją zauważyła, że Bielawski nie był przygotowany na aż taką siłę. Cofnął się lekko i uśmiechnął.

– Musisz poćwiczyć, ale masz potencjał.

Wciąż rozbawiony pomógł jej ściągnąć rękawice. Stali spoceni naprzeciw siebie i patrzyli sobie w oczy.

– Seksowna jesteś, wiesz? – powiedział, odrzucając rękawice pod ścianę i lekko marszcząc brwi, jakby sam był zaskoczony swoim spostrzeżeniem. – Cholernie seksowna z ciebie babka...

Marta uspokoiła oddech i stanęła tak, że palce jej stóp spoczywały teraz na jego palcach. Uniosła głowę i spojrzała mu w twarz, znów czując zapach jego potu i wody toaletowej. Znów nie myślała, co robi, wyparła z głowy wszystkie myśli i wątpliwości, chciała tylko przez chwilę skupić się na czymś innym, może nieważnym, ale wymagającym zaangażowania wszystkich zmysłów.

Chciała zapomnieć.

– Jesteś żonaty – powiedziała.

– Wiem.

– Ona też jest tylko pozorem?

– Czyli zrozumiałaś, o co mi chodziło wtedy w Orłowicach?

Nie odpowiedziała, tylko stanęła na palcach i wpiła się wargami w jego usta. Smakował pistacjami. Przyłgął do niej, a po chwili poczuła na swoim brzuchu, że jest twardy.

– Gniewasz się za to, co ci zrobiłem przed chwilą? – zapytał chrapliwie, odrywając się od niej po dłuższej chwili.

– Nie – wyszeptała. – Pokazałeś mi coś tylko. Dowiedziałam się czegoś o sobie.

Znów go pocałowała i znów oddał pocałunek, a potem odchylił głowę i spojrzał jej w oczy.

– Czym pachniesz? – zapytał.

– „Piątą Aleją” od Elisabeth Arden. Rzadko kiedy facetów to interesuje.

– Mnie interesuje. Jestem bardzo czuły na zapachy. Wyjątkowo. Chcesz iść pod prysznic?

– Aż tak się spociłam? – Roześmiała się.

– Nie, nie o to chodzi. – Zagryzł wargę i prześlizgnął się spojrzeniem po jej twarzy. – Chcesz?

Pokiwała w milczeniu głową. Wziął ją za rękę, ale nie wplótł swoich palców w jej, tylko delikatnie chwycił ich końce i pociągnął za sobą. Poddała mu się, czując, jak ogarnia ją podniecenie. Wziął ją, czy raczej dała mu się wziąć w strugach wody z deszczownicy. Oparta o ścianę z lekko wypiętymi pośladkami i z jego dłońmi na piersiach, kontrowała gwałtowne, pożądliwe ruchy. Oddychali oboje głośno, a kiedy szczytowała, wcisnęła sobie w usta pięść, żeby nie krzyczeć.

Po wszystkim wzięli prysznic, myjąc się wzajemnie gąbką. Potem wytarli sobie i ubrali się w milczeniu, częstując się tylko spojrzeniami, w których było uznanie, lekkie zaskoczenie i odrobina onieśmienia. Oboje zdawali sobie sprawę, że to się więcej nie powtórzy, że może nie był to do końca przypadek, ale tak należy to traktować. Kiedy Bielawski już się ubrał, niespodziewanie podszedł do Marty, ujął jej dłoń i delikatnie, po dżentelmeńsku pocałował ją w nią. Roześmiała się, ale zaraz spoważniała, patrząc mu w oczy.

– Chciałabym cię o coś zapytać – powiedziała cicho.

– No? – Zmarszczył lekko brwi, a potem odwrócił się i poszedł do szafki, na której leżał jego zegarek.

Poczuła się zignorowana, ale nie rezygnowała.

– Nawet nie tyle zapytać, ile wyrazić swoje wątpliwości. Bo widzisz... Boję się, że traktujesz to jak grę. Jak wyzwanie, kolejne w twoim życiu. Zawsze ci się udawało i teraz też sądzisz, że ci się uda. To cię napędza. Ale skupiasz się na grze jako takiej, a nie na celu. Nie tylko twoim celu; moim też. Pamiętasz, mówiłeś mi niedawno, kiedy miałam chwilę zwątpienia, że wierzysz. W to, że to ten sam człowiek. W to, że nie zabije dzieci, i w to, że go znajdziemy. Nie powiedziałaś: wierzę, że znajdziemy nasze dzieci, tylko: wierzę, że znajdziemy jego. To o czymś świadczy, Marek. I to bardzo mocno.

– Tak sądzisz? Taki z ciebie psycholog? Siedzisz w mojej głowie? Co jeszcze tam widzisz, co? Powiesz mi? – Zapinając na nadgarstku pasek zegarka, ruszył ku niej gwałtownie, aż się lekko wystraszyła, ale nie drgnęła nawet o milimetr.

Gdy był już blisko, zobaczyła, jak nagle jego twarz się wydłuża, rysy miękną, a podbródek, ten męski podbródek z dołeczkiem pośrodku,

zaczyna drzeć. I nagle wszystko puściło, ramiona opadły i Bielawski wybuchnął płaczem.

Płakał cicho, niemal bezgłośnie. Marta nie ruszyła się z miejsca. Nie zrobiła też nic, żeby go jakoś pocieszyć. Patrzyła tylko na łzy meandrujące w bruzdach skóry na policzkach, na jego wykrzywione usta z kropelkami śliny w kącikach, mokre rzęsy sterczące z zaciśniętych powiek i trzęsące się ramiona i pytała samą siebie, co czuje. Nie on, tylko ona. Czy oczyszczenie albo chociaż jakąś jego namiastkę? Chwilową ulgę? Czy cokolwiek innego, w ogóle cokolwiek?

Nie czuła nic. Wyzuta z emocji, patrzyła na płaczącego mężczyznę; patrzyła, jak szłocha, potem powoli się uspokaja, milczy, wzdycha kilka razy i wyciera łzy, a później patrzy na nią zaczerwienionymi oczami; lekko zawstydzony.

– Po raz ostatni płakałem, kiedy miałem dwanaście lat i na boisku kolega uderzył mnie łokciem w głowę – powiedział powoli zachrypniętym głosem.

– Nie chodziło nawet o ból, tylko o to, że uderzył, a nauczyciel tego nie zauważył i powiedział, że nic się nie stało. Nigdy więcej to mi się nie zdarzyło. Nie będę cię prosił, żeby to, co widziałas przed chwilą, zostało między nami, ale...

– Nie musisz prosić – przerwała mu. – Zostanie. I nawet cieszę się, że to widziałam.

– Słucham? – Oczy Bielawskiego rozszerzyły się nagle.

Podeszła do niego.

– Zobaczyłam, że jesteś człowiekiem. Że masz uczucia. Że nie jesteś tylko graczem, jak sądziłam, i że ci zależy. Więc powtórzę: cieszę się i jeśli chcesz, to na tym zakończmy temat i nie wracajmy więcej do tego.

– Chcę – powiedział twardo i już wiedziała, że chwila słabości minęła i Bielawski na powrót stał się tym, kim był kilka minut temu.

Ale te kilka minut sprawiło, że zmieniła o nim zdanie. Może nie diametralnie, ale jednak pokazał jej ludzką twarz i podejrzewała, że taki widok stał się udziałem niewielu ludzi. Może nawet od lat nie widział go nikt poza nią, nawet jego żona.

– Nie chciałbym cię wyrzucać i nie traktuj tak tego, ale chciałbym teraz zostać sam – powiedział chwilę później, nie patrząc jej w oczy.

– Jasne – mruknęła, lekko wzruszając ramionami.

I dziwne, naprawdę to rozumiała. Podali sobie dłonie, tym razem Marek spojrzał jej w oczy i nawet się lekko uśmiechnął. Odprowadził ją do drzwi.

Gdy wyszła już na zewnątrz, nagle zawołał:

– Marta!

Obejrzała się.

– Jeśli nie znajdziemy jego, nie znajdziemy dzieci. – Stał schowany za drzwiami, w szparze widziała tylko jego twarz. – Taka jest kolejność, rozumiesz? Nie odwrotnie. To on zostawia ewentualne ślady, a nie one.

W milczeniu pokiwała głową i ruszyła ku furtce, nie oglądając się więcej, nawet kiedy dobiegło ją jeszcze jego „dziękuję”. Kiedy wróciła do domu, od razu poszła do kuchni i otworzyła szafkę, w której stała zapomniana butelka ginu. Zeszła do Żabki po tonik i do wieczora siedziała nad butelkami i szklanką, robiąc mieszanki w różnych proporcjach. Zawsze miała słabą głowę i rzadko piła alkohol, dlatego ta butelka jej wystarczyła. Idąc chwiejnym krokiem do łóżka, uświadomiła sobie, że nie urznęła się od studniówki, a kiedy już leżała pod kołdrą, przypomniała sobie Bielawskiego, jego dotyk na swojej skórze i jak w nią wchodził: agresywnie i czule jednocześnie. Poczowała podniecenie, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, odpłynęła w sen.

## 26

– Dobrze, myślę, że jesteś już gotowy, żebyśmy przeszli do następnego etapu.

– Co to znaczy?

– Myślę, że jesteś gotowy, by dowiedzieć się, kim jesteś naprawdę.

– Nie rozumiem, przecież już to ustaliliśmy. Jestem chłopakiem, który został porwany i był przetrzymywany z kilkoma innymi w pomieszczeniach nazywanych przez nas Farmą. To jakieś ponemieckie schrony, ale nie wiem gdzie, jak daleko od domu. Przetrzymywał nas tam człowiek, który kazał nazywać się Tata. Nie wychodziliśmy na zewnątrz. Nigdy. Mieliliśmy książki, komputer z grami, ale bez internetu, konsolę i komiksy, dużo komiksów. Nic nie robiliśmy cały dzień, nie uczyliśmy się, nie było żadnych lekcji, po prostu robiliśmy, co chcieliśmy. Ale kiedy któryś z nas był niegrzeczny, Tata zabierał go do osobnego pomieszczenia, które nazywał Pudłem, i tam... I tam... On...

– Dobrze, spokojnie, zostawmy ten moment. Co jeszcze pamiętasz?

– Tego małego z zespołem Downa. Maciusia. Mówił, że jego tatuś pali dużo papierosów i że go już prawie nie pamięta. Okropnie nas czasem denerwował, zwłaszcza Sebę. Zachodził od tyłu i krzyczał to swoje „awww”. I cieszył się strasznie. Masakra.

– Co jeszcze?

– Uciekłem. Pewnego dnia czułem się lepiej, bo zwróciłem obiad i nie jadłem kolacji.

– To dziwnie brzmi.

– Ten człowiek faszzerował nas jakimiś lekami. Dosypywał nam czegoś do zupy albo kompotu. I chyba po prostu nie przyjąłem swojej dawki. W nocy skorzystałem z okazji i wymknąłem się. Dopiero wtedy zobaczyłem, że to bunkry. Znalazłem się w lesie, dobrze, że świecił księżyc. Biegłem przez ten las, aż trafiłem na drogę i zatrzymałem jakiś samochód. Prawie mnie przejechał. Kierowca zaniósł mnie do środka, ale kiedy wsiadał za kierownicę, pojawił się Tata i go uderzył. Jezu, pamiętam ten obrzydliwy odgłos... Więcej nie pamiętam, przykro mi.

– Bardzo ładnie. Mogło być mniej więcej tak, jak mówisz, tylko nie zgadza się jeden, dość istotny szczegół.

– Jaki?

– Nie biegłeś przez las.

– Nie? A co? Jechałem samochodem? Nie przypominam sobie, żebym potrafił prowadzić auto.

– Nie jechałeś samochodem, nie mógłbyś, ale to nie dlatego, że nie potrafisz prowadzić. Z tego samego powodu nie mogłeś biec przez ten las.

– Nie było lasu?

– Las zapewne był. Ale nie pokonałeś go na nogach.

– Dlaczego?

– Bo nie możesz chodzić. I nie mogłeś czuć bólu w genitaliach podczas tamtej sesji. To ból fantomowy. Był tylko w twojej głowie.

– Niby dlaczego?

– Bo jesteś sparaliżowany od pasa w dół.

– Co pan mi zrobił!?

– Ja nic. To był wypadek. Kilka lat temu. Od tamtej pory poruszasz się na wózku.

– Pierdolenie!

– Wstań i przejdź się po gabinecie.

– Żartuje pan? Jestem tak naćpany lekami, że nie mogę wstać, a co dopiero iść! Ja... Ja nawet nie pamiętam, jak tu trafiłem, do tego gabinetu, nie pamiętam, rozumie pan?

– Dobrze, tu masz długopis, proszę, weź go... No, weź.

– I co mam z nim zrobić?

– Wbij go sobie w udo. Dźgnij się nim. Niezbyt mocno na początek. No, zrób to.

– ...

– I co?

– Nic nie czuję.

– Zrób to mocniej. Zrób.

– ...

– Nic nie czujesz prawda? Tego, że kopię cię teraz pod stołem, też nie, prawda? Spokojnie, płacz. Płacz pomaga, oczyszcza. Płacz, ile chcesz, ile potrzebujesz.

– ...

– Lepiej?



– Kurwa...

– Nie patrzę, jeśli cię to krępuje. Ale płacz. To naprawdę czasem najlepsze lekarstwo i nie ma się czego wstydzić.

– ...

– Lepiej? Względnie lepiej? Chociaż dwa punkty w skali?

– Jak tu wszedłem?

– Widzę, że trochę lepiej. Dobrze.

– Jak? Bo nie pamiętam.

– Wniosłem cię na rękach. Przebywałeś w izolatce, na sesję przynoszę cię tutaj na własnych rękach. Codziennie.

– To kim ja w końcu jestem?

– Nazywałeś się Piotr Rybicki. Mariusz to twój ojciec, kobieta o rudych włosach to twoja matka, a nie żona, i dlatego nie byłeś w stanie podać szczegółów intymnych, ale pamiętałeś wzrost i kolor włosów i oczu.

– Jezu... Skąd wiem, że znów mnie pan nie wkręca?

– Zerknij proszę na ten obrazek. Wiesz, co to jest?

– Diabeł Tasmański...

– Poznajesz?

– Z Królika Bugsa...

– Pamiętasz, gdzie był? Pamiętasz... Płacz, chłopcze, płacz...

– ...

– Teraz mi już wierzysz?

– Moja mama... Nikt mi o niej nie opowiedział, ja ją po prostu pamiętałem.

– Tak. Potrafiłeś ją opisać, choć bez intymnych szczegółów, których zwykle nie znają dzieci. Jesteśmy na końcu, Piotrze. Prawie. Wiesz już, kim jesteś, odblokowałeś się. Teraz reszta. Gdzie byłeś? Z kim?

– Powiedziałem już to. W hipnozie.

– Teraz powiesz to jeszcze raz. Nie podświadomie. Już teraz świadomie.

– Powiedziałem przed chwilą.

– Owszem. Ale to wciąż za mało. Potrzebujemy więcej szczegółów. I tego najważniejszego: kto cię zabrał. Kto cię porwał.

– Tata...

– To za mało.

– Nie biegłem... Czołgałem się. Na rękach. Przez las. Pamiętam już. Stąd te zadrapania.

– Zgadza się. Masz bardzo silne ręce. Jesteś twardzielem, podziwiam cię, wiesz? Nie znam wielu dorosłych, którzy mogliby tego dokonać, a co dopiero ty, z paraplegią. Niesamowite.

– Kiedy stąd wyjdę?

– Niedługo. Już niedługo wrócisz do domu. Obiecuję.

– Dlaczego nie mogę dziś? Teraz?

– Bo zagrażasz samemu sobie i innym, chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy i sądzisz, że wszystko jest we względnym porządku. Ale nie jest. Jeszcze nie. Musimy skończyć terapię. Musisz przypomnieć sobie wszystko. Do ostatniego szczegółu.

– Dlaczego nie mogę sobie przypominać w domu? Z mamą?

– Bo robimy to razem. Ratujemy dzieci, pamiętasz? Jesteś ich jedyną szansą na ocalenie. Bez ciebie nie zostaną odnalezione. Więc musisz się poświęcić.

– Ale ja się, kurwa, nie chcę poświęcać! Mam to gdzieś, rozumie pan!? Chcę wrócić do domu! Chcę do mamy!

– Niedługo się z nią spotkasz. Obiecuję ci to solennie. Zrozum, w takich sytuacjach są pewne zasady postępowania, których nie da się nagiąć. Izolacja i separacja od bliskich jest jedną z nich, i to kardynalną. Nie ma żadnych odstępstw od tej zasady. Dlatego dostajesz tyle leków, żeby to lepiej znieść. Wprawdzie otępiają cię i musimy dłużej dochodzić do pewnych rzeczy, jednak bez nich nie zdołalibyśmy dotrzeć tu, gdzie jesteśmy. Idealne wyważenie jest tu kluczowe. I świetnie nam idzie. W kilka dni osiągnęliśmy taki postęp! Jesteś fantastycznym pacjentem, wiesz? Zaangażowanym, skupionym i chętnym do współpracy. Jeszcze tylko trochę. Wytrzymasz? Dasz radę?

– Nie wiem. Jeezuuu, nie wiem...

– A słuchaj, Piotrek, gdybym poprosił cię, żebyś naprawdę mocno nad tym pomyślał, to nie wydaje ci się, że było ci tam... Po prostu dobrze? Mówiłeś, że nie musieliście się tam uczyć, mieliście gry, komiksy... Miło spędzałeś czas z innymi chłopcami, którym los też odebrał sprawność.

– Wie pan, brak lekcji do odrobienia i granie do woli nie oznacza, że było nam miło. Zwłaszcza w Pudle.

– Zapomnij na razie o Pudle i skup się na reszcie. Wiem, jak to brzmi, ale sięgamy teraz naprawdę głęboko, do uczuć, do których trudno nam się przyznawać nawet przed samym sobą. Nie bój się tego, to nic złego, chodzi

o to, żeby dojść do końca, bo to właśnie jest klucz do odnalezienia drogi do domu, rozumiesz?

- Nie bardzo... Przepraszam, chyba ktoś próbuje otworzyć drzwi.
- Wydaje ci się, to niemożliwe.
- A jednak. O, proszę!
- Aww...
- Kurwa, panie doktorze, przecież to... Maciuś???

Myśl, że stracili jedyny tak naprawdę ślad, jaki mógł prowadzić do Piotrka, nie dawała Marcie spokoju. Wszystko, co mieli do tej pory, było przypuszczeniami, teoriami i założeniami, a tu nagle trafia się realna szansa na to, by wreszcie się dowiedzieli, co stało się z ich dziećmi. Przypomniała sobie, co Marek mówił o przypadku i jego roli w dziejach świata. Tym razem dotknął jej, ich świata i zamiast stać się szczęśliwym zrzędzeniem, połechtął tylko płonną nadzieją i zniknął, zostawiając ich z niczym. To, co zrobił im ten cały Stróżyk, było skurwysyństwem. To po prostu było nie fair.

Był środek nocy, Marta nie spała. Leżąc w łóżku i gapiąc się w ciemne niebo za oknem, zastanawiała się, na ile może ufać Markowi, a w zasadzie nie tyle jemu, ile jego zdolnościom organizacyjnym, przenikliwości i systematyczności. Twierdził, że sprawdza wszystko, ale czy na pewno? Czy nie powinna zastosować starej zasady: ufaj, ale kontroluj? Czy nie czas zrobić coś jednak samemu?

Zasnęła na jakieś dwie godziny z luźnym planem w głowie, obudziła się przed piątą i jakoś dotrwała do dziewiątej, krzątając się po mieszkaniu, zerkając na telewizor i podczytując książkę. Okazało się jednak, że jej plan może spalić na panewce. Podany na stronie numer albo nie odpowiadał, albo był zajęty. Udało się jej dodzwonić dopiero przed piętnastą, kiedy była już cholernie zmęczona i pomyślała, że może po prostu tam pojedzie, choć nie ma pojęcia, czy Sobczak będzie na miejscu.

– Klinika „Sanus”, słucham?

– Dzień dobry. Nazywam się Marta Sygit. Sy-git. Chciałabym się umówić na rozmowę z doktorem Sobczakiem.

– Ma pani na myśli wizytę?

– Nie, tylko rozmowę. Nie jestem pacjentką.

– Wie pani...

– Jestem pewna, że mnie przyjmie najszybciej, jak to możliwe. Proszę zapytać, dobrze? Bardzo panią proszę...

Coś musiało być w jej głosie, bo kobieta rzuciła ciche „chwileczkę”, i przez następne kilkanaście sekund Marta słyszała w telefonie współczesną przeróbkę jakiegoś znanego utworu muzyki klasycznej.

– Pani Marto, pan doktor przyjmie panią natychmiast, proszę przyjeżdżać. – Słyszała, że kobieta jest wyraźnie zaskoczona obrotem sprawy, ale nie tłumaczyła jej niczego, tylko rozłączyła się i popędziła do drzwi, żeby włożyć buty i kurtkę.

Korki na mieście wprawiły ją we wściekłość. Nie miała wielkiej nadziei na cokolwiek, chciała tylko upewnić się, że nic nie da się zrobić. Chciała wiedzieć, że Marek niczego nie przegapił, albo że nie pojawił się jakiś nowy przypadek, który znów diametralnie zmieniłby sytuację na ich korzyść. Była świadoma, że czepiła się tego przypadku jak tonący brzytwy, ale była już chyba zmęczona. I zdesperowana.

Poza tym Marek miał rację. To przypadek rządzi światem. Czas, pieniądze i przypadek.

Pod budynkiem, w którym mieściła się klinika, była tuż przed wpół do czwartej. Zaparkowała byle jak i pobiegła do wejścia, bojąc się, że z jakiegoś powodu Sobczak zmieni zdanie. Kobieta za ladą recepcji przyjrzała się jej, a szczególnie włosom, których nie spięła, ale Marta nawet nic sobie nie pomyślała.

– Jest? – wydyszała, dodając: – Sygit, Marta Sygit.

Recepcjonistka wskazała korytarz po prawej i wstała, zakładając na ramię pasek torebki.

– Gabinet dwa, pan doktor czeka na panią – powiedziała.

Marta uspokoiła oddech i odgarnęła włosy z czoła. Ruszyła już wolnym krokiem, czując, jak serce wciąż jej wali. Zapukała do drzwi z dwójką i kiedy usłyszała gromkie „proszę”, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

To był ten sam gabinet, w którym była z Markiem jakiś czas temu. Biały jak śnieg, z zegarem, który pasował tam jak pięść do nosa. Sobczak wyszedł jej naprzeciw, wyciągając w jej stronę ręce w geście serdecznego powitania, ale ona schowała swoje za siebie. Nie speszył się tym, uśmiech na jego twarzy nie zmienił się na jotę. Zauważyła, że znad zapiętego fartucha wystaje idealnie zawiązany węzeł krawata. Sobczak był nienagannie elegancki.

– Co panią do mnie sprowadza? – zapytał.

– Przede wszystkim dziękuję, że zgodził się pan na spotkanie. Pamiętam, jak mówił pan, że jest bardzo zajęty.

– To prawda. Wie pani, ja jestem przede wszystkim naukowcem. Fascynatem tej dziedziny nauki. Poświęciłem temu całe swoje życie, mówię również o sferze prywatnej, ale nie żałuję. Nigdy tego nie żałowałem i mam nadzieję, że nie pożałuję w którymś jego momencie w przyszłości. A poza tym... – Roześmiał się niespodziewanie. – To zabawne, jakie scenariusze pisze czasem życie.

– Mówi pan o czymś konkretnym?

Machnął ręką i znów się roześmiał.

– Nieee, tak tylko, taka luźna myśl. Nieważne. Słucham, o co chciała mnie pani zapytać?

– O Stróżyka.

Brwi zjechały nad nos, w jego osi, na czole, pojawiła się głęboka bruzda.

– Tłumaczyłem panu Markowi, że...

– Rozumiem, słyszałam rozmowę, Marek wytłumaczył mi wszystko, ale... – utknęła.

– No? – zachęcił ją Sobczak.

– Dlaczego on uciekł? – Spojrzała na niego z udręką w oczach.

– Nie mam pojęcia.

– A jakim cudem?

– Co ma pani na myśli?

– Przecież to szpital psychiatryczny?

– Nie, skąd! – Sobczak roześmiał się krótko. – Pani myli pojęcia. To prywatna klinika psychiatryczna. W dodatku niewielka.

– A nie macie tu pacjentów, którzy wymagają odseparowania?

– Oczywiście, choć to rzadkość. I faktycznie, są w tym budynku specjalne pomieszczenia, w których można odizolować pacjentów w warunkach bezpieczeństwa.

– No właśnie.

– Człowiek, o którym pani mówi, nie wymagał separacji. Przebywał tu na własne życzenie, w dodatku dostał za to sporą sumę pieniędzy. Miał się podzielić informacjami, a w zasadzie miał pozwolić mi do nich dotrzeć, ale z jakichś tylko sobie znanych powodów uciekł, zanim zaczęliśmy pracować. No dobrze, nie uciekł, tylko po prostu się oddalił. Moim zdaniem to nie był rozsądny pomysł, bo mimo wszystko odniósł poważne obrażenia głowy i miał tu zapewnioną opiekę również neurologiczną, no ale... Najprawdopodobniej przemyślał sprawę i zmienił zdanie, niewykluczone też, że od początku zakładał, że weźmie pieniądze, ale nie wypełni

zobowiązania. Trudno powiedzieć, czy można to zakwalifikować jako kradzież, ale niewątpliwie zachował się nieładnie.

– Marek zrobił błąd, płacąc mu od ręki.

– Możliwe – zgodził się Sobczak. – Ale on tego zażądał. Inaczej nawet nie chciał zaczynać rozmowy.

Marcie przyszła do głowy myśl, na ile to, co się stało, będzie nauzką dla Bielawskiego. Wreszcie okazało się, że jednak nie wszystko może dostać za pieniądze. A nawet ktoś mu je może zabrać. Nie sądziła, żeby te kilka tysięcy było dla niego jakimś wielkim problemem, ale chodziło o zasadę.

– A skąd pan o nim wiedział?

– Nie rozumiem?

– Skąd pan wiedział o Stróżyku? O tym, że miała miejsce taka sytuacja? Marek wspomniał, że propozycja położenia Stróżyka u siebie w klinice wyszła z pana strony.

– To prawda, tak było.

– To skąd pan wiedział?

– Od pewnego oficera policji, z którym współpracuję przy okazji sprawy porwań waszych dzieci. Nie mogę powiedzieć pani, jak się nazywa...

– Najder. – Westchnęła i zaczęła się zastanawiać, czy Marek na pewno ma kontrolę nad wszystkim.

Sobczak lekko się zgarbił.

– Nie potwierdzam i nie zaprzeczam – powiedział.

Marta nie naciskała więcej.

– Czyli niczego się pan od Stróżyka nie dowiedział? – upewniła się.

– Nie, przykro mi. – Lekarz rozłożył ręce, potem znów je położył na blacie, zaczął przyglądać się jej uważnie i niespodziewanie zapytał: – Czy jest pani podatna na hipnozę, pani Marto?

Marta myślała przez chwilę, że się przesłyszała.

– Proszę?

– Pytam, czy jest pani podatna na hipnozę – powtórzył Sobczak. – Czy kiedykolwiek wcześniej pani była jej poddawana?

– Nie. Nigdy.

– A chciałaby pani spróbować?

– Ale po co?

– Żeby pomóc synowi.

– W jaki sposób miałoby mu to pomóc?

Sobczak wstał zza biurka, założył ręce na piersi i zaczął przechadzać się po gabinecie.

– Widzi pani, w powszechnym przekonaniu hipnoza traktowana jest po trosze jak szarlataneria. – Uśmiechnął się lekko. – Coś jak wywoływanie duchów, tabliczka ouija i tak dalej. A tymczasem to bardzo ważne narzędzie w pracy z zaburzeniami w wielu aspektach ludzkiej psychiki. Nie jest zbyt często stosowane, nie każdy też jest podatny na hipnozę. Wykorzystamy zjawisko tak zwanej hipermnezji. Dzięki niej człowiek jest w stanie sięgnąć do wspomnień ukrytych w obszarze podświadomości, a więc wykorzystać niemal cały zakres wspomnień, a nie tylko te kontrolowane przez świadomość. Bez wprowadzenia w trans hipnotyczny jest to jednak niemożliwe.

– Dalej nie rozumiem, po co chce pan mnie hipnotyzować?

Sobczak spojrzał na nią zagadkowo.

– Dziwię się, że policja tego nie zaproponowała od razu po porwaniu pani syna.

– Policja robi wiele dziwnych rzeczy w tej sprawie – sarknęła. – A może właśnie nie robi...

– Otóż to. – Sobczak zgodnie pokiwał głową. – A przecież mogli skontaktować się ze mną, żeby zrobić z panią tę procedurę. Zapis z kamery monitoringu to nie wszystko. Najlepiej widzą jednak ludzkie oczy, a wzrok



nie jest jedynym zmysłem używanym w czasie obserwacji. To co, spróbujemy?

– Myśli pan, że to zadziała w moim przypadku? – Popatrzyła w okno pełna wątpliwości.

– Około dwudziestu pięciu procent ludzi jest bardzo podatnych na hipnozę, a jakieś dwadzieścia nie. Ci w przedziale pomiędzy uzyskują przynajmniej jeden punkt w tak zwanej stanfordzkiej skali podatności na hipnozę. Zobaczymy, do której części pani należy. Proszę się położyć na kozetce. – Sobczak wskazał ją, jakby w gabinecie było ich kilka i podszedł do ściany, na której wisiał zegar.

Marta zdecydowała się w jednej chwili. Nie bez refleksji, bo mimo wszystko położyła się na kozetce pełna sprzecznych uczuć. Bała się dać komuś przejąć nad sobą kontrolę, ale lekarz mógł mieć rację, może faktycznie zauważyła jakieś szczegóły, które mózg uznał za nieistotne? Nie stać ich było na więcej przeoczeń. Poprawiła się i ułożyła wygodniej nogi.

– Super, dziękuję. – Sobczak uklonił się elegancko i poprawił okulary.

Patrzyła, jak wyciąga rękę i delikatnie trąca mosiężny ciężarek wiszący pod zegarem, a ten nagle zaczyna chodzić, oznajmiając im to głośnym tykaniem.

– Spokojnie – powiedział Sobczak. – Odpręż się. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem... Słuchaj zegara. Sześć, pięć, cztery... Powiem ci teraz, jak się poczujesz, bo ty tego nie zrobisz. Nie powiesz mi tego. Nie będziesz w stanie nic powiedzieć. Nie będziesz w stanie się ruszyć. Już nie jesteś. Ale ja wiem, jak się czujesz, co czujesz...

Słuchała jego słów wypowiedzianych monotonnym tonem i czuła, jak ogarnia ją coś w rodzaju paraliżu, jak czasem zdarzało się jej to przy zasypianiu po szczególnie ciężkim dniu. Nawet nie to, że nie mogła się ruszyć, po prostu nie chciała. Zrobiło się jej błogo. Kiedy się ocknęła, zegar już nie chodził, a Sobczak gmerał coś przy cyfrowym dyktafonie.

– Witam z powrotem. – Uśmiechnął się do niej. – Jak pani się czuje?

– Jestem trochę... Skołowana.

– To normalne, zaraz wszystko wróci do normy, proszę się odprężyć. Niech pani jeszcze chwilę poleży. I proszę się napić, wiem, że jest pani spragniona. – Wstał zza biurka, wziął plastikowy kubek, który stał już przygotowany, i podszedł do niej.

– Tak, tak, dziękuję. – Wyjęła mu go ostrożnie z dłoni, uniosła się na łokciu i wypila wodę duszkiem. – Jak było? – zapytała, kiedy przełknęła

ostatni łyk.

– Jest pani dość podatna na hipnozę, co mnie, szczerze mówiąc, trochę zdziwiło.

– Dlaczego? Dlaczego to pana zdziwiło?

– Z tego, co wiem, nie jest pani podatna na sugestie, ma pani raczej krytyczny osąd, który zwykle jest przez umysł zawieszany w pewnym zakresie w odpowiedzi na komunikaty i informacje.

– Skąd pan to o mnie wie?

Sobczak uśmiechnął się.

– Pan Bielawski trochę mi o pani opowiadał.

– Nie bardzo mi się to podoba. Dalej chce mi się pić. Mogę jeszcze trochę?

– Oczywiście, proszę. – Sobczak wyjął jej kubek z ręki, podszedł do dystrybutora i nalał wody. – Być może wynika to z faktu, że potrafi pani ignorować bodźce spoza obszaru, na którym jest pani akurat skoncentrowana. A może też tego, że ostatnio jest pani znerwicowana, co oczywiście nie jest niczym dziwnym w pani sytuacji. W każdym razie udało się.

– Czy powiedziałaś o jakichś ważnych szczegółach?

– Nie wiem, czy ważnych. W zasadzie nie mają chyba wpływu na sprawę; chodzi mi o to, że nie wnoszą nic ponad to, co było w protokole z pani przesłuchania.

– Pan ma do tego dostęp? – zdziwiła się.

– Pan Bielawski, nie ja. – Sobczak uśmiechnął się skromnie.

– No tak. – Westchnęła, wstała z kozetki i rozejrzała się w poszukiwaniu kosza na śmieci.

Sobczak, widząc to, znów wyjął jej kubek z ręki i odstawił na biurko.

– A przy okazji... – Podniósł arkusz papieru, który leżał przed nim na blacie, i odwrócił zadrukowaną stronę ku niej. – Czy zna pani tego człowieka?

– Nie. – Zobaczyła jakąś twarz. – A kto to jest?

– W tej chwili to nieistotne. Czy on się pani podoba fizycznie?

– Nie rozumiem?

– Czy może pani określić odczucia związane z patrzeniem na niego jako przyjemne?

– Nie rozumiem, do czego zmierzamy? Jest raczej przystojny, jeśli o to pan pyta, ale nie znam go i nie bardzo wiem, o co panu chodzi.

Sobczak odłożył papier na biurko i zaczął się jej przyglądać.

– Pani Marto, jest pani bardzo ciekawym przypadkiem – powiedział cicho poważnym tonem. – Nie zechciałaby pani do mnie przychodzić? Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie próbuję teraz niczego zdrożnego, to wbrew etyce, ale pani przypadek zainteresował mnie jako badacza.

– O czym mówiłam podczas hipnozy? – zaniepokoiła się.

– Spokojnie... – Sobczak uniósł rękę i uśmiechnął się.

– Chciałabym już pójść do domu. Jestem zmęczona.

– Oczywiście, nie będę pani zatrzymywał, ale proszę się zastanowić nad moją propozycją, dobrze? Jestem skłonny zrezygnować z opłaty za sesję, tak bardzo zainteresował mnie pani przypadek.

– Dobrze, zastanowię się. – Marcie szumiało w głowie i chciała już tylko stąd wyjść.

Rzuciła to na odczepnego, nie zamierzała korzystać z propozycji Sobczaka. Przestało ją też obchodzić, o czym mówiła, kiedy była w transie.

– Jasne, nie narzucam się, proszę dać sobie czas.

Pokiwała głową i ruszyła w kierunku drzwi. Sobczak wstał, wyprzedził ją i otworzył je.

– Musi pani wyjść tamtędy, po szesnastej główne drzwi są zamknięte, recepcjonistka pracuje właśnie do czwartej – powiedział, wskazując na prawo.

– Oczywiście. – Potarła czoło, ściskając je mocno, wciąż jeszcze czuła lekkie oszołomienie. – Widziałam nawet, jak wychodzi.

– Proszę wypić w domu jeszcze sporo wody, dobrze? – Sobczak zmarszczył brwi, najwyraźniej lekko zaniepokojony.

– Tak, na pewno. – Uśmiechnęła się słabo i wyszła, zapominając o pożegnaniu się.

Usłyszała tylko odgłos zamykanych drzwi i ruszyła korytarzykiem w kierunku, który wskazał jej Sobczak. Nagle z torebki dobiegł ją dźwięk telefonu. Wyciągnęła go i spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił Marek.

– Halo? – szepnęła.

– Marta, słuchaj, dowiedziałem się od Najdera pewnej rzeczy, i to jest trochę niepokojące. A nawet nie trochę.

– No?

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że porwani chłopcy nie mają ze sobą nic wspólnego?

– Pamiętam.

– Otóż mają. Nie wiem, na ile to istotne, ale dziwne, że on mi o tym nie powiedział.

– Kto i o czym?

– Oni wszyscy mieli epizod pracy z psychologiem, rozumiesz? Sebastian był pod stałą opieką, bo miał problemy natury psychologicznej i rodzice wozili go do specjalisty. Vincent miał w szkole problemy z zachowaniem i szkolny pedagog polecił rodzicom tego samego. Nawet ten mały Maks z Jeleniej Góry.

– To chyba normalne w takich sytuacjach? Mój syn też jest pod opieką psychologa.

– Tak, ale ja mówię o konkretnym specjalście. Twój syn był pod opieką innego, ale ten ma coś wspólnego z tamtym, bo robił u niego doktorat na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu. A mój Maciek od początku był pod jego opieką, moja żona jeździła z nim do Wrocławia i nawet się cieszyliśmy, kiedy dwa lata temu przeniósł się do Szczecina. Słuchasz mnie?

Stała niezdecydowanie na rozwidleniu korytarzyka, nie wiedząc, w którą stronę ma pójść. Była dziwnie zdezorientowana.

– Chyba nie mówisz o Sobczaku? – zapytała, rozglądając się na boki.

– Tak, o nim. I jeszcze jedno, dużo gorsze: ten zaginiony Ropczycki, ten, który jest uważany za porywacza Maksia z Jeleniej...

– Tak?

– Kurwa, to jego brat, rozumiesz? Bliźniak w dodatku, ta sama data urodzenia.

– To dlaczego inaczej się nazywają?

– Nie wiem, ale panińskie nazwisko ich matki brzmi Sobczak. Poza tym pamiętaj, że od lat nie ma żadnych śladów życia Ropczyckiego z wyjątkiem kupna domu w Orłowicach... Zastanawiam się, czy nie pojechać jeszcze raz do Orłowic i nie pokazać zdjęcia Sobczaka tej ekspedientce i Jakubiakowi.

– Nic to nie da, przecież to bliźniacy – odparła przytomnie.

– Racja. – W głosie Bielawskiego usłyszała zaskoczenie, jakby zdziwił go fakt, że wpadła na to Marta, a nie on. – Wygląda na to, że Sobczak ma coś wspólnego z porwaniami naszych dzieciaków, a dodatkowo coś mi nie gra z tym wypadkiem Ropczyckiego, ja nie wiem, może on był śmiertelny i jeden podszywa się jakoś pod drugiego, udając obu: czy to jest Sobczak, czy Ropczycki... Posłuchaj, jestem teraz w interesach w Koszalinie, jak jutro wrócę, to ustalimy, co dalej, bo to strasznie śmierdzi, ale nie

będziemy robić panicznych ruchów. To mogłoby go tylko spłoszyć. Skonsultujemy to z Najderem, nieoficjalnie oczywiście, przynajmniej na razie. Gdzie jesteś?

– Oddzwonię – powiedziała drewnianym głosem, czując, jak oblewa ją fala gorąca.

– Chryste, chyba nie chcesz powiedzieć, że pojechałaś...

– Tak – szepnęła i na chwilę zrobiło się jej ciemno przed oczami.

– Spieprzaj stamtąd jak najszybciej, słyszysz mnie? Marta!? Mów do mnie! Mar...

Rozłączyła Marka i nagle usłyszała za sobą jakiś szmer. Odwróciła się, będąc pewna, że to Sobczak, i poczuła, że zaczyna ogarniać ją panika. Gorączkowo usiłowała przypomnieć sobie, co Marek mówił jej o samoobronie, ale wszystkie myśli wywietrzały jej nagle z głowy, kiedy zamiast lekarza zobaczyła tuż za sobą jakiegoś człowieka.

To był mężczyzna, którego przed chwilą pokazał jej na zdjęciu Sobczak. Zakręciło się jej w głowie i prawie straciła równowagę.

– Jesteś dużo ładniejsza niż na filmie – powiedział, a ona uświadomiła sobie nagle, że zna ten głos, choć równocześnie była stuprocentowo pewna, że nigdy w życiu go nie słyszała.

I to uczucie przeraziło ją jeszcze bardziej niż ten człowiek. A potem upadła, czując, jak jego ręce chronią ją przed uderzeniem o podłogę, lecz zanim zdążyła zrobić cokolwiek, usłyszała ciche „śpij, kochanie” i otuliła ją ciemność.

Biały mercedes zatrzymał się gwałtownie przed budynkiem kliniki doktora Sobczaka. Jeszcze nie opadł kurz, gdy drzwi z obu stron otworzyły się i ze środka wyskoczyli Bielawski i komisarz Najder. Podbiegli do drzwi wejściowych, Bielawski jak w transie, nie zwracając uwagi na Najdera, szarpnął drzwi, wpadł do środka i od razu skierował się w stronę schodów. Kiedy ochroniarz za kontuarem wstał i otworzył usta, rzucił tylko: „policja” i zaczął wbiegać na górę po trzy stopnie. Na drugim piętrze stanął przed przeszklonym wejściem do kliniki, ale kiedy pociągnął za gałkę, nie otworzyły się. Szarpnął jeszcze raz, a potem nacisnął przycisk domofonu. Bezskutecznie. Kiedy usłyszał, że Najder dołączył do niego, odwrócił się.

– Nie rozumiem – powiedział zdziwiony. – Przecież w środku powinien ktoś być?

Najder wskazał przyklepioną po wewnętrznej stronie przeszklenia kartkę z numerem telefonu i dopiskiem: numer aktywny do godz. 20.00, proszę dzwonić tylko w sprawach pilnych.

Bielawski wyciągnął telefon i wybrał podany numer.

– Klinika „Sanus”, słucham?

– Dzień dobry, stoję pod wejściem, czy może mnie pani wpuścić? Mówi Marek Bielawski.

– Dzień dobry, niestety, w klinice nikogo już nie ma. Ja też już jestem w domu.

– Jak to nikogo? A pacjenci?

– Proszę pana, pan wie lepiej ode mnie, czy ktoś tam jest, czy nie?

– Dobrze, proszę pani, muszę pilnie skontaktować się z doktorem Sobczakiem. Ma wyłączony telefon.

– Przykro mi, pan doktor wyjechał na urlop.

– Dokąd?

– Nie udzielamy takich informacji.

– To jest naprawdę wyjątkowa sprawa, rozumie pani? Poniesie pani konsekwencje, jeśli z pani winy nie uda mi się z nim skontaktować.

– Pan mi grozi?

– Nie, tylko ostrzegam.

– Nie wiem, dokąd pojechał, proszę pana. – Była wyraźnie urażona. – On przecież nam tego nie mówi. Jestem tylko recepcjonistką, umawiam wizyty.

– Dawno?

– Kiedy wychodziłam z pracy około piętnastej trzydzieści, jeszcze był.

– Czy do kliniki przyszła dziś po południu kobieta z charakterystycznymi rudymi włosami?

– Nie mam prawa udzielać panu takich informacji...

– Tak się składa, że jestem właśnie z policjantem i możemy za chwilę przyjechać do pani do domu. – Bielawski nawet nie spojrzał na Najdera. – Ale nie mam czasu, więc załatwimy to przez telefon. Chyba że woli pani, żebym jednak znalazł ten czas? Ruda, niewysoka kobieta z kręconymi włosami. Była?

– Tak.

– Marta Sygit?

– Zgadza się, to była pani Sygit. – Głos kobiety był zrezygnowany. – Nalegała na spotkanie z panem doktorem, twierdziła, że ją przyjmie od razu.

– I przyjął?

– Tak. Chyba chodziło o długą wizytę, bo powiedział, że mam odwołać ostatniego pacjenta na szesnastą trzydzieści i tych z jutra, bo w soboty też pracujemy, i że mogę iść wcześniej do domu. I poinformował mnie o swoim krótkim urlopie.

Bielawski milczał przez chwilę.

– Naprawdę pani nawet nie podejrzewa, gdzie on mógł pojechać? – zapytał.

– Przykro mi, naprawdę. Powiem to samo, nawet jeśli przyjedzie pan do mnie z tym policjantem.

– Dziękuję. I przepraszam... – Jego głos ścichł. – Do widzenia pani.

– Do widzenia – odparła sucho i rozłączyła się.

Schował telefon do kieszeni i nie patrząc na Najdera, sięgnął do paska od spodni. Najder cofnął się lekko, kiedy w jego dłoni pojawił się krótki, czarny przedmiot. Bielawski zrobił ruch nadgarstkiem i teleskopowa pałka rozsunała się ze zgrzytem, i zanim Najder zdążył zareagować, biznesmen kilkoma szybkimi, krótkimi ruchami rozbił szybę w dolnej części drzwi. Nie było brzęku szkła, a jedynie głuchy huk uderzeń i trzask, kiedy szyba

pękała pod ich wpływem. Folia spełniła swoje zadanie i jedyne, co musiał zrobić Bielawski, to wykopać potrzaskane przeszklenie z ram. Zrobił to z furją, a kiedy droga była wolna, schylił się i przeszedł do środka. Stojąc pochyłony okrakiem, zerknął jeszcze na Najdera.

– Idziesz? Musimy jej przecież poszukać! – I zniknął za ścianą.

Policjant zacisnął zęby i zrobił to samo. Będąc już w środku, zobaczył, jak Bielawski przypada do każdych drzwi, otwiera je i zagląda do wnętrza pomieszczeń. Kiedy jedno z nich nie dało się otworzyć, powtórzył wyczyn sprzed chwili, ale za nimi też nie było Marty Sygit. Ostatnie drzwi na końcu korytarza były pełne, na szczęście również otwarte. Kiedy Bielawski zajrzał za nie, jego oczom ukazało się sterylnie białe pomieszczenie. Było w nim jedynie biurko i dwa krzesła, poza tym nic: ani szafki, ani regału, umywalki czy nawet wieszaka na ubrania. Na ścianie nad biurkiem wisiał tylko drewniany zegar.

– Była tu – powiedział. – Rzeczywiście tu była.

– Skąd wiesz? – Najder zmarszczył brwi.

– Czuję. – Bielawski zmarszczył odrobinę nos. – Idziemy na górę.

Wyżej, gdzie dostali się wewnętrznymi schodami, było podobnie. Jedyne drzwi, których nie dało się otworzyć, to te od trzech izolatek. Dostępu do nich broniły zamki cyfrowe, jednak spore judasze pozwalały się zorientować, że w środku nie ma nikogo. W ciszy zeszli obaj z powrotem na niższe piętro, a przy drzwiach na klatkę schodową natknęli się na ochroniarza, starszego mężczyznę w okularach. Stał z wycelowanym w nich pojemnikiem z gazem, palce zaciśnięte na puszcze były białe w wysiłku.

– Policja już jedzie – poinformował chrapliwym głosem. – Bez numerów, panowie.

– Policja jest już na miejscu. – Bielawski wskazał na Najdera, dając mu znak, żeby się wylegitymował, a potem wycelował palec w ochroniarza. – Zadzwoń do nich teraz ładnie jeszcze raz i powiedz, że się pomyliłeś. Poszedłeś na obchód czy coś takiego i zdawało ci się, że ktoś wybija szybę.

– Co?

Bielawski spojrzał za siebie, na zniszczone drzwi.

– Kiedy doktorek wróci, z przyjemnością pokryję wszelkie koszty naprawy, a teraz proszę, masz tu pięćset i dzwoń. – Z kieszeni wyciągnął spięty spinką plik setek i odliczył pięć banknotów.



– Tysiąc – powiedział powoli ochroniarz, patrząc jak zahipnotyzowany na pieniądze.

– Masz tysiąc. – Bielawski odliczył kolejne pięć stuzłotówek, dołączył do już odliczonych i podał je mężczyźnie, a kiedy zobaczył, jak ten lekko cofa rękę i otwiera usta, dodał: – Nawet, kurwa, nie próbuj. Bierz, co daję, i dzwoń.

Ochroniarz schował pieniądze i nie spuszczać wzroku z Bielawskiego, sięgnął po telefon. Bielawski razem z Najderem minęli go i poszli na dół.

– Nie ma jej – jęknął biznesmen na półpiętrze. – Musiał się zorientować, może ona się z czymś zdradziła? Jeśli nawet tu była, to już po wszystkim...

Na zewnątrz podszedł do samochodu, otworzył drzwi, ale nie wsiadł, tylko oparł się rękami o krawędź dachu auta, zamknął oczy i odchylił do tyłu głowę.

– Od trzydziestu lat handluję fajkami i nigdy nie zapaliłem nawet jednej. Teraz bym zapalił... – Otworzył oczy i spojrzał na Najdera, stojącego po drugiej stronie samochodu. – Byłeś na miejscu, mogłeś coś zrobić. Czemu nie odbierałeś tego pieprzonego telefonu?

– Bo spałem po nocce, okej? – Wzrok policjanta ciskał gromy.

Bielawski westchnął ciężko.

– Idzie nam jak garbatej kurwie w deszcz...

– Jeśli coś jej się stanie, będę miał kłopoty. Duże kłopoty – stwierdził Najder.

– Kłopoty? Ty będziesz miał kłopoty? Ja pierdolę... – Bielawski odwrócił się w stronę parku, wsadził ręce do kieszeni i zacisnął je w pięści. – Prześwietlałeś Ropczyckiego i umknęło ci, że ma brata? I że on zmienił nazwisko? I że jest cholernym psychiatrą znanym w całym tym zasranym kraju?

– W końcu to ustaliłem.

– Tak, ale po jakim czasie?

– To tylko kilka dni.

– Tylko kilka? Tylko? Gdybyś zrobił to od razu, to właśnie te kilka dni wcześniej wiedzielibyśmy, że to Sobczak podszywał się pod własnego brata. Albo na odwrót... – dodał po chwili i jęknął. – Czemu wyłączyłeś ten pieprzony telefon...? Gdyby nie to...

– Naprawdę myślisz, że to działa jak w filmach? Telefon z komendy: halo, mamy wszystkie informacje? – rzucił z goryczą Najder. – Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że to nie takie hop siup, tak? Poza tym co,

będziemy się teraz przerzucać odpowiedzialnością? Zwłaszcza że nie ma tu ani mojej winy, ani twojej?

– To moja wina, Marcin. Ale skąd mogłem wiedzieć, że ona do niego polezie? I że nawet mi o tym nie powie? – Bielawski ukrył twarz w dłoniach.

– Zgadza się, nie mogłeś tego wiedzieć.

– Po co ona tu przyszła?

– Widać nie tylko ty nie mówiłeś jej o wszystkim. To działało w obie strony.

– Nie wiem, co teraz robić. Kurwa, pierwszy raz w życiu nie wiem, co robić...

– Działania blokadowe są bez sensu. Po pierwsze, nie mam podstaw, bo działałem nielegalnie i w komendzie w ogóle nie wiedzą, że złapaliśmy trop. Sam chciałeś, żebym siedział cicho.

– A co miałem zrobić? Musiałem wziąć sprawy w swoje ręce! Nic nie zrobiliście przez rok! Gdyby nie ja...

– Gdyby nie ona, Marek.

– Gdyby nie ona i ja, gdyby nie my dwoje, dalej byście gówno mieli! Spieprzylibyście to!

– A ty tego nie spieprzyłeś, co? – Najder wskazał budynek, ledwo hamując wściekłość.

Bielawski poczerwieniał.

– Mało na mnie zarobiłeś? – syknął.

– Łamałem prawo, przypominam ci. Udzielałem ci poufnych informacji, a z tym Stróżykiem to już w ogóle przegięcie... Dobra, kurwa, starczy! Skupmy się na tym, na czym trzeba, w porządku?

Bielawskiemu lekko opadły ramiona i Najder wiedział, że przemówił mu do rozsądku.

– Po drugie – kontynuował już spokojniejszym tonem – Sobczak niekoniecznie musi poruszać się swoim samochodem. Ta fura, na przykład, to nie jego? – Wskazał białe volvo XC90 zaparkowane pod ścianą budynku.

– Tak, to jego. – Bielawski zacisnął zęby.

– No, widzisz. Nawet jeżeli ma drugi i ustalimy jaki, i nawet jeśli zgarną go w nim i z Martą, to nie powie, gdzie są chłopcy. Bo wtedy nie będzie podstaw do oskarżenia, będzie odpowiadał tylko za porwanie. Chyba że ją zabił i gdzieś tu...

– Właśnie. – Wzrok Bielawskiego był udęczony. – A jeśli ją zabił?

Najder zacisnął usta.

– Kurwa mać... – Walnął zwiniętą w pięść dłońią w dach samochodu, ale Bielawski nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Nie macie jakiegoś alertu jak przy porwaniach dzieci? – zapytał policjanta. – Nie da się postawić wszystkich na nogi jednym telefonem?

Najder spojrzał na zegarek.

– Minęły jakieś dwie godziny, odkąd do niej zadzwoniłeś. Nie wiem, ile leciałeś z tego Koszalina, ale ja nie zdążę zorganizować niczego, a on może być już w swojej norze. Możemy tylko czekać, Marek. To jedyne, co nam pozostało. Sobczak tu wróci, to oczywiste. Nie wie, że my wiemy. Wróci, jakby nic się nie wydarzyło.

– Jeśli ją faktycznie porwał, to ona może mu coś powiedzieć. I skurwiel dowie się, że coś jest na rzeczy. Zniknie jak z Orłowic. Zniknie i wypłynie za jakiś czas pod nowym nazwiskiem gdzieś na Mazurach czy Polesiu.

– Nie zostawi wszystkiego i nie zacznie się ukrywać. – Najder znów wskazał na budynek.

– Tak właśnie robił do tej pory. Człowiek znikąd. Pojawiał się i zniknął.

– Ale to była inna sytuacja. Jedno życie prowadził jako samotnik na jakimś wygwizdowie, podszywając się pod brata bliźniaka, bo na to wychodzi, a drugie jako szanowany lekarz, pracownik naukowy i terapeuta. Teraz ma stracić to jedno życie, to lepsze? I tak, kiedy go zgarniemy, będzie twierdził, że nie widział się z nią, że nie wie, co jej samochód robi pod jego kliniką, nawet jeśli weszła do środka. Pewnie skasował zapisy monitoringu z pomieszczeń. Nie ma też żadnych dowodów, że to on mieszkał w Orłowicach. Ale w końcu na czymś się poślizgnie.

– Nie poślizgnie się.

– Nie?

– Nie. Nie mamy na to czasu. Nie możemy dłużej czekać. A kiedy Sobczak tu wróci, ciebie już tu nie będzie.

– Co masz na myśli?

– Załatwię to sam.

– A jak?

Bielawski powoli odwrócił głowę w stronę Najdera.

– Nie chcesz wiedzieć, Marcin – wycedził. – I to już nie twoja sprawa.

– Nie mogę do tego dopuścić. Jestem policjantem.

Bielawski roześmiał się gorzko.

– A kasę mogłeś brać? – zapytał.

– Nie widzisz różnicy w kalibrze? – odpalił Najder. – Łapówka a przyzwolenie na zabójstwo?

– Mam gdzieś kaliber. Jedyne, który mnie interesuje, to ten, który wsadzę skurwielowi w dupę, kiedy nie będzie chciał powiedzieć, gdzie oni są. – Bielawski dotknął kabury pod kurtką. – Jest jedyną nicią, która może mnie do nich zaprowadzić, nie rozumiesz? Następnej szansy już nie będzie, bo kiedy zorientuje się, że siedzimy mu na ogonie, pozbędzie się wszystkich obciążających go dowodów. Zabije ich, Marcin. Zabije moje dziecko. – Nabrał głęboko powietrza.

Najder patrzył na niego dłuższą chwilę.

– Pamiętam, jak rok temu przyjechaliśmy do ciebie do domu po porwaniu Maćka. Pamiętam twoją reakcję, pamiętam, jak się zachowywałeś, kiedy robiliśmy swoje. Ty nigdy tak naprawdę nie przyjmowałeś do wiadomości, że on może nie żyć. On i kolejni. Chwyciłeś się teorii, że porywacz ich przetrzymuje, i z jednej strony rozumiem to jako ojciec, ale z drugiej...

– O co ci chodzi?

– Myślę, że powinieneś wreszcie zacząć dopuszczać możliwość, że on ich jednak zabił. Przykro mi to mówić, ale może być tak, że będziesz musiał się niedługo z tym zmierzyć.

Bielawski wpatrywał się w drzewa w parku. Palce, które bębniły po karoserii, zatrzymały się nagle.

– Spieprzaj stąd – powiedział cicho do Najdera. – Nie było cię tu. Dzięki za wszystko, za wszystko masz zapłacone. Od tej chwili działam sam. I nie wpierdalaj mi się, bo będę zmuszony narobić ci smrodu. Jasne? Nie grozę, tylko ostrzegam.

Oczy Najdera zwięziły się i teraz patrzył na Bielawskiego przez szparki powiek. Bez słowa odwrócił się i nie oglądając się więcej, ruszył w kierunku ulicy Broniewskiego, zostawiając go samemu sobie.

# **III**

# **FARMA**

Marta czuła, że leży, nie wiedziała, gdzie jest, i co gorsza, nie mogła otworzyć oczu. Prosta, niewymagająca praktycznie żadnego wysiłku czynność urosła do rangi niewykonalnej pracy, której nie była w stanie podjąć. Były jak zlepione klejem i kosztowało ją naprawdę dużo sił, żeby uchylić je choćby o milimetr. A kiedy wreszcie jej się udało, nie była zachwycona tym, co zobaczyła. Obok niej leżał owinięty folią podłużny pakunek. Folia oklejona była metrami taśmy klejącej, a przypominający gigantyczny kręgiel kształt nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, co jest w środku. Marta poczuła, że robi się jej niedobrze. Mdłości nasiliły się, kiedy na końcu zauważyła smugi zaschniętej krwi, która zapewne nie tak dawno temu sączyła się z głowy trupa. W półmroku były prawie czarne i przypominały smołę, ale nie miała wątpliwości, co to takiego. W odruchu paniki szarpnęła się, usiłując odczołgać się od zwłok, ale jej nogi ani drgnęły. Podobnie było z rękami. Szybko zrozumiała, że jest związana, ale nie były to zwykłe pęta. Więzy ciasno oplatały ramiona i nogi i dopiero kiedy bliżej się im przyjrzała, dostrzegła, że to siatka. Przypominała tę, w którą owija się szynki, tylko była zielona i miała większe oczka. Marta jak przez mgłę zaczęła sobie przypominać ostatnie zdarzenia. Sobczak. A może nie Sobczak, tylko jego brat. Hipnoza. Mężczyzna ze zdjęcia. I duszny, słodkawy mrok, w który się osunęła. Miała sucho w ustach i dopiero po chwili uświadomiła sobie z lekkim zaskoczeniem, że nie ma w nich knebla. Nabrała w płuca powietrza i już miała wrzasnąć „ratunku”, kiedy nagle zmieniła zamiar. Sobczak, albo Ropczycki, którymkolwiek z braci był, na pewno nie należał do idiotów. Nie związałby jej, zapominając o kneblu, gdyby nie miał pewności, że nikt jej nie usłyszy, więc krzyk był bezcelowy, a tylko by jego zaalarmowała. Wypuściła powietrze z płuc i zamknęła oczy, doszedłszy do wniosku, że trup obok nie jest aż tak wielkim problemem. To po prostu martwe ciało, a bać się trzeba było wyłącznie żywych.

Na przykład Sobczakoropczyckiego i człowieka, który napadł ją na korytarzu kliniki, kimkolwiek był.

W pomieszczeniu było dość ciemno. Trochę światła wpadało przez kwadratowe okienko i kiedy Marta skupiła wzrok, dostrzegła, że to nie okienko w ścianie zewnętrznej, tylko w drzwiach, a światło, sztuczne i mławe, pada z pomieszczenia za nimi. Jeszcze raz się szarpnęła jak wyrzucona na brzeg ryba w sieci, próbując uwolnić chociaż palce, i to się jej udało, choć tylko to. Poruszała nimi, a potem chwyciła siatkę i spróbowała ją rozerwać. Plastik wrzynał się w skórę, ale zacisnęła zęby i szarpała dalej, czując, jak napięte jak struny linki przecinają skórę w zgięciach palców. Ale nie odpuściła. Kilka dłużących się jak godziny minut później zdołała oswobodzić dłonie. Podniosła lekko głowę i zobaczyła je w półmroku. Zrobiła kilka kolistych ruchów nadgarstkami i przebieierała palcami, czując, jak spływa po nich krew, a potem zdecydowanie chwyciła siatkę opiętą na jej brzuchu i szarpnęła. Ból był nieznośny, ale terkot rozrywanego plastiku brzmiał w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka. Dalej poszło już łatwo, wystarczyło napiąć barki i szarpnąć ramionami, by jej ciało uwolniło się z siatki jak motyl z kokonu. Usiadła i zaczęła wyplątywać nogi. Palce szczypały z bólu, ale nie zważała na to, tylko zwijała siatkę, rolując ją sobie po udach i goleniach. Kiedy była już wolna, poczuła, jak ogarnia ją euforia. Na zewnątrz było cicho. Podeszła na palcach do drzwi, ale okienko było za małe, żeby przez nie wyrzeć, w dodatku zakratowane. Widać było tylko, że na zewnątrz jest biegnący poprzecznie wąski korytarz bez okien, i nic więcej. Marta cofnęła się. Mimowolnie skierowała wzrok na zwłoki i przeszedł ją dreszcz, więc odwróciła głowę i zaczęła analizować sytuację.

Pomieszczenie, w którym się znajdowała, miało mniej więcej trzy na trzy metry i było pozbawione okien. Nie było też w nim żadnego mebla, choć na betonowej posadzce widniały ślady po jakichś przykręcanych do niej urządzeniach. I kiedy już straciła całkiem nadzieję, pod ścianą zauważyła kawałek pręta zbrojeniowego. Miał około trzydziestu centymetrów długości, ale Marta przypomniała sobie, jak Marek jej mówił, że do obrony można wykorzystać wszystko, dosłownie wszystko. Wzięła go do ręki, ale zaczął się jej ślizgać w palcach mokrych od krwi. Potrzebowała pewnego chwytu, więc niewiele myśląc, oderwała rękaw bluzy, owinęła nim pręt z jednej strony i dopiero teraz zacisnęła na nim palce. Było zdecydowanie lepiej. Machnęła nim kilka razy, żeby spróbować, jak leży w dłoni i z jaką siłą zadać ewentualny cios, potem wzięła solidny zamach, aż usłyszała świst powietrza rozcinanego żelazem. Nagle półmrok zgęstniał. Odwróciła

się w stronę drzwi i ze zgrozą stwierdziła, że kwadracik światła zasłania czyjaś głowa.

– Coś nieprawdopodobnego – powiedział Sobczak, czy może Ropczycki, a w jego głosie bardziej niż zaskoczenie słyhać było autentyczny podziw. – Jesteś niesamowita, wiesz?



## 31

– Jak tam? Piotrek wróci? Jest szansa?

– Jest. Jest szansa, ale potrzebuję jeszcze trochę czasu. Już kończymy. Sprawa się trochę skomplikowała, bo w kluczowym momencie przerwał nam Maciek. Głupi błąd, zapomniałem zamknąć drzwi. Ale dam radę.

– Musi wrócić. Jest wyjątkowy, jest dla pozostałych jak fantastyczny starszy brat. Jak on się nimi opiekuje! Jego matka też jest wyjątkowa. Pomożesz mi ją wprowadzić?

– Przecież wiesz, że zrobię dla ciebie naprawdę wiele?

– Wiem. Wiem...

– Zawsze, i pamiętaj o tym.

– Przemek...

– No?

– Nie chcę, żebyś ciągle czuł się winny, rozumiesz?

– Ja się nie czuję winny, ja jestem winny, Romek. Obaj to wiemy. A ja wiem to nawet lepiej od ciebie. Jestem specjalistą od analizowania takich rzeczy.

– To był wypadek, zwykły wypadek, głupia zabawa smarkaczy! Żeby to pojąć, nie trzeba być specjalistą.

– Ale to ty cierpisz całe życie, a nie ja.

– Jesteśmy w tym razem. Poświęciłeś się dla mnie, chociaż nawet cię o to nie prosiłem.

– Nie musiałeś...

– Poświęciłeś wszystko, swoje życie osobiste... Też cierpisz.

– Musimy znów o tym rozmawiać? Wałkować ten temat kolejny raz? Co to da? Zamierzasz coś zmieniać? Źle ci? Masz swój świat, który stworzyłeś z moją pomocą. Zrealizowałeś swoje marzenie, osiągnąłeś względne szczęście i spokój. Nie chcesz operacji, która mogłaby ci pomóc...

– Ustaliliśmy już, że operacja nie ma sensu.

– Dobrze, w każdym razie odciąłeś się od przeszłości. O co ci ciągle chodzi?

– Dobrze, faktycznie: nie wałkujemy tego znów. Przekonasz ją?

- Tak. Najszybciej, jak się da.
- Będzie tu pasować. Tylko jej brakuje i kiedy już do nas dołączy, wszystko zagra. Pełna harmonia, co?
- Myślę, że to rozwiąże również problem z Piotrkiem. Trafił nam się nieco krnąbrny, i może faktycznie za stary, ale przekonamy go, a teraz, kiedy jest tu też jego matka, przy odpowiedniej opiece farmakologicznej nie powinno być problemu. Dostosuje się. Ona też, już ja o to zadbam.
- Też tak sądzę.
- Tylko nie pomył dawek, żeby znowu nie uciekł. Sam widziałeś, chwila nieuwagi i jakie koszmarnie konsekwencje.
- Obiecuję, będę uważny. Słuchaj, ona... Podoba ci się, nie?
- Hmm... Jest niezła. Trzeba to przyznać. Rajcuje mnie.
- Ile ma lat?
- Jest mniej więcej w naszym wieku, czterdzieści parę. Ale jest na czym zawiesić oko.
- Tym lepiej. Będzie dobrze, co?
- Będzie. Tym razem wszystko będzie dobrze.
- Kocham cię. To, co zrobiłeś, żeby mnie, nas chronić, wymagało najwyższego poświęcenia.
- Jestem ci to winien. Ty też musiałeś przekroczyć pewną granicę.
- Nie miałem wyjścia, Przemek. Po prostu nie miałem. Przecież wszystko by się wydało!
- Wiem. Nie osądzam cię, absolutnie, przecież sam po ciebie zadzwoniłem, żebyś załatwił sprawę. I zgadzam się: nie było innego wyjścia. Przepraszam cię, że nie dałem rady załatwić tego sam. Nawet jakimś zastrzykiem.
- Nie oczekuję od ciebie takiego poświęcenia, Przemek.
- Powiedz mi, bo mnie to ciekawi. Czy... Czy to było trudne?
- Nie. Nawet tego za bardzo nie pamiętam. Po prostu zacisnąłem palce i zamknąłem oczy. Nie pytaj o szczegóły, to ciebie nie dotyczy i biorę to na siebie, dobrze?
- Cierpiał?
- Nie, najpierw uderzyłem go w głowę. Nawet nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie jestem zwyrodnialcem, Przemek. Po prostu musiałem usunąć przeszkodę, rozumiesz? Powinienem było to zrobić już tam, na drodze, ale spanikowałem, no i musiałem zająć się Piotrkiem. Całe szczęście, że prawie

nic nie pamiętał, i że oni sami ci go dali... Nie było i nie jest mi z tym łatwo, ale to jest kwestia priorytetów.

– Zgadza się, Romek. W końcu kto jest ważniejszy: własny brat czy jakiś buc, obcy?

– A ja? Czy ja jestem zwyrodnialcem?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Ty mi to powiedz. Jesteś psychiatrą.

– A ty jesteś człowiekiem, który usiłuje sobie poradzić.

– Obaj jesteśmy. Obaj usiłujemy sobie poradzić, ale mam wrażenie, że to zaszło za daleko. Zginął człowiek...

– Posłuchaj: ja staram się tylko naprawić to, co zepsułem wiele lat temu. Nie mogliśmy przewidzieć, jak to się potoczy, i nie pozostaje nam nic innego, jak reagować na zmianę sytuacji. Nawet jeśli to kosztuje czyjeś życie. I znów priorytety, bo nasze życie jest ważniejsze. Co ty, płaczesz? Roman...

– To ty jesteś moją prawdziwą rodziną, Przemek. Nie oni. Ty.

– Wszyscy jesteśmy, oni też. I wkrótce ona się powiększy. Przekonam ją i podaruję ci.

– Też nie pożałujesz. Pozwolisz mi patrzeć, kiedy będziecie razem? Wiem, że kobieta potrzebuje mężczyzny...

– Patrzeć? Ona będzie twoja, Romek. Ja będę tylko kończył, ale ona będzie twoja. Zasłużyłeś na nią.

– Czemu wpadłem na to tak późno?

– Widać musiała się trafić odpowiednia, żeby zaiskrzyło. Bo myślę, że potrzebowałeś kobiety od zawsze, tylko się blokowałeś. A ona, jej konkretna fizyczność, cię wzruszyła. I inne względy: popatrz, nie ma nikogo, nie ma do kogo wracać, nikt nie będzie za nią tęsknił.

– Kiedy mi pokazałeś filmik z nią... Jak idzie przez ten parking, wiatr rozwiewa jej te cudowne włosy... Poczulem, przez ułamek sekundy poczułem, jakbym go miał, wiesz? To było tak silne przeżycie.

– Widzisz? Nawet mimo fizycznych przeszkód zapragnąłeś ją posiąść. Więc ja nie mogę ci jej odmówić. Po prostu nie mogę. I nie chcę...

– I jest bystra. Powiązała ze mną Orłowice. Cieszę się, że jest już z nami. Mam nadzieję, że przekonasz ją szybko.

– Romek, słuchaj... Zdajesz sobie sprawę, że ona nie będzie się zachowywać jak normalna kobieta? Że będzie inna? Że leki i hipnoza zmieniają ją diametralnie? Spróbujemy najpierw po dobroci, ale

prawdopodobieństwo jest raczej małe i sędzę, że trzeba będzie włączyć leki.

– Zdaję sobie sprawę, oczywiście. Inaczej nie zechciałaby z nami być, to oczywiste. Trudno. Nie można mieć wszystkiego. I tak się cieszę, i mam nadzieję, że da się przekonać. Dla własnego dobra. I Piotrka. Będziemy świetną rodziną, Przemek, zobaczysz. Nie idealną, ale rodziną. Wreszcie pełną. Kompletną.

– Wyluzuj i nie rób nic głupiego, to ci się nie opłaci – powiedział Sobczak spokojnie, jakby nic się nie działo.

Marta mocniej ścisnęła pręt, kryjąc go za swoim ciałem.

– Ty już zrobiłeś coś głupiego i zapłacisz za to – syknęła nienawistnie. – O co tu chodzi? Czego ode mnie chcesz? – Nie mogła dać po sobie poznać, że wie cokolwiek. – Kim jest ten gnojek, który mnie załatwił na korytarzu? Ten, którego zdjęcie mi pokazałeś chwilę wcześniej?

– To mój brat. Tak się składa, że odwiedza mnie niesłychanie rzadko, w zasadzie do tej pory zrobił to tylko raz. Teraz.

– Brat?

– Tak. Bliźniak. – Sobczak przytknął głowę do otworu i zajrzał do środka pomieszczenia, rozglądając się na boki na tyle, na ile pozwoliła perspektywa.

Marcie się to nie spodobało. Bo to oznaczało, że jest bardzo ostrożny.

– Bliźniak? – zapytała.

– Jesteśmy dwujajowi – odparł lekarz z uśmiechem.

A więc wyjaśniła się kwestia ewentualnego podszywania się jeden pod drugiego. Marek wyciągnął pochopne wnioski. Ropczycki żył, nie był nawet podobny do swojego brata, i to on mieszkał w Orłowicach, a Sobczak we Wrocławiu, dopóki nie przeprowadził się do Szczecina. A z tego, co pamiętała, było to mniej więcej w czasie, gdy Ropczycki zniknął z Orłowic. Wszystko nagle zagrało. Pomyślała jeszcze tylko, że absolutnie nie wolno dać jej po sobie poznać, że to wie. Miała nadzieję, że Marek nie opowiedział Sobczakowi wszystkiego i lekarz jedynie wie, że byli w Orłowicach i u Maksa w Jeleniej Górze. I że skoro Bielawski wysłał skan rysunku autystycznego chłopca Yanceyowi, to nie było potrzeby pokazywania go Sobczakowi, i tego po prostu nie zrobił.

– Romek przyjechał z powodu Stróżyka. – Głowa Sobczaka uniosła się, kiedy stanął na palcach, żeby zajrzeć do wnętrza.

Marta poczuła, jak tężeją jej wszystkie mięśnie. W ułamku sekundy służówka w jej gardle wyschła na wiór, a kiedy spróbowała przełknąć ślinę,

okazało się, że wyściela je papier ścierny.

– To... – Spojrzała na zwłoki. – On wcale nie uciekł.

– Tak, to właśnie Stróżyk. I nie: nie uciekł. Ty też nie próbuj, jeśli nie chcesz skończyć tak jak on.

– Dla... dlaczego? – Poczwała, że zbiera się jej na wymioty.

– A jak myślisz? Przecież nie mogliśmy pozwolić, żeby wygadał wszystko, bo była szansa, że odzyska pamięć, a po tym, jak Bielawski sam mi go wepchnął w ręce, stwierdziłem nawet, że los mi sprzyja. Nie masz kogo żałować, to była zwykła menda, jeśli to cię pocieszy. Pogadaliśmy sobie trochę pod zegarem i powiedział mi takie rzeczy, takie rzeczy... – Sobczak cmoknął z niesmakiem. – Spałaś wtedy i nie wiesz, że jechaliście razem ze Szczecina tutaj, wiesz? Ale nie przejmuj się, wkrótce pan Stróżyk zostanie zutylizowany i zapomnimy o nim. Po to właśnie przyjechał Romek, a ty, dokładnie w tym samym czasie sama do mnie przyszałaś. No, czyż to nie piękne?

– Sam się bałeś albo brzydziłeś, co? – Wskazała prętem ciało. – Musiałeś kogoś wykorzystać? Braciszka? No, chodź tu, śmiało.

– Naprawdę masz mnie za idiotę?

– Nie. Mam cię za zboczonego psychopatę! – wrzasnęła. – Ciebie i tego drugiego! Gdzie jest mój syn? Gdzie on jest, skurwysynu!!! – Tracąc nad sobą panowanie, uniosła pręt.

Na Sobczaku nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Ucieszysz się, bo Piotrek żyje i ma się całkiem dobrze – powiedział wesoło. – Reszta też. Co ty na to?

– Nie wierzę! – Serce zabiło jej jeszcze mocniej, mimo że i tak już wcześniej chciało wyrwać się z piersi. – Nie wierzę ci, gnoju! Gdzie oni są!?

– Tutaj. Wszyscy są tutaj.

Sobczak zniknął nagle z okienka i Marta przestraszyła się, że poszedł sobie, zostawiając ją, ale nagle usłyszała metaliczny dźwięk i drzwi drgnęły. Napięła się do skoku i zacisnęła palce na pręcie. Żuchwa, oczy, grdyka, genitalia: głos Marka huczał jej w głowie razem z krwią. Napięła wszystkie mięśnie, jej oddech przyśpieszył, serce zaczęło pompować coraz więcej krwi do arterii. Sobczak wszedł powoli do pomieszczenia, uśmiechnięty, jakby świetnie się bawił. Zetrę ci ten uśmiezek z ryja, skurwielu – pomyślała Marta i kiedy już miała rzucić się na Sobczaka, ten wyciągnął coś zza pleców, a ona, zaskoczona, rozluźniła się, tracąc cenne sekundy.

– Z każdą kolejną hipnozą wzrasta podatność na nią, wiesz? – powiedział dziwnie monotonnym tonem. – A ty i tak jesteś podatna, wiemy to już oboje.

Patrzyła na małe pudełeczko, które Sobczak trzymał w wyciągniętej przed siebie ręce. Palec nacisnął i klikadełko wydało z siebie dźwięk, po którym Marta zeszywniała.

– Przygotowałem cię już w czasie pierwszej hipnozy. – Głos lekarza wciąż był jednostajny, właściwie mruczał, a nie mówił. – Podałem ci określoną sugestię. Reakcja na dźwięk jest natychmiastowa i nie do opanowania. Nie możesz się ruszyć, prawda?

Następne kliknięcie.

Marta oddychała miarowo, ale jedyną częścią ciała, jaką mogła świadomie poruszyć, były powieki. Serce załopotało jej w piersi, a strach rozlał się po skórze jak lodowaty prysznic. Klik. Klik. Klik. Sobczak patrzył jej w oczy i naciskał klikadło z precyzją metronomu, a Marta poczuła, że traci kontakt z rzeczywistością.

Kiedy się ocknęła, nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Nie miała też już pręta, choć palce wciąż szczypały świeżymi skaleczeniami.

– Bądź grzeczna. – Usłyszała głos Sobczaka dochodzący z za jej pleców. – Wiem, że możesz się już ruszać, ale nie rób nic głupiego, bo pożałujesz.

Byli w dość szerokim korytarzu bez okien, powietrze cuchnęło stęchlizną, skądś dochodził szum jakiegoś urządzenia. Marta siedziała na wózku inwalidzkim, zobojętniała, choć gdzieś w środku tlił się żar oporu. Iskierka, ledwie dostrzegalna i być może o krok od zgaśnięcia. Czuła, że nie jest w stanie nic zrobić, choć mogła ruszać rękami i nogami. Ale zbierała siły.

– Co chcecie ze mną zrobić? – wyszeptała.

– Chyba się już zorientowałaś, że tu zostaniesz – powiedział dość obojętnym tonem, ale spowodował, że iskierka zgasła. Tliła się jeszcze przez chwilę, ale w miarę jak do Marty docierał sens słów Sobczaka, żar zniknął i po chwili już nic nie zostało.

Czuła pustkę. Nie miała w sobie już żadnych sił.

Stanęli. Sobczak wyminął wózek i otworzył drzwi, które były przed nimi. Ze środka pomieszczenia buchnęło białe światło, które poraziło jej oczy, więc zamknęła je i zasłoniła twarz przedramieniem. Poczuła, że wózek drgnął, a kiedy odrobinę uchyliła powieki, zobaczyła, że wjeżdża w tę jasność. Jęknęła ze strachu.

– Spokojnie – powiedział Sobczak. – Mam dla ciebie niespodziankę, chociaż nie wiem, czy zasłużyłaś. Otwórz oczy.

Zamknęła jej jeszcze mocniej i zacisnęła usta.

– Otwórz. – W głosie Sobczaka niespodziewanie pojawiła się jakaś miękka nuta, ale ona dalej mocno zaciskała powieki, jakby od tego zależało jej życie.

Była wręcz przekonana, że tak jest.

I wtedy usłyszała.

– Mamo...



– To ostatni etap naszej pracy, Piotrek – powiedział Sobczak. – Próba ucieczki narobiłeś sobie, i nie tylko sobie, kłopotów. Facet, który cię znalazł na drodze, bardzo tego żałuje, wiesz? Pomyśl o tym na przyszłość, zanim znów zrobisz coś głupiego, dobra?

– Spierdalaj, pojebie.

Piotrek siedział przywiązany do krzesła. Przestał się już szarpać, bo zdążył się przekonać, że nic tym nie wskóra. Skurwiel wiedział, co robi, a on nawet nie mógł zaprzeczyć się nogami, żeby wzmocnić siłę mięśni.

Sobczak westchnął.

– Tak myślałem. Cóż, będę cię musiał jednak znów zaćpać. Przynajmniej na jakiś czas.

– Już mnie zaćpałeś.

– Nie miałem wyjścia. Musiałem.

– Nie miałem żadnej pieprzonej amnezji... – Chłopak poczuł, że zaraz się rozpłacze i z całych sił próbował tego po sobie nie pokazać.

Nie chciał dawać swojemu oprawcy tej satysfakcji.

– To prawda, nie miałeś – stwierdził Sobczak. – Wyindukowałem ci ją lekami, choć to znaczne uproszczenie, ale pozwolisz, że nie będę ci tłumaczył szczegółów. To po prostu nie ma sensu. Musiałem dotrzeć do ciebie. Zresetować, zakręcić tobą i spróbować przekonać, że było ci tu dobrze, pomimo drobnych niedogodności. I potrzebowałem do tego silnych leków. Byłeś w specyficznym stanie, który mógłbym opisać jak pomieszanie snu z jawą, choć to też byłoby znaczne uproszczenie.

– Kurwa, drobnych niedogodności... – parsknął Piotrek, czując, jak drobinki śliny oblepiają mu podbródek. Nie mógł ich nawet zetrzeć.

– Jesteś inteligentnym chłopakiem. Twardym. Nie uwierzyłbym, że ktoś może się czołgać na rękach półtora kilometra przez las, a tu proszę. Mówiłem mojemu bratu, że akurat ty nie jesteś dobrym pomysłem, ale się uparł. Chciał syna, który zaopiekuje się młodszymi braćmi. Ty jesteś niepełnosprawny, ale równocześnie silny, zarówno fizycznie, jak

i psychicznie. To mieszanka wybuchowa, jak się okazało, mówiłem mu, że jesteś za stary, że nie jesteś już dzieckiem, ale cóż, bardzo chciał...

– Obaj jesteście pojebani, obaj...

Sobczak złożył usta jak do pocałunku i cmoknął kilka razy, a potem spojrział na zegar.

– Masz tylko piętnaście lat i nie wiesz jeszcze nic o miłości, mój drogi – stwierdził, przyglądając mu się przez dłuższą chwilę. – Nie wiesz nic o uczuciach. Nie wiesz, ile człowiek jest w stanie zrobić dla drugiego człowieka, jeśli go kocha. Nieważne, czy jest to kobieta, czy brat. A jeśli w dodatku ma się jeszcze u tego kogoś dług i straszną świadomość, że nigdy nie będzie się w stanie go spłacić, to jest się gotowym na jeszcze więcej. Jest się gotowym na największe poświęcenia.

– Nie jesteśmy w żadnej klinice...

– Nie. Jesteśmy na Farmie.

– To dlatego tu nie ma okien.

– Zgadza się. A to, co widzisz dookoła, to dekoracje. Niezbyt wymyślne. Wystarczy kilka szczegółów budzących oczywiste skojarzenia i jesteśmy w domu, w tym wypadku w gabinecie lekarskim. Bo świat złożony jest z pozorów. Pewien człowiek, którego znam, tak twierdzi. Jest przekonany o własnym geniuszu, ale trochę się myli, choć akurat w tym ma rację: świat to pozory. On też jest pozorem, tylko stworzonym przez samego siebie. No, nieważne...

– I co teraz? – zapytał Piotrek, wpatrując się mściwie w lekarza. – Co teraz, kurwa?

– Prosiłbym cię o nieprzeklinanie, a przynajmniej w granicach przyzwoitości. Rozumiem twoją sytuację, ale...

– Chuja tam rozumiesz!

– Chłopaku, nie zmuszaj mnie, żebym ci znów pogrzebał w głowie, dobra? – Głos Sobczaka był obojętny.

Piotrek powiódł wzrokiem za jego dłonią wskazującą wiszący na ścianie zegar i oklapł na krześle. Nie chciał tego. A potem przyszła mu do głowy inna myśl: że więcej zdyktała potulnością. Nie przymilaniem się, które od razu wzbudzi podejrzenia obu pokreconych skurwysynów, tylko pozornym pogodzeniem się z sytuacją. Musiał zrobić wszystko, żeby uspić ich czujność.

Bo przecież będzie musiał uciec jeszcze raz...

Siedział tak ze spuszczoną głową kilkanaście sekund.

– Dużo lepiej. – Twarz Sobczaka rozciągnęła się w fałszywym uśmiechu.  
– Nie będziesz bluzgał?

Piotrek w milczeniu pokręcił wciąż spuszczoną głową.

– Świetnie. A teraz ciąg dalszy wyjaśnień. Pytałeś, co teraz. Teraz będzie tak, jak było. Będziecie żyć sobie z waszym nowym Tatą tu, na Farmie. Będziecie się sobą opiekować, czytać książki, oglądać filmy, grać w gry i robić to wszystko, co chłopcy w waszym wieku lubią robić. Oczywiście z uwzględnieniem waszych niepełnosprawności. No, oczywiście, nie będziecie jeździć na wakacje, choć kto wie, może za parę lat...

– Idealna rodzinka w idealnym domu, co? – Chłopak roześmiał się gorzko.

– Otóż to. – Sobczak aż uniósł się na krześle, radosny i szczęśliwy, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy, że słowa chłopaka aż ociekały sarkazmem.

– I będziecie grzeczni. Będziecie dobrymi chłopcami, nie będziecie denerwować Taty i będziecie robić to, co będzie chciał. Przyznaj obiektywnie: nie jest zbrodnicą, nie wykorzystuje was seksualnie...

Piotrek parsknął śmiechem.

– Błagam... – wybeczał to, tak to zabrzmiało: jak beczenie. – Dobra, a co dalej?

– Dalej?

– Ile to będzie trwać? W końcu dorośniemy. W końcu przestaniemy być dziećmi. Co wtedy zrobi twój porąbany braciszek, doktorku?

– Wybaczę ci to, ale nie radziłbym używać takich sformułowań przy Romku. Jest na to bardzo uczulony.

– Bo co, bo weźmie mnie do Pudła i pokaże, co mi robi, jak nie będę grzeczny, tak?

– A co, podobało ci się? – Sobczak spojrzał na Piotrka kpiąco. – No, powiedz, może cię to rajcuje? Może sprawdzimy, i to zaraz?

Chłopak spojrzał mu prosto w oczy. Bez strachu. Zmierzył go zimnym i twardym spojrzeniem.

– On ich tym zniszczył, rozumiesz? – wycedził. – Już nawet nie chodzi o mnie, ale to jest dla nich gorsze, niż gdyby ich...

– Zrozum, musi sobie wyrobić posłuch. A ze względu na nietypowe warunki jest zmuszony stosować nieco inne metody niż szlaban na gry czy na telewizor. To by w końcu przestało działać. A na to nie możemy sobie pozwolić.

– Więc co dalej? Zabijecie nas, żeby zrobić miejsce dla następnych dzieciaków?

Sobczak patrzył na niego zagadkowo.

– Wiesz, co to są benzodiazepiny? – zapytał nagle.

– Wiem.

– Tak, trochę się tego nałykałeś po wypadku, prawda? A więc wiesz też, że ta grupa leków ma dość szerokie spektrum działania. Brałeś coś lekkiego, pewnie Xanax, ale są też oczywiście silniejsze, na przykład Midanium. To powiem ci, że wszyscy byliście utrzymywani w określonym, powiedzmy zaprojektowanym przeze mnie specyficznym stanie psychofizycznym. Nie odczuwaliście lęku, bo mój koktajl znosił to uczucie, byliście raczej weseli i pobudzeni w ten dobry sposób. Byliście podatni na sugestie, wykonywaliście polecenia, nie dyskutowaliście, czasem tylko występowało jakieś działanie niepożądane, zwykle tak zwana reakcja paradoksalna w formie pobudzenia objawiającego się niewłaściwym zachowaniem...

– I wtedy Tatuś zabierał niegrzecznego chłopczyka do Pudła.

– Zgadza się, tłumaczyłem ci przed chwilą ten mechanizm.

– Czemu po prostu nie zwiększycie im dawki prochów? Czemu musicie ich tak katować?

– Musisz pamiętać, że obliczenie właściwej dawki leku jest bardzo trudne, szczególnie w przypadku mieszanki, którą opracowałem. To koktajl leków o różnym spektrum działania i teraz chodzi o te proporcje. Długo eksperymentowałem na pacjentach, zanim osiągnąłem efekt, o który mi chodziło, ale też nie jest idealny, bo ideału nie da się osiągnąć. To tylko biologia i chemia. I dlatego zdarzają się sytuacje, że mimo działania leków zachowanie jest nieco odmienne od zakładanego. I wtedy trzeba zadziałać wychowawczo, na poziomie świadomym i dlatego mój brat zabiera was do Pudła. Mówię ci to, bo od teraz będziesz w nieco innej sytuacji niż pozostali. Ze względu na nowe okoliczności nastąpiła pewna zmiana planu. Drobną korektą, a może i nie taka drobna. Nie będziesz dostawał aż tylu leków, pozostałym też trochę odpuścimy. Będziesz bardziej świadomy. Bo będziesz teraz trzeci w hierarchii.

– Że niby po nim i po tobie?

– Nieee. – Sobczak zdecydowanie pokręcił głową. – Ja nie jestem członkiem rodziny. Jestem trochę jak wujek z zagranicy, ja was tylko wspieram. Odpowiadając finalnie na twoje pytanie co dalej, mówię ci, że

nikt nie zamierza nikogo zabijać. Dalej będziecie rodziną. Będziecie żyć na Farmie, jak do tej pory, będziecie rosnąć i starzeć się razem. A przypadek albo natura zadecyduje jak długo, choć oczywiście wy też będziecie mieli na to spory wpływ.

– To kto będzie drugi w hierarchii, jak nie ty?

Sobczak wstał.

– Poczekaj chwilę, to się dowiesz. I... Ucieszysz się, wiesz? – Uśmiech rozciągnął wargi lekarza i widząc to, Piotrek pomyślał, że takiej sympatycznej i wzbudzającej zaufanie twarzy nie widział chyba nigdy w życiu. – Daję sobie głowę uciąć, że się ucieszysz...

Była tam. Nie zgasła jednak do końca. Ledwo tłąca się iskra wybuchnęła nagle pełnym płomieniem, który ogrzał Martę i dodał jej niespodziewanie sił.

– Piotrek... – Nie miała siły krzyknąć z radości, po prostu gardło się jej ścisnęło z żalu, tęsknoty i niewiarygodnego szczęścia.

Zerwała się z wózka i przypadła do syna. Cały świat zniknął. Zniknął korytarz, jasne pomieszczenie do złudzenia przypominające to, w którym zaczęła się jej koszmarne podróże tutaj, tylko pozbawione okna, zniknął nawet zegar na ścianie i pieprzony Sobczak: byli tylko ona i Piotrek.

Przytuliła go mocno, a po policzkach jej i jego popłynęły łzy. Słyszała szloch syna, czuła na ramionach jego niedźwiedzi uścisk i to, jak jego ciałem wstrząsa niepowstrzymany płacz. Pachniał potem wymieszany ze specyficzną wonią lekarstw, biały fartuch, w którym siedział przywiązany do krzesła, był szorstki, ale to był jej syn.

Żył.

Był cały i zdrowy, a przynajmniej tak wyglądał, choć schudł i zmizerniał.

Przez głowę przebiegła jej myśl o Marku: on wciąż żył nadzieją, wciąż się łudził, a ona miała już pewność. Miała to, czego chciała. Potwierdzenie. Namacalny dowód. Przez jedną krótką chwilę poczuła coś w rodzaju wdzięczności do Sobczaka za to, że ją porwał i przywiózł w to miejsce. Była mu wdzięczna za to, że nie zabił: była mu tak wdzięczna, że aż gotowa wybaczyć uprowadzenie syna. To było kompletnie chore uczucie, porąbane jak on i jego brat, i po chwili zmieniło się we wściekłość. Poczwała, jak tężeje. Odsunęła się od Piotrka i spojrzała mu w zapłakaną twarz.

– Nic ci nie zrobili? – zapytała.

Pokręcił głową.

– To już nieważne – szepnął. – Ważne, że tu jesteś.

– Właśnie. – Głos Sobczaka werznął się w ich maleńki, błyskawicznie zbudowany świat, burząc go doszczętnie: chwila szczęścia minęła. – Tak do tego podchodźcie. Znowu jesteście razem i będziecie razem. No dobrze, na

razie dosyć, Piotrek musi odpocząć. Zobaczycie się wkrótce, a ty teraz musisz poznać resztę, no i Romka.

– Niech on idzie z nami – zażądała. – Posadź go na moim wózku, ja pójdę sama.

– Piotrek wróci do swojego pokoju, a my pójdziemy przywitać się z resztą.

– Nie!

Sobczak zrobił minę „ach, te baby” i sięgnął do kieszeni. Już pierwsze kliknięcie spowodowało, że Marta znów nie była w stanie się ruszyć. Mogła tylko patrzeć, jak Sobczak podchodzi do Piotrka, rozpiną i ściąga pasy, którymi był przywiązany do oparcia krzesła, a potem bierze go na rękę, bierze na rękę jej syna, i wynosi go z pomieszczenia.

– Spokojnie, mamó, wszystko będzie dobrze! – zawołał Piotrek na pożegnanie.

Mogła tylko stać bez ruchu, czując, jak łzy spływają jej po policzkach. Nie mogła ich nie tylko powstrzymać, ale nawet otrzeć. Sobczak wrócił kilka minut później.

– Zaraz odzyskasz władzę nad ciałem – powiedział, a kiedy usłyszała kliknięcie, faktycznie poczuła, że może wreszcie się ruszać.

Miała ochotę rzucić się na niego z gołymi pięściami i zatłuc na miejscu, ale zdawała sobie sprawę, że nie ma szans. Nie rozumiała kompletnie mechanizmu, który powodował, że czując doskonale swoje ciało, nie była w stanie nim sterować, jakby polecenia skurczów mięśni wydawane przez mózg i przekazywane do nich nerwami były gdzieś po drodze blokowane. I nie zmieniało to faktu, że wiedza nic by jej nie dała. Była niewolnikiem własnego umysłu, który zaprogramował ktoś inny. Porozcierała przedramiona, w których czuła mrowienie.

– No, chodź. – Sobczak niczym dżentelmen przepuścił ją w drzwiach.

Wyszła na korytarz z dumnie uniesioną głową, widząc kątem oka w jego oczach wyraźne uznanie. Wyszedł za nią, słyszała jego ciche kroki, które napawały ją przerażeniem. Nie potrafiła ogarnąć tego rozumem. Nie miała pojęcia, co tu się działo, choć miała jak najgorsze podejrzenia po wizycie u Maksa, obejrzeniu jego rysunków i zdjęciu Kena, które zrobił Marek. Bała się, że robili to jej Piotrkowi. Że zrobili mu krzywdę. A jeśli tak, zapłacą za to.

Przysięgła to sobie, idąc korytarzem oświetlonym rzędem podwieszonych pod łukowym sklepieniem świetlówek. Przysięgła na swoje życie,

zaciskając zęby, gotowa na wszystko, żeby się stąd wydostać razem z dziećmi. Była gotowa nawet zabić.

I wiedziała, że nie może tego po sobie pokazać. Za żadne skarby.

– Tutaj. – Usłyszała głos Sobczaka i stanęła obok drzwi, takich samych jak wszystkie inne.

Otworzył je. Pomieszczenie za nimi było wyższe i większe, oświetlenie też miało większą moc, światło było białe, a nie żółte jak gdzie indziej. Sobczak wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej biodra, jakby chciał ją zaprosić. Wzdrygnęła się lekko, on to zauważył, była tego pewna, ale nie dał po sobie niczego poznać.

Nie miała innego wyjścia, jak wejść do środka, a kiedy to po chwili wahania zrobiła, poczuła, że zaraz się rozpłacze. Widok wstrząsnął nią do głębi, poczuła to głęboko w trzewiach jak zdenerwowanie przed egzaminem, tylko znacznie mocniej.

Przy stole siedzieli pozostali chłopcy. Zobaczyła właśnie resztę ukrytych i od razu wiedziała, który jest kim. Widok Maciusia poruszył ją najbardziej, może dlatego, że знаła Marka, a może dlatego, że się uśmiechał, i to szeroko. Vincent siedział przechylony w jego stronę, niemal opierając się o niego barkiem, a Sebastian, po drugiej stronie stołu, ze spuszczoną głową i niewidzącym wzrokiem wbitym w jakiś punkt przed sobą. Byli poubierani w kolorowe dresy, a ich włosy były w nieładzie i chyba dawno niestrzyżone.

– Proszę pani, ja jestem Maciek! – zawołał Maciuś, podnosząc się gwałtownie i niemal rozlewając zupę.

Pozostali dwaj chłopcy nie zareagowali. Siedzieli wciąż obojętni, mieszając łyżkami w miskach. Ciemne oczy Maciusia patrzyły na nią z ufnością, wywinięta dolna warga błyszczała wilgocią w świetle jarzeniówki, a jej znów zachciało się płakać.

Ryczeć.

Wyć.

– Możesz mówić do niej mamusiu – powiedział Sobczak wesoło.

Uderzenie krwi do głowy zachwiało Martą; było jak sztorm. Rozepchało jej naczynia krwionośne na szyi, przyspieszyło oddech i zjeżyło włosy na karku.

O ile wcześniej mogła mieć obawy co do swojego losu, zgadywać, jak to się dla niej skończy, o tyle teraz przestała mieć wątpliwości. Już wiedziała, o co chodziło tym popaprańcom. Już wiedziała, że Yancey, Najder i Marek



nie do końca mieli rację. Nie mogli przewidzieć, o co chodziło porywaczowi, czy w zasadzie porywaczom, bo po pierwsze nie mieli wszystkich danych, a po drugie... Po drugie to po prostu nie mieściło się w głowie. Oni te dzieci kolekcjonowali. Zbierali je tak, jak zbiera się monety, znaczki czy cokolwiek, z myślą o zbudowaniu kolekcji. Tylko oni chcieli stworzyć rodzinę. Ukrytą przed wzrokiem ludzi, nienormalną, na własnych, chorych zasadach, choć zapewne są przekonani o jej wartości. A teraz zabrali ją i jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło jej do głowy, było takie, że ona też miała być jej częścią.

– Teraz już wiesz – stwierdził Sobczak, potwierdzając jej najgorsze przypuszczenia. – Wiesz, że nie tylko tu zostaniesz, ale i kim będziesz.

Od jakiegoś czasu miała wrażenie, że zna jej myśli, jakby siedział w jej głowie. Może był świetnym psychologiem, a może to z jej twarzy dało się czytać jak z książki. Efekt był ten sam: Sobczak wiedział. Po prostu wiedział.

– Widzisz, a nie wierzyłaś mi. Wszystkie dzieci całe i zdrowe. I, co ważne, szczęśliwe.

Popatrzyła na niego.

– Tryskają szczęściem – wycedziła przez zęby.

– Dobrze, chodźmy już – zakomenderował tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Na pierwszy raz wystarczy, nie chcę, żeby nowe doświadczenie zburzyło ten spokój, który udało nam się zbudować. Pójdziemy do twojego pokoju i tam opowiem ci resztę.

Sobczak zaprowadził Martę do kolejnego pomieszczenia. Była zbyt zmęczona, zdezorientowana i przerażona, żeby zarejestrować to, jak wygląda. Musiała skupić się na tym, co mówi do niej Sobczak nie dlatego, że jej kazał słuchać, tylko po to, żeby jak najszybciej poznać realia życia tutaj. Wiedziała, że podejmie próbę ucieczki przy pierwszej nadarzającej się okazji. Położyła się na łóżku i znów nakryła twarz przedramieniem, żeby niczego nie widzieć. Wystarczyło, że czuła wszechobecny smród stęchlizny.

– To właśnie będzie twój pokój – powiedział Sobczak, stając nad nią.

Odsunęła rękę i rozejrzała się, starannie omijając go wzrokiem.

Pomieszczenie przypominało wszystkie inne, które zdążyła zobaczyć do tej pory, z wyjątkiem tego, w którym byli chłopcy. Przede wszystkim też nie miało okna jak tamte, i to oraz wieczny zaduch i woń stęchlizny utwierdziły ją w przekonaniu, że są pod ziemią. Grubość murów, rysunki drewnianych szalunków na ścianach i stalowe drzwi nakrapiane nitami mogły świadczyć o tym, że to jakieś dawne schrony. Jej pokój urządony był po spartańsku, nie było w nim żadnej rzeczy, która czyniłaby go przytulnym. Sobczak jakby czytał w jej myślach.

– Powiesz, co byś tu chciała mieć, a postaram się to załatwić. Oczywiście bez szaleństw, ale jakby co, jestem w stanie pojechać nawet do Ikei.

Zabrzmiało to w tych okolicznościach kompletnie irracjonalnie, jakby właśnie ktoś powiedział jej o istnieniu innego świata, od razu dając do zrozumienia, że będzie dla niej niedostępny. Nagle coś przykuło jej uwagę. W rogu pokoju, tuż pod sufitem zauważyła małą kamerę. Była biała, ten, kto ją instalował, pewnie albo jeden, albo drugi psychol, nie starał się nawet jej ukryć. Łypała bezwstydnie fioletowym okiem obiektywu i dopiero teraz Marta zorientowała się, że pokój jest urządony jak cela dla więźniów kategorii „N”. Nic nie mogło się przed tym okiem ukryć.

Zniechęcona odwróciła głowę i spojrzała na drzwi. Sobczak zostawił je otwarte na oścież.

– Drzwi mają być zawsze otwarte, nawet jeśli jesteśmy w środku, taka jest zasada. Tu nikt nie ma się czego wstydzić.

– Ja mam – odparła zimno. – Jestem kobietą, jakbyś nie zauważył. I tak jest tam ta pieprzona kamera, więc będę je zamykać i gównu mnie obchodzi jakaś pieprzona zasada.

Sobczak milczał przez chwilę i Marta zaczęła zastanawiać się, czy to zdecydowanie w głosie da jej jakąś przewagę, czy w ogóle może ją sobie wypracować. Odkąd pamiętała, postrzegana była jako twarda babka, głównie dzięki swojej bezkompromisowości. Nie bała się zadzierać z facetami, co raz przynosiło jej straty, kiedy wywalali ją z roboty, a innym razem korzyści, kiedy ją przyjmowali do innej. Zauważyła już dawno, że część mężczyzn w podświadomy sposób podporządkowuje się silnym kobietom. Może to miało związek z ich relacjami z matkami, a może byli po prostu słabi, grunt, że w jakimś stopniu dało się na nich jakoś wpływać. Marek wspomniał jej kiedyś, że tacy popaprańcy jak Sobczak czy Ropczycki zwykle są silnie zaburzeni w tej sferze, co skutkuje takimi zachowaniami, jakie obaj prezentowali, ale wystarczyło im się postawić, żeby poczuli respekt. Dlatego właśnie tacy zwyrodnialcy wybierali dzieci. Bo dzieci nie miały odwagi tego zrobić.

– Nawet nie próbuj jej uszkodzić. – Sobczak wskazał kamerę.

Marta nie odpowiedziała, a on przysunął sobie krzesło do łóżka, ustawił oparciem do niej i usiadł na nim okrakiem, kładąc ramiona na oparciu, a na nich podbródek.

– Maciuś ma dużo swobody – zaczął. – Pogodził się z nieuniknionym, jest moim małym sukcesem wychowawczym. Naszym – moim i Romka. Nie pamięta prawie swojego ojca, zaadaptował się tu znakomicie, ma wszystko, czego chce, nawet kota. Twój syn miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie wyprowadzać go z tego stanu. Przy okazji: gratuluję ci go. To fantastyczny młody człowiek. Opiekował się całą trójką, nawet mimo swojej niepełnosprawności. Ma znakomitą rezyliencję. Wiesz, co to takiego?

– Nie wiem – odparła obojętnie.

– To zdolność szybkiej adaptacji do otoczenia przy gwałtownie zmieniających się warunkach oraz do podnoszenia się po traumie.

– Którą mu sami zafundowaliście...

Sobczak jakby nie słyszał jej ostatnich słów.

– Nie wiadomo, dlaczego jedni są bardziej odporni na traumatyczne zdarzenia, inni mniej. To kwestia wrodzona, genetyczna. On udowodnił to

już wcześniej, po swoim wypadku. Powiem ci szczerze, że jestem jego postawą zbudowany, bo zasadniczo mam fatalne zdanie, jeśli chodzi o dzisiejszą młodzież. Totalna degrengolada, brak wartości, pogoń za małymi rzeczami, wszechobecny seks...

– Skończ pierdolić – szepnęła. – Jestem tym zmęczona.

– Weź się w garść, kobieto! – Jego ostry głos był jak smagnięcie biczem.

– Ja ci tu przedstawiam twój nowy świat, więc skup się.

Zamknęła oczy. Przy życiu trzymała ją tylko myśl o Piotrku. Nic innego się nie liczyło. Może tylko pozostałe dzieciaki. Teraz musiała być odpowiedzialna również za nie, choć nie miała na to ochoty.

– Jak już ci mówiłem, Maciuś zaadaptował się świetnie. Reszta czasem sprawia kłopoty, jak wszystkie dzieci w każdym domu na świecie, ale mamy tu jedną formę kary, potem dowiesz się jaką. Vincent nie miał w domu łatwo, w szkole też nie i w zasadzie jest ulubieńcem Romka, choć Vini może tego tak nie odczuwać. Ale kiedyś zrozumie. Też powoli się przyzwyczajają. Sebastian jeszcze walczy, choć jest tu od dziewięciu miesięcy. Wymaga szczególnej uwagi, również mojej, wciąż staram się znaleźć optymalne proporcje leków. Dzieci prawie nie wychodzą na zewnątrz. Raz w tygodniu jest wyjście do lasu i to poza sezonem, żeby nie natknąć się na zbieraczy runa. Jesteśmy może ostrożni aż do przesady, ale nie stać nas na wpadkę. Poza tym mamy tu wszystkie udogodnienia, choć one nie mają dostępu do internetu. Wiesz, dzieciaki są bystre, ogarniają te sprawy, jeszcze odkryłyby sposób na skomunikowanie się ze światem... – Machnął ręką, lekko rozbawiony. – Romek pokochał tych chłopaków, są całym jego światem, a to, co jest jego światem, jest również moim, rozumiesz? Stworzyliśmy im nowy dom. Dobry dom. Mają siebie. Nikt się z nich nie śmieje. Nie drwi, nie dokucza. W poprzednich domach nie mieli nawet rodzeństwa, które by ich wspierało, a tu mają. Mają braci. Tak jak my z Romkiem mieliśmy siebie. Mój brat nie miał szans na zostanie rodzicem adopcyjnym. Jest sam i miał być sam już zawsze, dopóki nie znaleźliśmy rozwiązania. Ale nawet mimo to nikt nie zgodziłby się na oddanie mu dzieci pod opiekę, bądźmy realistami. System jest, jaki jest. Pamiętaj, że to jest wyrzeczenie również dla niego...

– Och, naprawdę? – Nie mogła się powstrzymać.

– Prosiłbym cię na przyszłość o bardziej przemyślane komentarze, dobrze? – Jego wzrok ciskał błyskawice. – Albo daruj je sobie w ogóle. Już wiem, po kim twój syn to ma. – Odetchnął, jakby było mu to potrzebne do

uspokojenia się. – Prowadzenie takiego domu, jakim jest Farma, nie jest proste. Kwestie organizacyjne. Logistyka to podstawa. Wszystko musi działać jak w szwajcarskim zegarku. Trzeba myśleć z wyprzedzeniem, planować elastycznie, znać swoje możliwości i umieć się dopasować. To dotyczy również mnie, może nawet bardziej niż Romka, który jest tutaj. Poukładałem sobie życie zawodowe pod ten dom, mimo że nie jest mój, tylko jego. Ale muszę mu pomagać go ogarnąć. Przygotowywać mu koktajle dla dzieciaków z uwzględnieniem ich stanu psychofizycznego, przywozić zakupy i tak dalej.

– Dlaczego? – zapytała słabo.

– Co dlaczego? – Wyprostował się zdziwiony.

– Dlaczego to robicie?

– Przecież ci powiedziałem przed chwilą. – Zrobił nagle minę, jakby coś sobie przypomniął. – Później wyjaśnię ci jeszcze kilka istotnych rzeczy i pewnie wtedy wszystko zrozumiesz. Naprawdę wszystko.

Pokiwała tylko głową. Nie chciało się jej już ripostować. Musiała skupić się na czymś innym. Ogarnąć się, przestać panikować i zacząć działać. Postarać się myśleć jak Marek. Analitycznie. Nie zero-jedynkowo, tylko oszacować ryzyko, ustalić proporcje i dokonać wyboru.

– Vincent umrze – powiedziała nagle.

– Co ty pieprzysz? – Brwi Sobczaka zjechały nad nos.

– To był zły wybór.

– A to dlaczego?

– Ma skoliozę...

– Wiem o tym, jestem lekarzem – prychnął.

– Ale nie ortopedą. Ta deformacja przy dalszym postępie, a będzie postępować, zagraża funkcjonowaniu układów oddechowego i krążenia. To się stanie w ciągu pół roku, roku. I nic z tym nie zrobisz. I co teraz? Pozwolicie mu umrzeć? Podrzucicie go rodzicom? To nie Maksiu, który niczego nie powie. W przypadku Sebastiana jeszcze byłaby jakaś szansa, ale Vincent? Jednak nie wszystko macie tak perfekcyjnie poogarniane, co?

Patrzyła na Sobczaka twardo. Oczywiście nie miała pewności, ile potrwa progresja skoliozy, która zagrazi wreszcie życiu chłopca, ale uznała, że może zagrać wysoko. Nie miała w końcu nic do stracenia.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał w końcu.

– Marek mi powiedział. – W jej głosie była nieskrywana satysfakcja.

Żuchwa Sobczaka drgnęła lekko i Marta wiedziała już, że za tą kroplą spadnie następna, choć nie ona ją spuści. Teraz już będą spadać same, bo zasiała w Sobczaku ziarno niepewności. Miała tylko nadzieję, że reperkusje nie będą tragiczne. Przez chwilę serce zatrzepotało jej w piersi na myśl, że bracia mogą chcieć rozwiązać problem radykalnie i świadomość, że mogła się do tego przyczynić, raniła jak nóż. Ale musiała myśleć o wszystkich. Nie o sobie, tylko o sobie, Piotrku i pozostałych dzieciach. Musiała zburzyć ten ich idealny świat, albo chociaż lekko wzruszyć jego posady, by bliźniacy poczuli się mniej pewnie i być może popełnili błąd.

Wzięła pod uwagę to, że wypuścili Maksa. Darowali mu życie, choć z drugiej strony charakter jego niepełnosprawności niemal wykluczał możliwość doprowadzenia do nich śledczych. Nie było więc aż takiego ryzyka, może nawet nie było go w ogóle. Z Vincentem mogło być inaczej, ale z tego, co zdążył powiedzieć jej Sobczak, zorientowała się, że Ropczycki faktycznie nie jest typowym pedofilem. Jemu na tych dzieciach zależało przy całym wynaturzeniu jego osobowości, dramatycznym rozdwojeniu, które chyba nawet dotyczyło ich obu: i jego, i Sobczaka. I to było koszmarnie. Nie odważyła się oceniać, czy takie postępowanie jest lepsze od zwykłego wykorzystywania, czy nie. Takie oceny były bez sensu. Nie było lepszego i gorszego zła.

Było po prostu zło.

– Prześpij się. – Sobczak uśmiechnął się szeroko, choć Marta widziała, że on też jest zmęczony. – Przykro mi, ale na razie ze względów bezpieczeństwa nie będziesz spać z Piotrkim. W zasadzie nie będziesz spać z nim w ogóle, przecież w domu też macie oddzielne pokoje, prawda? No właśnie. Jutro niedziela. W sumie na Farmie to nie ma znaczenia, bo wszystkie dni wyglądają tak samo, ale potraktujemy to symbolicznie. Jutro poznasz Romka.

– Już go poznałam – warknęła.

Sobczak pokręcił przecząco głową.

– Nie, tylko go widziałas. A jutro poznasz go naprawdę. I bardzo blisko.

Noc była prawie bezsenna. Marta wierciła się na łóżku, nie mając pojęcia, która godzina, bo nie miała zegarka. Musieli jej go zdjąć jeszcze w klinice. Także w pokoju nie było żadnego, jakby chcieli pozbawić ją świadomości czasu, a przez brak okna nie mogła zorientować się nawet w przybliżeniu, jaka jest pora dnia albo nocy. Przypomniała jej się informacja, którą znalazła gdzieś kiedyś przypadkiem, że w przemysłowej hodowli kur poprzez odpowiednie sterowanie sztucznym światłem skraca się zamkniętym w ciemnych halach ptakom dni i noc, zaburzając im dobowy rytm, dzięki czemu składają dwa razy więcej jaj. Odniosła to do swojej sytuacji, zastanawiając się, czy Sobczak nie był takim hodowcą, a ona z Markiem, a nawet Najderem i Yanceyem nie byli takimi kurami, robiącymi to, co on chciał. Sterował nimi, tak jak hodowcy światłem. Myślała też o samym Marku, jego teoriach i o Yanceyu. Nawet o Boguckim. Przypomniała sobie, jak Marek wierzył, że oni żyją, tylko w ukryciu, jak ona w to wszystko wątpiła, choć też rozpaczliwie próbowała wierzyć i była zdziwiona, jak to, co przeżywała, teraz wpisywało się w schemat. Nie ma typowych pedofilów, ani kobiet, ani facetów, mówiła nie tak dawno temu. Właśnie okazało się, że pewne rzeczy da się jednak przewidzieć, że są niejako uniwersalne, nawet jeśli trudno je ogarnąć zdrowym umysłem.

Snując te ponure rozmyślenia, oddychała ustami, aż wreszcie na tyle przyzwyczaiła się do smrodu stęchlizny, że mogła nabierać powietrza nosem bez odruchu wymiotnego. Zasnęła, sama nie wiedząc kiedy, wymęczona stresem, emocjami i strachem. Obudził ją kot. Pręgowany, tłusty sierściuch uwił sobie gniazdo między jej kolanami i bezwstydnie patrzył jej w oczy, kiedy próbowała delikatnie strząsnąć go z koca. Wiedziała już, że nazywa się Rufus i przynajmniej teoretycznie należy do Maćka. Wlaźł przez uchylone drzwi, mimo że je zamknęła, ale ponieważ nie miały zamka, wystarczyło po prostu nacisnąć klamkę, żeby dostać się do środka, a czasem po prostu uchylały się same. Były ciężkie, metalowe, gazoszczelne, choć gumowe uszczelki sparciały, ale mimo ciężaru i wieku chodziły lekko i cicho. Pewnie Sobczak albo Ropczycki uchylili je w nocy,

żeby dać jej coś do zrozumienia, bo przecież nie zrobił tego Rufus. Pogłaskała zwierzę po głowie, a ono przekreśliło ją, żeby ułatwić jej dostęp do tyłu ucha.

Nawet nie wiedziała, kiedy znowu zasnęła.

Kot czmychnął, kiedy Sobczak przyniósł jej śniadanie do łóżka. Widząc tacę w jego rękach, poczuła się przez chwilę jak świeżo upieczona żona, której małżonek przychyła nieba, póki jeszcze miłość jest świeża. Dopiero potem uświadomiła sobie, że dostaje posiłek jak do celi w więzieniu, w którym przecież była.

– Nie myśl, że to standard – poinformował ją Sobczak, natychmiast pozbawiając złudzeń i znów wzbudzając w niej przekonanie o jego paranormalnej zdolności czytania w myślach. – Od jutra to ty będziesz przygotowywać posiłki razem z Romkiem, na razie ostrożnie, póki nie zagoją ci się palce. – Spojrzał na jej dłonie pokaleczone siatką i podał tacę z jajecznicą, dwiema kromkami chleba z żółtym serem oraz herbatą w aluminiowym termosiku, a potem odsunął się o metr, jak gdyby chciał się jej lepiej przyjrzeć. – Być może dzięki temu kuchnia na Farmie nabierze rumieńców. Hmm... Dawno miałem na ciebie oko, wiesz? Od jakiegoś czasu chodziła za nami myśl, że czegoś na Farmie brakuje. A właściwie nie czegoś, tylko kogoś. Ciebie... Będziesz Mamą. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Zaraz poznasz Romka, ale najpierw oczywiście zjedz. To, co potem nastąpi, będzie swego rodzaju rytuałem. Może uświęcenie waszego związku to za dużo powiedziane, ale to, co się za chwilę stanie, będzie oznaką najwyższego zaufania, jakim obdarzy cię mój brat. Nie wąż się skrzywić, krzyknąć czy pokazać po sobie obrzydzenia, dobrze ci radzę. Wytrzymaj. Nie chcę dawać ci leków, bo Romek woli, żebyś była świadoma, a ja zawsze robię dla niego wszystko, o co poprosi. To nie jest miły widok, ale skoro macie żyć razem...

– Ty chory skurwysynu, czego wy od nas chcecie? – Taca zadrżała jej w rękach, przez chwilę Marta miała ochotę chwycić termos i chlusnąć Sobczakowi gorącym płynem prosto w twarz. – Zostawcie nas! Słyszysz! Zostawcie! Jedźcie sobie gdzie indziej, a najlepiej do piekła!

– Chyba jednak dam ci zastrzyk.

– Nie chcę! – krzyknęła i przytuliła tacę. – Nie chcę...

Wytarła łyzy jedną dłonią, drugą podtrzymując tacę ze śniadaniem. Była głodna jak cholera: strach i napięcie potrafią pozbawić energii szybciej niż wysiłek fizyczny. Żuła kolejne kęsy kanapki zrobionej z chleba nie



pierwszej świeżości, w jajecznicy chrupały drobiny skorupki, a herbata była tak mocna, jakby ktoś zrobił ją z kilku torebek. Nie dbała o to, tylko pochłaniała wszystko, jakby nie jadła od tygodnia. Sobczak czekał cierpliwie. Kiedy skończyła i zaczęła wycierać usta serwetką, zabrał od niej tacę.

– Zaraz wracam – powiedział. – Nie idź nigdzie.

– Gdzie miałabym iść? – mruknęła, ale Sobczak nie zareagował, tylko wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Przez chwilę korciło ją, żeby wstać i pójść za nim, albo chociaż wyjrzeć na korytarz i zobaczyć, dokąd poszedł, ale po krótkim namyśle stwierdziła, że nic to jej nie da. I tak miał zaraz wrócić, a ona nie miała jak uciec. Ucieczka w tym momencie byłaby głupotą, no i zostałyby Piotrek i reszta „ukrytych”. Poza tym, pomijając koszmarne niewyspanie, prawie nie miała sił. Musiała zagryźć zęby i przeczekać, aż będzie w stanie zrobić coś sensownego. Musiała uzbroić się w cierpliwość.

Sobczak wrócił, ale nie sam. Był z nim jego brat. Ropczycki wszedł za nim do pokoju, który Marta nazywała w myślach celą, i zamknął drzwi, co wzbudziło w niej niepokój. Podniosła się z łóżka i usiadła na jego krawędzi, spuszczać nogi na posadzkę, a dłońmi mocno chwyciła ramę pod materacem, zdecydowana nie dać się od niego oderwać za wszelką cenę. Łóżko było jak jej terytorium, gdzie mogła, a może tylko chciała czuć się w miarę bezpiecznie. Ale nawet ta ułuda bezpieczeństwa dawała jej jakiś komfort. Nieduży, ale zawsze.

Sobczak stanął pod ścianą z założonymi ramionami, a Ropczycki przed nią, na środku pokoju. Na środku celi. Patrząc jej prosto w twarz z tajemniczym uśmiechem błędzącym po wydatnych wargach, rozpiął guziki koszuli. Wszystko odbywało się w absolutnej ciszy, słyszała tylko swój własny, przyśpieszony oddech i łomot krwi w skroniach.

– Miło mi cię poznać, Marto, jestem Roman – powiedział i znów ogarnęło ją to koszmarne wrażenie, że słyszała ten głos już wcześniej, zanim jeszcze Ropczycki dopadł ją na korytarzu kliniki. – Romek. Dzieciaki już poznałaś, a ja jestem Tata.

Pomyślała, że przedstawia się nieporadnie, jak nieśmiały chłopak dziewczynie na wiejskiej potańcówce.

– Jesteś kobietą i masz potrzeby jak każda kobieta, ja to rozumiem. – Jego ruchy były powolne, jakby zastanawiał się nad każdym z osobna, ale pomyślała, że robi to złośliwie, bawiąc się jej strachem, a może jednak daje

sobie tylko więcej czasu na gadanie, od którego przechodziły ją ciarki. – Zobaczysz zaraz, że z pewnych względów nie jestem w stanie ich zaspokoić, ale nie martw się, jest mój brat. Przemek zastąpi mnie w tej roli. Jestem pewien, że będziesz zadowolona, jest chyba dość atrakcyjny. Razem będziemy tworzyć idealną rodzinę, będziemy się uzupełniać, wiesz? – Jego oczy błyszczały niezdrowym podnieceniem, a Marta poczuła, że robi się jej słabo.

Nie wiedziała jeszcze, o czym mówi, ale szykowała się na najgorsze i zastanawiała się, ile jest w stanie wytrzymać dla dobra Piotrka. Kiedyś jej koleżanka została zgwałcona. Kiedy otrząsnęła się z traumy, na tyle, na ile się da, by żyć dalej, opowiedziała Marcie o tym zdarzeniu, choć ona widziała wtedy, że wciąż kosztuje ją to mnóstwo emocji. Od fizycznych obrażeń, drobnych, ale dokuczliwych, gorsze było zbrukanie i odarcie z godności. Odebranie najintymniejszej rzeczy, na którą składało się to wszystko, co czyniło ją kobietą. I teraz Marcie ta rozmowa w palarni jej ówczesnego miejsca pracy, prowadzona cichym głosem z Anetą, stała żywo w pamięci, jakby odbyła się wczoraj, a nie dwa lata temu. Była teraz w innej sytuacji niż ona, ale to nie miało wpływu na głębokie przekonanie, że będzie się z tego bardzo długo podnosić.

Gdy Ropczycki zdjął koszulę, prawie westchnęła. Był pięknie wyrzeźbiony, jak grecki posąg, miał idealne proporcje ciała. Trójkątny tułów, szerokie barki, sześciopak na brzuchu, którego mógł mu pozazdrościć każdy facet spędzający na siłowni połowę życia. Bicepsy i mięśnie piersiowe jak u atlety, grające pod skórą przy najdrobniejszym ruchu. Odłożył koszulę na oparcie krzesła, starannie, poprawiając jeszcze rękawy, by zwisały równo. Marta zerknęła szybko w bok, sprawdzając, co robi Sobczak. Nie spuszczał z niej wzroku, dłonie wciąż wciśnięte były pod pachy, a w jego obojętnym na pozór spojrzeniu odczytała jednak jakiś sygnał. A może widziała to w lekko napiętej twarzy. Wróciła wzrokiem do Ropczyckiego, który sięgnął do zapięcia spodni i odruchowo zacisnęła uda. Kiedy je opuścił do kolan, mocniej chwyciła dłońmi ramę łóżka, a zęby jej aż zgrzytnęły. I wtedy jej uwagę zwróciła jedna rzecz. Slipy. W miejscu, w którym mężczyźni mają zwykle mniejsze lub większe wybrzuszenie, Ropczycki nie miał nic. Wyglądał tam jak kobieta o dość szerokim spojeniu łonowym. Marta wpatrywała się zaskoczona w jeden punkt, zapominając o reszcie.

Nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę, że Ropczycki jest osobą interplciową. Słyszała, że kiedyś w takich przypadkach to lekarze decydowali o płci dziecka, usuwając te narządy, które były mniej wykształcone, często niezgodnie z płcią, z którą później się identyfikowały jako dorośli. Była pewna tylko jednej rzeczy: w związku z tym najgorsze przypuszczenia dotyczące najbardziej drastycznej formy molestowania okazały się nietrafione. Nie miała pojęcia, jak to wpływało na jego postępowanie wobec dzieci, choć miała też niejasne przeczucie, że mimo wszystko trudno to będzie sobie wyobrazić. Pamiętała przecież Kena i rysunki Maksa. I wtedy Ropczycki zdjął również slipy, a ona, zdawszy sobie sprawę, jak bardzo się pomyliła, poczuła, że robi jej się słodko w ustach, krew odpływa z głowy, a obraz zaczyna się nagle obracać, kiedy zaczęła opadać na łóżko.

Mdlejąc, uświadomiła sobie, że nigdy stąd nie wyjdą: ani ona, ani Piotrek.

– Jesteś jedynaczką, prawda?

Sobczak patrzył na Martę uważnie, choć ona tego nie widziała. Siedziała przed nim ze zwieszoną głową. Byli już teraz sami. Sobczak ocucił ją, a kiedy już była w stanie ogarnąć, co się dzieje, zobaczyła, jak Ropczycki ubiera się niczym klient po stosunku z prostytutką i wychodzi bez słowa, wymieniając tylko po drodze porozumiewawcze spojrzenie z bratem. Nie była w stanie patrzeć w jego stronę dłużej niż ułamek sekundy.

– Tak. – Chlipnęła.

– Trudno ci będzie to pojąć...

– Co mu się stało? – zapytała cicho.

Przed oczami znów stanął jej koszmarny obraz; była pewna, że wrył się w jej pamięć nieusuwalnym piętnem, które będzie jej towarzyszyć do końca życia.

– Wypadek w dzieciństwie. Mieszkaliśmy na wsi, wtedy dzieciaki normalnie pomagały przy żniwach, wykopkach. Maszyny rolnicze bywają bardzo niebezpieczne, sporo było, i wciąż sporo jest wypadków, również wśród dzieci. Romkowi w czasie głupiej zabawy wciągnęło do sieczkarni ubranie, jak się domyślasz spodnie. A potem resztę. Romek ledwo przeżył, stracił mnóstwo krwi i oczywiście genitalia, lekarze robili, co mogli, ale niewiele mogli, choć uratowali mu życie. Jedna, krótka chwila nieuwagi. Głupia zabawa. Nieostrożny, nieprzemyślany ruch. I konsekwencje, które dotknęły wielu ludzi. Między innymi ciebie, nie ukrywajmy. Oraz kilkoro dzieciaków. Widzisz, konsekwencje wszystkich, naprawdę wszystkich zdarzeń zataczają kręgi, mniejsze lub większe. Są jak echo, które powoduje lawinę. To efekt motyla. To znany mechanizm, choć większość ludzi nie ma pojęcia, jak spektakularne czasem są efekty błahych zdarzeń, tak jak huragan, który według tej teorii może zostać wywołany na jednej półkuli Ziemi przez ruch skrzydeł motyla znajdującego się na tej drugiej. – Skrzywił lekko usta. – Być może w swoim otoczeniu masz jakieś rodzeństwa. Znasz ich, może nawet bardzo dobrze, potrafisz ocenić, jak ze sobą żyją. Różnie się te relacje układają, wiadomo, ale być może widziałaś

takie rodzeństwa, w których wszystko było idealnie. Jak u bliźniaków, to takie powszechne przekonanie, że oni myślą o tym samym w tym samym momencie i takie tam bzdurki. W rzeczywistości ta relacja jest o wiele głębsza, rozumiesz? To jest zupełnie inny poziom. Nigdy nie dowiesz się jaki. Nie będziesz w stanie tego zrozumieć, bo nie miałaś nigdy kogoś takiego. Kogoś, kto jest praktycznie tobą. Kogo kochasz jak siebie samego i dałabyś mu wszystko, tak jak on dałby tobie. Zwłaszcza kiedy macie praktycznie tylko siebie. – Sobczak pokręcił głową, jakby sam był zdumiony własnymi słowami. – Niewiarygodne. Wielokrotnie obserwowałem, jak brak prawidłowych, albo wręcz jakichkolwiek relacji z rodzicami wypaczał psychikę dzieci. Oczywiście, kiedy byliśmy z Romkiem mali, nie miałem o tym pojęcia, choć obaj podlegaliśmy takim samym prawom, jak te dzieci, które potem leczyłem. Czułem to podświadomie, mój brat też czuł i to, że mieliśmy siebie, pomagało nam wszystko ścierpieć. Bo musisz wiedzieć, że jesteśmy bardzo wrażliwymi ludźmi...

Marta przez krótką, ale koszmarną chwilę zapragnęła wybuchnąć śmiechem.

– To jest chore. – Zamiast śmiechem wybuchnęła płaczem. – To jest chore! Nie potrafię tak żyć, nie rozumiesz?

– To ty czegoś nie rozumiesz. – Sobczak patrzył na nią lekko zde gustowany. – To nie jest kwestia wyboru, bo nikt ci go nie daje. To kwestia akceptacji. Nie masz innego wyjścia, możesz tylko postępować tak, żeby wyciągnąć z tej sytuacji jak najwięcej dla siebie. Znaleźć jasne strony i cieszyć się nimi. Jedynymi twoimi obowiązkami będzie sprzątanie, gotowanie i to też niecodziennie, bo Romek świetnie to ogarnia. No i obowiązki małżeńskie. Przyzwyczaisz się – dodał, widząc jej spłoszone spojrzenie. – Mamy tu Netflixa. Nie będziesz miała dostępu do internetu, z oczywistych względów, ale poza tym wszystko, czego zapragniesz. Zobacz: niczego wam nie braknie, nikt nie będzie się śmiał z twojego syna, on nie będzie musiał szukać pracy, a pamiętaj; jaką pracę może dostać chłopak na wózku? Jakakolwiek by była, będzie uwłaczać jego godności!

– Co ty pieprzysz! – zaprotestowała. – Może zostać programistą, radiowcem, sportowcem, może robić wszystko! Może być każdym, kim zechce! Udowodnił to już!

– A może też być kasjerem w dyskoncie albo telemarketerem, prawda? Jesteś matką, chcesz dla niego jak najlepiej i to zaburza twój osąd. Nie

zdajesz sobie sprawy, że zawsze będzie funkcjonował w świecie zdrowych ludzi jako kaleka, i twoje myślenie życzeniowe niewiele tu zmieni. Co będzie, jak ciebie zabraknie? Pomyślałaś o tym? A tu ma braci, w dodatku takich, którzy doskonale wiedzą, co czuje...

Marta zamilkła. Mogła zrozumieć, albo chociaż próbować zrozumieć, że człowiek pokroju Ropczyckiego ma raczej ciasne horyzonty, ale u Sobczaka dziwiło ją to niepomiarne. Sobczak, bądź co bądź wykształcony człowiek, w dodatku funkcjonujący w realnym świecie, miał specyficzne zapatrywania na rzeczywistość. Pod siebie. Jakby specjalnie omijał wzrokiem niewygodne rzeczy, udając, że nie istnieją. Postanowiła nie komentować więcej jego wypowiedzi na żaden temat. Nie zamierzała pytać go, czy naprawdę sądzi, że Netflix załatwi sprawę. Dyskusja z szaleńcem nie miała po prostu sensu.

– Wiesz, jakie jest najokrutniejsze stworzenie na świecie? – zapytał ją cicho.

– Człowiek – odpowiedziała bez zastanowienia.

Przez chwilę chciała podać nawet dwa konkretne nazwiska, ale się powstrzymała.

– Zgadza się. – Sobczak pokiwał głową. – Człowiek, ale najbardziej okrutny jest mały człowiek. Dzieci bywają potworami. Nie mówię nawet o podpalaniu mrowisk, katowaniu szczeniaków i tym podobnych rzeczach, które robią czasem mali sadyści z nudów, z chęci zaimponowania kolegom czy z powodu własnych kompleksów albo choroby psychicznej, diagnozowanej zwykle dużo później. Mówię o znęcaniu się nad innymi dziećmi. To się dzieje z tych samych powodów, ale celem ataku nie jest zwierzę, tylko inne dziecko. Kiedy Roman wyszedł ze szpitala, był już zupełnie inny. Z radosnego, pełnego wiary w siebie chłopaka przewodzącego miejscowym dzieciakom zmienił się w cichego odludka. I to jeszcze nie byłoby najgorsze, bo miał mnie, choć układ był wcześniej inny: to on mnie bronił, bo był silny, a ja byłem kujonem. Miał mnie, ale ja nie byłem w stanie wiele zrobić. To właśnie dzieciaki ze szkoły zniszczyły w nim tego wesołka, tego silnego chłopaka, którym był. Pozostał silny fizycznie, ale do prawdziwej siły potrzeba jeszcze tego... – Popukał się w głowę. – Nie masz pojęcia, co dzieje się tu u dzieciaka w jego sytuacji. Kiedy inne chłopaki, i nie tylko chłopaki, bo dziewczynki też na przerwie przychodzą do jego klasy, żeby popatrzeć na dziwoląga. Wysztychać go, wytykać palcami. Nawet kiedy dyrektor szkoły zagroził najgorliwszym

z nich konsekwencjami, z przeniesieniem do innej szkoły włącznie, a najbliższa szkoła była dopiero w mieście, trzydzieści kilometrów dalej, nawet to ich nie powstrzymało przed zaczepkami na korytarzu, albo na wsi, po lekcjach. „Pokaż cipkę” było najłagodniejsze, wiesz?

Marta patrzyła na twarz Sobczaka. Była jak maska, nieruchoma i sztywna jak twarz woskowej lalki z gałkami ocznymi z akrylu wpatrzonymi w jeden punkt.

– Nic nie mogłem zrobić. Wymoczek w okularach nie postawi się bandzie chuliganów. Zrobiłem to ze trzy razy, kiedy zostałem doprowadzony do ostateczności. Dostałem wpierdol, a Romek nic nie zrobił, żeby mnie obronić. Po prostu stał i płakał, kiedy obrywałem na jego oczach. A potem szliśmy do domu, do stodoły, zakopywaliśmy się w sianie i marzyliśmy o tym, że kiedyś zdobędziemy świat. Że jeszcze pokażemy tym gnojkom. Wyrwiemy się z tej zapyziałej wsi, odniesiemy sukces, a oni będą brodzić w gnojowicy tak jak ich rodzice i rodzice ich rodziców, i nosa poza najbliższe miasto nie wytkną. Pocieszaliśmy się tak, potem wracaliśmy do tej szkoły, ale w pewnym momencie Romek nie dał już rady. Rzucił ją po ósmej klasie. Nie jest tytanem intelektu: choć kocham go jak siebie samego, jestem świadomy jego ograniczeń. Od dawna byłem, zresztą on też. I dlatego przysięgłem sobie i jemu pewną rzecz. To już nie było marzenie, tylko przysięga. Przysięgłem, że odniosę sukces, również finansowy, i zapewnię mu wszystko, czego będzie chciał. Wszystko, rozumiesz? I jakiś czas temu poprosił mnie o dom. Nie budynek, tylko prawdziwy dom, z rodziną w środku. I ja mu ten dom dałem. Zaczął nowe życie w Orłowicach. Z Maksymem nie wyszło, obcowanie na co dzień z autystycznym dzieckiem jest bardzo uciążliwe. Romek nie wytrzymał napięcia i uwolnił go, zacierając przy okazji ślady. Zrobił to bez konsultacji ze mną, dałoby się to przecież załatwić w mniej spektakularny sposób, ale stało się. Przenieśliśmy się tutaj, przemyśleliśmy sprawę i sama masz okazję się przekonać, jaki jest efekt.

– Tragedię tych dzieci nazywasz „efektem”?

– Tłumaczyłem ci, prawda? Wciąż jesteś nieobiektywna, ale kiedy pomieszkasz tutaj, zobaczysz, że to ma sens. Że pomimo drobnych niedogodności wzajemne relacje, rodzinne relacje, czynią z tego miejsca prawdziwy dom. – Jego wzrok wyostrzył się nagle. – Musisz podjąć decyzję i będziesz miała na to szansę tylko raz. Proszę cię o deklarację, czy dasz radę funkcjonować na Farmie bez wspomagania farmakologią. Czy nie

będziesz podejmować prób ucieczki, a uwierz mi, stąd naprawdę trudno się wydostać. Czy nie będziesz krnąbrna. Czy nie będziesz nastawiać dzieciaków przeciwko Romkowi. Czy będziesz posłusznie wykonywać to, o co zostaniesz poproszona. Daję ci teraz ostatnią szansę. I potraktuj to absolutnie poważnie, bo nie będzie następnej. Jeśli powiesz, że się zgadzasz, ale zawiedziesz, zmienię cię w zombie, rozumiesz? Lekami. Chyba oboje wiemy, że tego nie chcesz, prawda?

Marta zamknęła oczy. Zacisnęła powieki z całych sił i to był błąd, bo każde zamknięcie powiek dłuższe niż zwykłe mrugnięcie powodowało, że natychmiast pojawiał się pod nimi ten obraz. Kontrast między pięknie wyrzeźbionym torsem Ropczyckiego, a poharatany, pokrytym ciemnymi bliznami i pozbawionym genitaliów łonem z wyłonioną cewką moczową potęgował koszarne wrażenie. Płatanina bliznowców przypominająca rozrzucony byle jak stosik chrustu była przerażająca. Maks Trzeciak musiał to widzieć i właśnie to pozostawiło w jego głowie trwałe ślad, któremu dawał wyraz w rysunkach i w zabawie lalką. I dzieci, ukryte dzieci, i jej dziecko... Też musiały to widzieć.

Postanowiła uderzyć ostatni raz. Miętko. Może to był sposób: nie stawianie się okoniem, tylko łagodna perswazja, którą przecież Sobczak sam wielokrotnie stosował.

– Jesteś inteligentnym i wykształconym człowiekiem – powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał miękko i przekonująco. – W dodatku lekarzem. Składałeś przysięgę Hipokratesa. Przysięgałeś chronić ludzkie życie. Przecież mógłbyś pomóc bratu, masz umiejętności, doświadczenie... Czemu mu pomagasz w zły sposób? Co jest grane? O co tu chodzi?

– O odpowiedzialność. I o zadośćuczynienie.

– Co to ma do rzeczy?

Sobczak uśmiechnął się smutno i po raz pierwszy poczuła, że pokazał prawdziwą emocję.

– Tamtego dnia bawiliśmy się razem z kilkoma chłopakami – powiedział to tonem takim samym jak ten uśmiech. – Ale to ja przypadkiem popchnąłem go na sieczkarnię.



Trzecia kreska. Marta wskrobała ją na cegle tuż nad ramą łóżka, u jego wezgłowa, zastanawiając się, ile jeszcze ich tu postawi. Porwali ją w piątek, całą sobotę, aż do wieczora, kiedy spotkała się z Piotrkim pierwszy raz, była nieprzytomna, potem niedziela pełna wrażeń i dziś, poniedziałek, który nie wiadomo co przyniesie, ale na pewno nic dobrego. Sobczak nie pojawił się, odkąd wstała, i to ją zastanawiało. Nikt też nie pojawił się w drzwiach ze śniadaniem ani nie kazał jej wstawać. Nie miała oczywiście pojęcia, która może być godzina, więc przebrała się szybko, na wszelki wypadek pod kocem, i wstała. Korytarz był pusty, ale skądś dochodziło gadanie Maćka. On jeden wyglądał na szczęśliwego i tego też nie mogła wybaczyć Sobczakowi. Ani Ropczykiemu. Kiedy weszła do dużej sali, zobaczyła, że wszyscy siedzą przy stole. Na środku stał koszyk z pokrojonym chlebem i wielki półmisek jajeczniczy, z której sterczał trzonek łyżki.

– Dzień dobry, Marto. – Ropczycki na jej widok uśmiechnął się tak szeroko, jakby była żoną, która właśnie wróciła z długiej delegacji. – Miło, że wstałaś. Siadaj z nami. Smacznego.

Odmruknęła coś i ze spuszczoną głową usiadła na wolnym miejscu, a potem spojrzała na Piotrka, który wpatrywał się w nią w napięciu. Kiedy spotkali się wzrokiem, mrugnął do niej wesoło i wtedy zorientowała się, że musi zachowywać się normalnie. Nie, nie normalnie, bo tu nic nie było normalne, ale musi przynajmniej udawać. Grać jak najlepiej.

– Gdzie... – Marta nie wiedziała, jak określić Sobczaka. – Twój brat?

– Nie przejmuj się moim bratem. Żyjesz teraz tutaj i tym się przejmuj, a nie Przemkiem. – Ropczycki opłukał ręce w zlewie i sięgnął po ręcznik wiszący nad kranem.

– Nie jestem zachwycona warunkami, szczerze mówiąc – rzuciła prowokująco, chcąc go wybadać.

Sięgnęła po jajecznicę i nałożyła sobie trochę. Jego milczenie utwierdziło ją w przekonaniu, że ma nad nim lekką przewagę, z której najprawdopodobniej nie zdawał sobie sprawy. Ale musiała być rozważna.

Nie mogła pokazać pazurów, musiała działać z wyczuciem. Powoli, ale systematycznie.

– Macie tu podpaski? – zapytała. – Środki higieniczne dla kobiet? Mój specjalny szampon?

– Wszystko będzie – odparł, patrząc jej w oczy, choć spod brwi.

Stał już przy stole, po przeciwnej stronie i chyba czekał, aż Sebastian skończy jeść.

– Mam nadzieję – mruknęła.

Wydawało jej się, że Ropczycki nie ma śmiałości do kobiet. To, co zrobił wczoraj – pokazał jej swoją największą tajemnicę – mogło świadczyć, że jest wręcz przeciwnie, ale zdawała sobie sprawę, że facet jest ostro zaburzony i żyje w swoim świecie, w którym nie wszystko jest normalne.

– Trochę nie podoba mi się twój ton, Marto. – Ropczycki zabrał Sebastianowi pusty talerz i odszedł w kierunku zlewu, nie patrząc już na nią.

Chłopak niespokojnie kręcił głową, jakby łowił dźwięki. Powieki zaciskały się, jakby miał tik, oczy zwracały się co chwila w innym kierunku, a ona pomyślała, że zbyt szybko poczuła się pewnie.

– Tata zawsze mówi, że jak będziemy niegrzeczni, to też wsadzi nam siusiaka do maszyny i będziemy tak wyglądać jak on – powiedział nagle Maciek. – Ale ty nie masz siusiaka, bo jesteś dziewczyną, więc nie musisz się martwić.

Ropczycki odwrócił się od zlewu i popatrzył na nią bez wyrazu.

– Mama też będzie grzeczna i miła, mimo że nie ma siusiaka, prawda, Marto?

Jajecznicę spuchła Marcie w ustach. Z trudem ją przełknęła i zerknęła na Piotrka, który niedostrzegalnie skinął głową, a potem wbił spojrzenie w swój talerz.

– Tak. – Obliznęła usta i wytarła jej chusteczką. – Będę grzeczna i miła...

Przemogła się, żeby zjeść jeszcze trochę jajecznicę, bo była głodna jak wilk. Kiedy wszyscy skończyli, pogadała chwilę z chłopcami, usiłując mówić i zachowywać się normalnie. Tylko Piotrek milczał, ale widziała, że obserwuje ją i w tym jego spojrzeniu wyczytała ulgę. Wypytywała Vincenta, na którego reszta mówiła „Vini”, Sebastiana i Maćka o różne rzeczy, usiłując stworzyć sobie obraz zniszczeń, jakie wywołali bracia w umysłach tych dzieci. Wiedziała po sobie, że rozłąka z rodzicami w trudnym okresie dojrzewania, lub niedługo przed nim, może wywołać

katastrofalne skutki w późniejszych relacjach nie tylko z nimi, ale i z innymi ludźmi, przede wszystkim tymi, którzy staną się nową rodziną. Partnerami i własnymi dziećmi. Maciuś nie pamiętał praktycznie swojego ojca i matki, ale Marta nie zagłębiała się w temat, widząc ostrzegawcze spojrzenie Piotrka, który stał się jej przewodnikiem, dając jej do zrozumienia, jakie kwestie może poruszać, a jakich lepiej nie. Vincent podchodził do tematu Farmy dość obojętnie, a Marta, mając w pamięci słowa Marka o jego słabych relacjach z własnymi rodzicami, doszła do wniosku, że może to w jakiś sposób pomaga mu znosić lepiej swój los. Ulubionym tematem Viniego były gry, głównie strzelanki i pościgi samochodowe. Seba słuchał tylko audiobooków i muzyki, lubił też kreskówki, choć z oczywistych względów tylko ich słuchał. Jego umysł chyba najmniej nasiąknął Farmą, a przynajmniej takie odniosła wrażenie, chłopiec był też dość wycofany w porównaniu z pozostałymi. Marta nie była psychologiem, ale pod koniec śniadania była już przekonana, że chłopcy odnoszą się do niej raczej obojętnie, po prostu ją tolerując. Myślała z początku, że jej przybycie wzbudzi w nich jakąś ciekawość, ale nie. Żyli tylko jednym i wyglądało na to, że nie mogą doczekać się końca śniadania z jednego powodu. Żeby móc wrócić do swoich spraw. Ropczycki, czy raczej Sobczak, a zapewne jednak obaj, stworzyli idealną metodę wychowawczą dopasowaną do warunków bytowych i możliwości rodzicielskich Ropczyckiego. Wychowali sobie posłuszne zwierzątka, które niewiele chcą i którym wystarcza zaspokojenie tych najbardziej istotnych w tym wieku potrzeb.

Marta nie poruszała jednego tematu i sama myśl o tym, że będzie musiała o to zapytać, napawała ją przerażeniem. Pudło. O to postanowiła zapytać później syna.

Kiedy wreszcie mogła się z nim spotkać, usiadła na jego łóżku, tuż obok niego. Czuła na sobie bezduszne spojrzenie obiektywu kamery i już miała otworzyć usta, kiedy przyszło jej do głowy, czy oprócz kamer, są też mikrofony. Uznała, że to mało prawdopodobne, choć pewności nigdy nie mogła mieć.

– Piotrek, o czym mówił Maciek? – zapytała na wszelki wypadek szeptem, czując, jak robi się jej gorąco.

Jej syn milczał.

– Romek ma... – Urwał, uciekając spłoszonym spojrzeniem w bok.

– On nie ma – poprawiła go. – I mów ciszej.

– Skąd wiesz, że nie ma?

– Pokazał mi. To wygląda przerażająco.

– To, o czym mówił Maciek, to kara. On nie bije, wiesz? Czasem podnosi głos, ale nie stawia do kąta, nie ogranicza kreskówek, nie zabiera gier. Kiedy się wkurzy na kogoś z tych małych, zabiera go do Pudła.

– Co to jest Pudło?

– Mały pokoik na końcu schronu. Tam gdzie kończy się światło w korytarzu. Nic w nim nie ma, z wyjątkiem jakiejś maszyny, nawet nie wiem, co to jest. Ma jakieś koło i takie jakby noże. I on... Rozbiera się i każe dotykać tych blizn. – Przełknął ślinę. – I mówi temu dzieciakowi, że jak jeszcze raz będzie niegrzeczny, to zrobi mu to samo. Urwie siusiaka maszyną.

– Jezuu... – wyszeptała Marta.

Zobaczyła, jak podbródek Piotrka zaczyna drzeć, a w jego oczach błyszczą łzy.

– Synku... – Pochyliła się nad nim i przytuliła go.

Piotrek ogarnął się po chwili, choć kąciki oczu zostały wilgotne.

– Vincent był w Pudle już kilka razy. – Pociągnął nosem i potarł go. – Powiedział mi, że najgorsza wcale nie jest ta maszyna, bo już przestał wierzyć, że on to faktycznie zrobi. Bo nie robi. Najgorsze jest dotykanie tego... Ja zwymiotowałem, kiedy zobaczyłem to pierwszy raz. I on też wie, że właśnie to jest najgorsze. Patrzenie i dotykanie. Do tego nie można się przyzwyczaić...

Milczeli przez dłuższą chwilę. Marta nie znajdowała po prostu słów pocieszenia. Żadnych. W końcu nabrała głęboko powietrza i poprawiła się na łóżku.

– Opowiedz mi o tym miejscu – poprosiła Piotrka. – Powiedz dokładnie, jak tu żyjecie. Muszę to wiedzieć jak najszybciej.

– Chcesz tu zostać?

– Zwariowałeś? Uciekamy, jak tylko trafi się okazja! Ty już raz dałeś radę...

Piotrek parsknął.

– Co z tego, jak mnie dorwał? Prawie zabił tego faceta, który znalazł mnie na drodze, na szczęście zdążył odjechać. Niczego więcej nie pamiętam...

Marta uciekła wzrokiem w bok. Uznała, że informowanie syna, że przez głupi przypadek ojciec Maćka wydał jego niedoszłego wybawcę w ręce

oprawców, a przede wszystkim powiedzenie mu o śmierci Stróżyka jest niepotrzebne. I tak Piotrek miał za dużo stresów.

– Ale próbowałaś, i to się liczy. Następny raz będzie skuteczny, obiecuję.  
– Uśmiechnęła się pocieszająco do syna. – Zrobimy to razem.

Też się uśmiechnął, i to szeroko. A potem złożył ręce na podołku i zgarbił się lekko w wózku.

– Już wiesz, że oni nazywają to miejsce Farmą. – Westchnął, nie patrząc na nią. – Nie wiemy dlaczego, ale to nieważne. To jakieś schrony, pewnie ponemieckie. Sama czujesz ten smród stęchlizny. Są bardzo ostrożni. Sobczak przyjeżdża tu co siedem dni, więc pewnie to jest niedziela. Robi nam badanie lekarskie, waży nas, robi jakieś zastrzyki. Przez resztę dni Tata, czyli Romek, jest z nami sam. Gotuje nam, trochę monotannie, ale zjadliwie. Mamy dyżury w zmywalni, wszyscy oprócz Sebastiana, który jest...

– Wiem. – Przerwała mu.

– Skąd wiesz? – zapytał z zaskoczeniem.

Opowiedziała mu pokrótce o Bielawskim, o Najderze, o śledztwie, nawet o jasnowidzu z Chełmży, nie wspominając jednak o sytuacji ze Stróżykiem.

– Coś nieprawdopodobnego – wyszeptał. – I wierzyłaś, że żyję...

Opuściła głowę.

– Miałam momenty zwątpienia, wiesz? – Patrzyła na swoje dłonie, splatając z zakłopotania palce. – Uważałam, że muszę pogodzić się z pewnymi rzeczami, a potem Marek, ojciec Maciusia, znów wlewał mi w serce nadzieję. On nigdy nie miał wątpliwości. Walczył o was jak lew. – Spojrzała na syna. – Opowiadaj dalej.

– Oni są tu już bardzo długo. Gadamy czasem, ale wiesz, Maciuś ma downa, Seba prawie nie widzi, a Vincent jest trochę dziwny, i nie mówię o garbie, ale przede wszystkim chodzi mi o to, że to jeszcze dzieciaki. Romek jest z nami praktycznie cały czas i to jest wkur... – Urwał.

– Zdaję sobie sprawę. – Uśmiechnęła się.

– Czasem znika u siebie na parę godzin, wychodzi taki jakiś wesolutki i nie wiem, czy on tam sobie coś dziabie, jakąś małpkę, czy wciąga, czy wkłwa. A może ma jakieś proszki od braciszka...

Marta była zaskoczona słowami syna. Nie szczegółami jego opowieści, bo tu nie zdziwi ją już chyba nic, ale tym, jak opowiadał o sprawach, o których młodzież w jego wieku nie powinna mieć pojęcia. Albo ona się

zestarzała, albo Piotrek tak dojrzał w ciągu kilku tygodni. Dojrzał niekoniecznie tak, jakby sobie tego życzyła.

I to drugie było niestety dużo bardziej prawdopodobne.

– Mamy tu wszystko do zabawy oprócz internetu. Najnowsze gry, sprzęt, słuchawki, wszystko najlepsze. Praktycznie ciągle gramy albo oglądamy filmy, ja trochę czytam, bo są też książki. Głównie fantastyka i komiksy. To jest trochę chore, ale gdyby wziąć większość dzieciaków i powiedzieć im, słuchaj ziom, olej chatę i starych, jedź na Farmę, nie będzie szkoły, będziesz tylko gierzył i gapił się w tivi, to oni... Oni by tu chętnie przyjechali, rozumiesz? I zostali cholera wie jak długo!

– A Pudło? – Marta zmarszczyła brwi.

– I to jest właśnie ta chora część... – Pokiwał smętnie głową. – Ale znam paru, którzy chcieliby tu przyjechać nawet pomimo to. Popieprzone to wszystko... Poza tym dużo śpimy, wszyscy są często senni i to chyba wina tych leków, które nam dają. Teraz to się trochę zmieni, przynajmniej tak zapowiedział mi Sobczak. Będą nas mniej faszerować.

– To właśnie jest nasza szansa, Piotrek. – Pochyliła się w jego stronę. – To jest nasza pieprzona szansa. Jak wygląda rozkład pomieszczeń?

Piotrek wzruszył ramionami.

– Jeden długi korytarz i mnóstwo pokoików, takich jak ten. Plus ta duża sala, gdzie jemy, gramy i oglądamy telewizję. Ten główny korytarz jest bardzo długi, w pewnym momencie urywa się oświetlenie i dalej nie da się iść. To znaczy ja tam nie wjadę wózkami, Seba oczywiście odpada, Maciuś się boi ciemności, tylko Vini raz tam był...

– I co?

– I nic. Wylądował w Pudle, bo go Romek przyłapał. Potem mówił, że nic tam dalej nie ma, tylko zawalony strop. Nie da się przejść. Tu jest tylko jedno wyjście, mam. Tak to chyba wygląda. Słabo.

Marta zagryzła usta.

– Nieważne, jak to wygląda, synku, nie możemy się poddać, wiesz? I nie poddamy się. Nigdy...

– Ty zobacz, jaki merol w krzakach stoi. Pięćsetka!

Dwóch młodych mężczyzn szło przez park Chopina od strony ulicy Wiosny Ludów w kierunku osiedla Arkońskiego. Był niedzielny wieczór, niebo na zachodzie złościło ostatnie promienie słońca, a biały mercedes zaparkowany przy drodze, w miejscu gdzie uliczka Doktora Judyma przechodziła w parkową ścieżkę, od razu zwrócił ich uwagę. Podeszli do niego z ciekawością i zajrzeli do środka przez szybę, zbliżając do niej twarze. Nagle szyba zaczęła się opuszczać i zobaczyli siedzącego za kierownicę mężczyznę, który spojrzał na nich wzrokiem bez wyrazu i zapytał chrapliwie:

– Jakiś problem?

– N-nie... – odparł niepewnie ten niższy.

Drugi wyprostował się i cofnął, a jego wzrok stwardniał.

– Zainteresować się nie można? – zapytał z zaczepką w głosie.

– Można. – Bielawski pokiwał głową. – Pewnie, że można. Uprzejmie dziękuję za zainteresowanie. Czy już zaspokoilem twoją ciekawość?

Chłopak zeszywniał lekko.

– Masz jakiś problem? – Zmrużył oczy i Bielawski wiedział już, że trafił na kogucika, ale nie miał ani nastroju, ani czasu na słowne utarczki, ani na udowadnianie niczego i nikomu.

Odchylił połą kurtki, pokazując kaburę z wystającym z niej glockiem i wzdychając.

– A ty chcesz zaraz mieć? – Uniesione ręce chłopka opadły. – No, właśnie. To spierdalajcie.

Popatrzył, jak odchodzą, pozornie spokojnie, ale widać było, że nogi aż rwą im się do biegu. Bielawski westchnął i poprawił się na siedzeniu.

Był nieogolony i nie mył się od dwóch dni, tkwił w aucie jak kołek, warując pod kliniką Sobczaka w oczekiwaniu na jego przyjazd. Pracownik dowoził mu jedzenie, a on nie ruszał się stąd na krok, załatwiając potrzeby fizjologiczne w krzakach albo za wejściem do poniemieckiego schronu sterczącym z niewielkiej skarpy na skraju drogi. Był zarośnięty, brudny,

śmierdzący i zdesperowany. Krótkie drzemki, w jakie zapadał w nocy, wybudzany chłodem i dręczącym go niepokojem o Martę, nie wystarczały. Czuł ogromne zmęczenie, ale musiał wytrwać. Najder miał rację, Sobczak musiał tu wrócić. Liczył na to, że Marta niczego mu nie powiedziała i lekarz nie ma pojęcia, że dowiedzieli się o jego związku z porwaniem Maksia dwa lata temu. A nawet jeśli miał pojęcie, to zapewne we własnym przekonaniu nie musiał się jeszcze niczego obawiać, bo Bielawski wiedział, że na tym etapie jeszcze niczego nie da się udowodnić. Ale on nie miał już czasu. I było jednak coś, czego Sobczak mógł się obawiać, choć jeszcze o tym nie wiedział.

Tym czymś, a właściwie kimś, był Marek Bielawski.

Zdesperowany ojciec porwanego syna.

I zakochany mężczyzna.

Nadszedł kolejny obezwładniający napad senności i Bielawski poczuł, że znów odlatuje, kiedy nagle w perspektywie uliczki zobaczył światła jakiegoś samochodu. Osunął się w fotelu i znad dolnej krawędzi szyby obserwował, jak pod budynek zajeżdża biały volkswagen passat. Samochód zatrzymał się tuż pod wejściem, a kiedy Bielawski zobaczył, kto z niego wysiada, jego serce zabiło szybciej.

Wbrew pozorom i temu, co sądzili o nim ludzie, nie był człowiekiem bez emocji, bezdusznym i zimnym sukinsynem. Emocje i uczucia buzowały w nim tak samo jak w innych, tylko po nim nie było tego widać, bo nigdy nie dawał tego po sobie poznać. Teraz czuł, że jest na skraju i tylko lata treningów, mocna konstrukcja psychiczna i skłonność do postępowania zawsze według planu trzymały go w ryzach.

Wypadł z samochodu i biegiem rzucił się w stronę Sobczaka, który zamyślony, ze spuszczoną głową szedł w kierunku wejścia. Dopadł go przy drzwiach, objął od tyłu za szyję i wcisnął lufę pistoletu w bok.

– Gdzie moje dziecko? – wydyszał mu do ucha.

W kącikach ust zebrały się bąbelki śliny, a słowa przeciskały się razem z nią przez zaciśnięte zęby.

– Gdzie reszta chłopców? – warczał z ledwo hamowaną wściekłością. – Wyśpiewasz wszystko, skurwielu. Idziemy do ciebie, na górę. Tylko piśnij ochroniarzowi, a twój mózg będą ścierać ze ścian. Dawaj. – Dźgnął Sobczaka lufą pistoletu w plecy. – I morda w kubek.

Po raz pierwszy od dziesiątek lat miał wrażenie, że przestaje panować i nad sobą, i nad sytuacją, choć na razie wyglądało na to, że jednak tę



kontrolę ma. Wskazywał na to wzrok Sobczaka: szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego z przerażeniem ofiary patrzącej w oczy drapieżnikowi.

– O co panu...?

– O gównu! Już ty dobrze wiesz o co. Otwieraj.

Pozwolił Sobczakowi wyjąć klucze i otworzyć drzwi.

– Bez numerów – ostrzegł go.

W holu za biurkiem drzemał ochroniarz. Siedział rozparty na krześle, z rękami założonymi na piersi i posapywał cicho, i dopiero kiedy drzwi zamknęły się z trzaskiem zamka, ocknął się. Powiódł ledwo przytomnym wzrokiem dookoła i zauważył Sobczaka i Bielawskiego.

– Panie doktorze, to właśnie ten człowiek włamał się w piątek do...

– Wszystko załatwimy z panem doktorem, prawda? – Bielawski ukrył broń za Sobczakiem i uśmiechnął się z przymusem, mocniej dociskając lufę do jego boku.

Górował nad nim wzrostem, patrzył teraz na ochroniarza znad jego głowy.

– Tak, panie Staszku, dziękuję. Wszystko gra. – Sobczak pomachał mu i spokojnym krokiem skierował się do windy.

Bielawski był wciąż tuż za nim i to on wcisnął dwójkę. Drzwi otworzyły się natychmiast, weszli do kabiny i wjechali w milczeniu na górę, chwilę później, również w całkowitej ciszy, Sobczak otworzył drzwi do swojego gabinetu. Bielawski wepchnął go do środka i zamknął je za sobą, zapalił światło, które zalało pomieszczenie białym blaskiem.

– Siadaj! – Wskazał Sobczakowi lufą pistoletu jego miejsce za biurkiem, a sam usiadł naprzeciwko.

Wymierzył w lekarza i zapytał:

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Sobczak wziął do ręki leżący na blacie długopis i wcisnął końcówkę z cichym pstryknięciem.

Bielawski widział, że jest zdenerwowany i to dawało mu nadzieję na uzyskanie tego, po co tu przyjechał. Po odpowiedzi na pytania, nie tylko to o Martę.

– Wiesz, o czym mówię – warknął. – O kim. Najpierw Marta Sygit. Była tu w piątek po południu.

– Owszem, była.

– Co z nią zrobiłeś?

– Nic. – Sobczak wzruszył ramionami, nie patrząc Bielawskiemu w oczy, tylko skupiając wzrok na długopisie. – Po sesji poszła do domu.

– Po jakiej sesji?

– Przeszła pierwszą sesję psychoterapii, którą jej zaproponowałem. Była bardzo zadowolona, umówiliśmy się na kolejną, w tym tygodniu. – Lekarz nagle jakby trochę się rozluźnił.

– Pierdolisz!

– Jesteśmy u mnie i nie życzę sobie takiego zachowania. Ani takiego języka.

Bielawski zmrużył oczy, lufa lekko drgnęła. Sobczak zaczynał podskakiwać, trzeba było go trochę przygasić.

– Orłowice. – Rzucił i to było jak szczeknięcie. – Maksiu Trzeciak.

Ponownie wzruszenie ramion i znów pstryknięcie długopisu, które zaczynało powoli Bielawskiego denerwować.

– Nie wiem wciąż, o czym pan mówi. – Sobczak przekręcił lekko głowę i zmrużył oczy, jakby właśnie zabierał się do badania wyjątkowo interesującego przypadku.

– Powiedz jeszcze raz, że nie wiesz, o czym mówię, to użyję tego. – Bielawski pomachał bronią. – Tylko powiedz to jeszcze raz...

– Czy pan coś brał, panie Marku? – Sobczak oblizał usta koniuszkiem języka. – Czy właśnie czegoś pan zapomniał wziąć?

– Roman Ropczycki. Twój brat. Aniela Sobczak. Twoja matka. Przemysław Sobczak. Ty. Co za, kurwa, przypadek, no...

– Nie wiedziałem, że przeszliśmy na „ty”.

– Bo nie przeszliśmy.

Sobczak wygiął usta w wyrazie niesmaku.

– Nie podoba mi się grzebanie w moich prywatnych sprawach – prychnął. – A z moim bratem nie miałem kontaktu od ponad piętnastu lat, więc...

– Ale to ci nie przeszkadzało podszywać się pod niego w Orłowicach, co?

– Bielawski parsknął śmiechem i pokręcił głową. – Niezły jesteś. Miałeś kamienną twarz, kiedy prosiłem cię, żebyś pojechał ze mną i pomógł mi w kontakcie z tym dzieckiem. „Mam wszystko zaplanowane jak w szwajcarskim zegarku, panie Marku...” Gównno! Nie chciałeś jechać, bo bałeś się, że mały może cię rozpoznać.

Usta Sobczaka powoli rozciągały się w uśmiechu. Znów wcisnął długopis.

– Podszywałem się pod mojego brata? – zapytał z rozbawieniem. – To są efekty twojego śledztwa?

– Owszem. – Palce Bielawskiego zaciśnięte na kolbie poruszyły się, kiedy poprawiał chwyt. – Właśnie takie są efekty. A Najder wywęszy resztę, tego możesz być pewien. Jesteś skończony. Możesz sobie pomóc tylko w jeden sposób. Mówiąc, gdzie ich ukryłeś.

Sobczak powoli pokiwał głową, jakby przyznawał mu rację, a potem wbił wzrok w wylot lufy: czarny, okrągły otwór dokładnie naprzeciw niego, na wysokości oczu.

– Powiedz, jaki masz plan? – Popatrzył Bielawskiemu prosto w oczy. – W zasadzie nawet nie pytam o plan, tylko o to, jak się kończy? Naprawdę myślałeś, że przyznam ci się do czegoś? Potwierdzę twoje chore wymysły? A może twój plan faktycznie kończy się moją śmiercią, co? Zemstą z urojenia? Liczysz się z tym? Czy wyciągając broń, liczyłeś się z tym, że możesz zabić człowieka? Czy jesteś na to gotowy? Powiedz mi: jesteś?

– Nie próbuj ze mną tych sekciarskich sztuczek – warknął Bielawski. – Zęby zjadłem na takich jak ty cwaniaczkach. Nie masz pojęcia, na co mnie stać, a na co nie.

– Ty też nie masz. – Wzrok Sobczaka znów skierowany był na pistolet, który opadł nagle na chwilę i stuknął o blat, ale zaraz wrócił na swoją pozycję, dźwignięty ręką Bielawskiego.

Sobczak znów kliknął długopisem.

– Ile? – Bielawski oblizał usta, nie spuszczać lekarza z celu.

– Co: ile?

– Ile chcesz? Pół miliona? Milion? Dam ci milion i tydzień na zniknięcie, tylko oddaj mi dziecko. Chcesz, żebym cię błagał na kolanach? Żebym się czołgał? Tak? Tego chcesz?

– Nie jesteś głupi. – Sobczak pokręcił ze zdumieniem głową. – Nie jesteś głupi, ale bardzo zdesperowany i chyba przyzwyczajony do tego, że za pieniądze możesz dostać wszystko. Otóż nie możesz, ale to, że o tym nie wiesz, to nie efekt desperacji. Jesteś spaczony swoim sposobem pojmowania wielu spraw. To dlatego nie dociera do ciebie, że czasem możesz się mylić. Że prawda może wyglądać inaczej. Może powinienem ci po prostu podziękować za odnalezienie brata?

Bielawski nie wierzył własnym uszom. Lekarz patrzył mu prosto w oczy i biznesmen przysięgłby, że na jego ustach błądzi niedostrzegalny uśmiezek.

– Ty skurwysynu – wyszeptał, czując, jak ogarnia go furia, a równocześnie jakieś dziwne osłabienie, jak w trakcie ciężkiej grypy. – Bezczelny, kłamliwy skurwysynu. Nie wierzę ci. W ani jedno słowo. To ty. Ty za tym stoisz! Zdejmuj spodnie! Zdej...

Ręka z pistoletem znów opadła na blat i już tam została. Za nią opadło ramię, a chwilę później Bielawski oklapł na krzesło, jak ktoś śmiertelnie zmęczony. Nawet furia, którą poczuł przed chwilą, minęła błyskawicznie; dosłownie zgasła, jakby ktoś nagle odciął prąd.

– Chce ci się spać, co? – Sobczak wstał i pokręcił głową. – Praktycznie nie możesz się ruszać, a uniesienie broni przerasta teraz twoje fizyczne możliwości. Zastanawiasz się pewnie, jak to się stało? To powiem ci jak. Cóż, pewnie nie wiesz, że jedni ludzie są bardzo podatni na hipnozę, inni w ogóle. Podejrzewam, że należysz do tej drugiej grupy, choć mógłbym się zdziwić, jak w przypadku pani Sygit, ale nie zamierzam tego sprawdzać. Nie ma to w tej chwili sensu. Czasu na eksperymenty też nie. Eksperymenty zrobiłem już dawno temu i teraz stosuję efekty swoich badań w praktyce. Już na studiach miałem jednego konika i nie, to nie była hipnoza. To farmakologia. Potem zgłębiałem temat i w zasadzie na tym się skupiałem w swoich badaniach, choć z oczywistych względów nie publikowałem nigdzie ich wyników, bo moje eksperymenty na pacjentach były nie do końca legalne. Spokojnie, nikt przez to nie umarł. Były nielegalne dlatego, że po pierwsze przeprowadzałem je bez ich zgody, po drugie bez zgody komisji bioetycznej, no, nieważne. Jeden z efektów moich badań znajduje się w zbiorniczku ukrytym w tym zegarze wiszącym na ścianie nad twoją głową. Długopis, który mam w ręku, to pilot, a naciśnięcie przycisku na jego końcu powoduje ulatnianie się porcji środka powodującego specyficzny stan podobny do porażenia przysennego. To niewielka chmurka aerozolu wydostająca się spod zegara, a ponieważ jest cięższa od powietrza, opada na ciebie, a ty ją wdychasz. Efekt działania już znasz. To katalepsja. Musisz wiedzieć, że fizjologiczne porażenie mięśni następuje w fazie REM snu i ulegają mu wszystkie mięśnie z wyjątkiem oddechowych i gałek ocznych. To naturalne, w ten sposób nasz organizm chroni się przed potencjalnym uszkodzeniem ciała, bo zapobiega po prostu jego przypadkowym ruchom, kiedy nie mamy nad nim kontroli. A wizje senne w tej fazie są wyjątkowo realistyczne. Czasem jednak to porażenie następuje w niewłaściwym momencie, na przykład przy zasypianiu albo przy gwałtownym wybudzeniu w trakcie trwania fazy REM, i wtedy

mówimy właśnie o paraliżu albo porażeniu przysennym. Stan taki może trwać od kilkunastu sekund do nawet kilku, a czasem kilkunastu minut. Ja stworzyłem środek, który potrafi podobny stan wywołać sztucznie i dość szybko. Aspirowałeś go przez ostatnie kilka minut.

Sobczak wyszedł z za biurka i uśmiechnął się, patrząc znacząco na dłoń Bielawskiego leżącą na biurku i wciąż zaciśniętą na pistolecie. Tylko teraz była nieruchoma.

– Powiem ci coś jeszcze. – Jego głos był niemal beznamiętny. – Pod moim biurkiem znajduje się inny przycisk. Jest w podłodze, mogę go wcisnąć stopą. To przycisk bezpieczeństwa. Muszę liczyć się z ryzykiem, że pacjent przejmie siłowo kontrolę nad sytuacją, ale wystarczy wciśnięcie go i przychodzi pan Staszek, ochroniarz, a porcja żelu, którym zwykle pryska w oczy delikwentowi, poskramia najgwałtowniejszą furję. Dziś nie muszę go wciskać, wiesz? Ale ty musisz ponieść karę za to, co zrobiłeś.

Bielawski mógł tylko patrzeć, jak Sobczak zachodzi go od tyłu, bierze jego rękę trzymającą pistolet, wsuwa jego palec pod kabłąk, kładzie na nim swój i przyciska do języka spustowego, a potem celuje.

I nie mógł z tym nic zrobić.

– Po co ci to było, człowieku? – zapytał lekarz. – No po co?

Jego palec zaczął się zginać, powoli, lecz nieubłaganie pokonując opór spustu.

Wystrzał był ogłuszający.

Kolejny również.

Tuż przed obiadem Marta poszła do kuchni, wykorzystując moment, że Ropczycki był tam sam.

– Jutro twoja kolej, Marto – powiedział, kiedy pojawiła się w drzwiach.

Nie odwrócił się przy tym, tylko wciąż kroił marchew. Jego ruchy były szybkie i sprawne: kilka ciachnięć i szurnięcie ostrza odgarniającego plasterki, potem znów ciachnięcia i szurnięcie.

– Wybierzesz sobie coś ze spiżarni, zrób od razu na dwa dni – zasugerował.

Podeszła do niego, zachodząc go od tyłu. Zrobiła to bardzo cicho, więc nie słyszał jej, odwrócił się dopiero wtedy, kiedy była blisko. Zobaczyła, że na blacie obok deski do krojenia leży jego komórka. Obraz był podzielony na cztery części, na każdym widać było jakieś pomieszczenie i już wiedziała, skąd bez odwracania głowy wiedział, że to ona.

– Muszę ci coś uświadomić – powiedziała, patrząc mu w oczy.

Chciała sprawdzić, czy wytrzyma jej spojrzenie, czy ucieknie w bok i pokaże, że jednak się jej wstydzi.

– Taak? – zapytał, błędząc wzrokiem po jej twarzy, ale na pewno nie była to ucieczka.

– Twój brat powiedział, że robi to dla ciebie. – Nie poddawała się, jej spojrzenie utkwione było w punkt pomiędzy jego oczami, choć wiele ją to kosztowało. – Nie wierz mu. Robi to dla siebie, wyłącznie dla siebie. Widziałam, jak na mnie patrzy. Chce mnie przelecieć. Chce to robić regularnie. Jedynym celem sprowadzenia mnie tutaj nie było dobro dzieci ani chęć dogodzenia tobie. Jestem atrakcyjną kobietą... – Chciała wypowiedzieć imię Ropczyckiego, żeby przekaz trafił głębiej, ale nie mogło przejść jej przez usta. – I wiem, jak odczytywać reakcje mężczyzn. Do tego nie trzeba być psychologiem. A reakcje twojego brata są jednoznaczne. Chce mnie dla siebie. Wyłącznie dla siebie, a ty jesteś tylko pretekstem.

Czekała w napięciu na jego ruch.

– A ty myślisz, że ja mu żałuję? – Uśmiech na twarzy Ropczyckiego był szczery i przypominał ten, który wykwita na twarzy dziecka

poczęstowanego słodyczami. – Przecież mówiłem ci już, że będzie mnie zastępował. Właśnie w tym. A ja chętnie popatrzę.

Marta poczuła pustkę. A więc nie tędy droga. Na obiad szła jak na ścięcie, w poczuciu przegranej i ze świadomością, że powoli kończą się jej pomysły. Siedziała przy stole w milczeniu, unikając nawet wzroku Piotrka. Słuchała rozmów chłopców, poleceń Ropczyckiego wydawanych tonem prośby, bo tak to wyglądało, ale jej myśli błądziły gdzieś daleko.

– Czy mogę ziemniaki? – Głos Sebastiana wyrwał ją z zamyślenia.

– Tak, jasne. Nałożyć ci?

– Poproszę.

Zsunęła mu na talerz kilka kartofli i odstawiła półmisek.

– Masz już nałożone – powiedziała machinalnie, znów wracając do swoich niewesołych myśli.

– Dziękuję, proszę pani.

– Dziękuję, Mamo... – powiedział łagodnie Ropczycki, akcentując drugi wyraz.

– Dziękuję, Mamo – powtórzył posłusznie chłopak.

Zapadła chwila ciszy, słychać było tylko szcęk sztućców.

– Chcę do swojej prawdziwej mamy – stwierdził nagle Vincent.

– Co ty powiedziałaś? – Czoło Ropczyckiego się zmarszczyło.

– Chcę do swojej prawdziwej mamy! – Chłopak oddychał szybko i Marta widziała, że zaczyna się jakoś dziwnie nakręcać.

– Vini... – powiedział ostrzegawczo Piotrek.

– Właśnie, Vini. – Ropczycki uśmiechnął się samymi wargami. – Słuchaj starszego brata.

Usta Piotrka drgnęły, jakby składał je do wypowiedzenia jakichś słów, ale nagle zrezygnował, tylko zerknął szybko na matkę.

– Chcę do mamy! – wrzasnął chłopak.

– Przez tydzień codziennie będziesz pił jeden koktajl więcej. – Ropczycki wstał gwałtownie od stołu. – Ale najpierw zrobimy sobie małą wycieczkę do Pudła, niedobre chłopaczysko!

– Chcę do mojej mamy!!! – Ręce Vincenta latały po blacie, jakby nie miał nad nimi żadnej kontroli i tak najprawdopodobniej było. – Chcę do mojej mamy!!!

W oczach chłopaka był obłęd, jego twarz lekko zsiniała, a spazmatyczny oddech przypominał pracę uszkodzonego miecha pracującego na najwyższych obrotach.

– Poczekaj! – Marta zerwała się z krzesła i wyciągniętą ręką powstrzymała Ropczyckiego. – Poczekaj, ja to załatwię!

– Ty?

– Tak, ja! – powiedziała zdecydowanie. – Po to tu jestem, tak? Po to mnie wzięłeś. Jestem jego Matką. Więc pozwól, że zajmie się tym kobieta. Matka... – Ostatnie słowo było desperackim szeptem.

Ropczycki stał wyprostowany za stołem. Palce leżały nieruchomo na blacie, klatka unosiła się w rytm spokojnego oddechu, jego twarz była jak maska i to chyba właśnie było najgorsze – zestawienie tego stoickiego spokoju prezentowanego na zewnątrz z jego impulsywnością, z jego prawdziwą naturą. Ropczycki jawił się jej jako doktor Jekyll i pan Hyde oraz batmanowski Twoface w jednym.

Podeszła do Vincenta, pochyliła się i objęła go od tyłu. Bała się trochę dotknąć garbu, ale to nie miało teraz znaczenia. Zbliżyła twarz do jego ucha.

– Vincent, słyszysz mnie? – wyszeptała. – Vini?

Chłopak wciąż zawodził, budząc konsternację wśród reszty, Marta widziała, że usta Maćka układają się w podkówkę, a jego ciemne oczy robią się jeszcze bardziej błyszczące niż zwykle. Bała się eskalacji i musiała reagować szybko. Oraz prawidłowo.

Przytuliła wygięte ciało, dotknęła policzkiem jego głowy i zaczęła szeptać mu prosto do ucha „ćśśś...”, rytmicznie go kołysząc. Vincent poddał się. Marta poczuła, jak mięknie w jej objęciach, jego szyja robi się mniej sztywna, a oddech uspokaja się powoli.

– Już dobrze? – zapytała, patrząc mu w oczy.

Pokiwał głową.

– Nie pójdę do Pudła? – zapytał, pociągając głośno nosem.

– Nie pójdziesz – obiecała, zerkając na Ropczyckiego.

Miał ręce złożone jak do modlitwy i obejmował nimi swój nos, patrząc na nich zachwyconym spojrzeniem.

– Pięknie... – wyszeptał, a potem rozłożył szeroko ramiona niczym w geście bezradności.

Zachwyty nie zniknął z jego oczu. Marta usiadła z powrotem na swoim miejscu i zaczęła jeść, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Panowała absolutna cisza, słyszała tylko chrzęst swoich stawów żuchwy, i do końca posiłku czuła na sobie wzrok Ropczyckiego. Był jak laser wypalający dziurę. Nie tylko w ciele, ale i w duszy.



Marta czekała w napięciu na łóżku w swoim pokoju. Wiedziała, że on przyjdzie, to było pewne. Usłyszała szuranie jego kroków, zanim jeszcze pojawił się w drzwiach, i odruchowo napięła wszystkie mięśnie, czując ucisk w żołądku. Ropczycki wszedł do środka, nie pytając jej, czy może to zrobić, i stanął na środku pomieszczenia.

– Wstań, proszę – powiedział uroczystym tonem.

Marta nie miała pojęcia, na co się szykować. Wstała, jak poprosił, ale nie podeszła do niego, tylko oparła się łydkami o ramę łóżka i czekała na jego ruch. Zrobił dwa kroki, zbliżając się do niej na odległość wyciągniętych ramion. Zesztywniała. Patrzyli sobie w oczy, choć Marta najchętniej zamknęłaby je, żeby nie widzieć tej przystojnej twarzy, za którą krył się potwór. Ropczycki wyciągnął ręce i chwycił ją za ramiona, a ona prawie jęknęła.

– Jesteś cudowna – szepnął. – Nie wiem, co się stało Vincentowi, może twoje przybycie trochę go rozkojarzyło. A ty zachowałeś się jak prawdziwa matka. Nieee, nie zachowałeś się tak, ty BYŁAŚ prawdziwą matką. Jesteś nią!

Zanim zorientowała się, co chce zrobić, przyciągnął ją do siebie i złożył na jej ustach gorący pocałunek. Nie próbował wcisnąć w nie języka, po prostu przytknął wargi do jej warg i cmoknął. Jego palce ścisnęły jej ramiona z taką siłą, że gdyby ugięła nogi, jej ciało z pewnością zawisłoby w rękach Ropczyckiego. Przez ułamek sekundy w jej głowie zaświtała myśl, że gdyby zrobił to Marek albo jakikolwiek inny mężczyzna, do którego czułaby choćby cień sympatii, to uczyniłaby wszystko, żeby tę chwilę zamienić we wspólną noc. Ale teraz czuła w sobie pustkę. Walczyła z całych sił, żeby nie pokazać po sobie obrzydzenia, które do niego czuje. Kiedy wreszcie oderwał się od jej ust i puścił ramiona, odetchnęła.

– Oby tak dalej, Marto. – Obrzucił ją badawczym spojrzeniem i pokiwał głową jak szef zadowolony z nowego pracownika.

Zwracanie się do niej w wołaczu też ją wkurzało, tak jak silenie się na poprawny i elegancki język. Stała, wciąż sztywna, starannie omijając

Ropczyckiego wzrokiem, który błędził gdzieś ponad jego ramieniem. Czekala. Czekala, aż on pójdzie sobie w cholerę i zostawi ją w spokoju, i wreszcie się doczekała. Przechodząc nad progiem, obejrzał się jeszcze.

– Niedługo przyjdę do ciebie. Sugeruję też, żebyś wzięła prysznic, bo nieładnie pachniesz.

Zostawił ją z otwartymi ze zdumienia ustami i to zdumienie przerosło na moment nawet strach. Odczekała chwilę i jak automat ruszyła w stronę drzwi, kompletnie zapominając o wystającym progu i potykając się o niego. Przez chwilę przypominała sobie, w którą stronę musi pójść, żeby trafić do pokoju Piotrka, i to jej uświadomiło, jaka jest rozkojarzona. Nie dziwiło jej to w ogóle, ale pomyślała, że czas się ogarnąć.

Najwyższy czas.

Drzwi do pokoju Piotrka były oczywiście otwarte. Marta wciąż nie mogła się przyzwyczaić, że niewysokie pomieszczenia bez okien, w których ledwo dało się wytrzymać od zapachu stęchlizny, nazywa się tu pokojami. Zastanawiała się też, jak to wpłynęło na przebywających tu najdłużej chłopców, praktycznie niewidujących słońca, niewychodzących regularnie na świeże powietrze, niebiegających po dworze. Jak to wpłynęło na ich zdrowie oraz psychikę. Nie było wątpliwości, że źle, pytanie brzmiało: jak bardzo źle.

Piotrek siedział na wózku i czytał książkę.

– Jesteś... – Odłożył ją na kolana.

– Jestem. Mogę się położyć? – zapytała.

– W domu nie pytałaś – zwrócił jej uwagę.

Popatrzyła tylko na niego z cierpieniem w oczach.

– Nienawidzę, kiedy on przenosi mnie z wózka do łóżka, wiesz? – powiedział, patrząc, jak matka kładzie się powolnymi ruchami śmiertelnie zmęczonej osoby. – Wie, że dam radę to zrobić sam, ale mimo to mi pomaga. Ma wtedy w oczach taką troskę, aż mnie przechodzą ciarki... Nawet ty tak na mnie nie patrzyłaś.

Marta wyciągnęła rękę. Piotrek podał jej swoją dłoń, a ona przycisnęła ją do policzka, zamknęła oczy i napawała się bliskością syna. Nagle puściła ją i skuliła się na łóżku, czując, że zaraz się kompletnie rozklei.

Leżała i dygotała. Piotrek podjechał wózkiem odrobinę bliżej i położył rękę na jej włosach. Nigdy wcześniej tego nie robił. Wielu rzeczy wcześniej nie robił.

– Ja już nie mogę, nie mogę, nie mogę! – Marta wciskała twarz w poduszkę, czując, jak jej syn gładzi ją po plecach w daremnej próbie pocieszenia.

– Spokojnie, mamoo... – Sam nie był do tego spokoju przekonany, ale robił, co w jego mocy, żeby jakoś pocieszyć matkę.

– Musimy coś zrobić, Piotrek. – Uniosła głowę i spojrzała na niego z rozpaczą w oczach. – Planowanie ucieczki nic nie da. Im dłuższe przygotowania, tym większe ryzyko wpadki. Tu jest ciągła inwigilacja, nic nie ukryje się przed jego wzrokiem. Jeśli odkryje, że coś planuję, tak nafaszeruje mnie lekami, że zostanę żywym trupem, rozumiesz? Zapowiedział mi to już Sobczak. I będzie po wszystkim.

– Potrafi to. – Piotrek pokiwał głową. – Mówię o Sobczaku. Potrafi namieszać w głowie tak, że nie masz pojęcia.

Nagle w drzwiach pojawił się Ropczycki. Nie wchodził, zajrzał tylko do środka, obrzucił uważnym spojrzeniem pomieszczenie, a potem Martę i przytulonego do niej Piotrka, i powiedział:

– Za pięć minut chciałbym cię widzieć w twoim pokoju, Marto. Wzięłaś prysznic, jak prosiłem?

– Jeszcze nie – odparła tonem syntezatora mowy.

– Więc proszę, zrób to. I jeszcze jedna rzecz... – Zawahał się. – Jesteś Matką ich wszystkich. Nie możesz przebywać ciągle tylko ze swoim biologicznym synem, bo pozostali pomyślą, że go faworyzujesz. Piotrze, miej to na uwadze, dobrze?

I zniknął.

– Piotrze, miej to na uwadze, kurwa... – Piotrek sapnął, mrużąc oczy i patrząc porozumiewawczo na matkę.

Nagle oboje parsknęli śmiechem i to było jak chwilowe oczyszczenie. A potem znów ich twarze spochmurniały.

– Muszę iść – powiedziała Marta.

– Wiem. – Piotrek pokiwał poważnie głową. – Kocham cię...

Zaniemówiła. Nie powiedział jej tego od jakichś siedmiu lat i teraz, kiedy to usłyszała, po prostu ją zatkało.

– Zaskoczona, co? – Widziała w jego oczach, że on też jest zaskoczony.

– Tak – przyznała z uśmiechem. – Ale nie tym, że kochasz, tylko tym, że mi to powiedziałeś.

Spuścił głowę.

– Tak pomyślałem... Że może więcej nie być okazji i...

Spoważniała.

– Będzie okazja. Niejedna, rozumiesz? I też cię Kocham, myślę, że to wiesz.

– Wiem. – Pokiwał głową.

Przytuliła go mocno, jak najmocniej, jak gdyby faktycznie już nigdy nie miało być okazji.

– Będziesz mi potrzebny. – Położyła dłoń na jego ramieniu i mocno zacisnęła palce. – Mogę liczyć tylko na ciebie. Dam ci znać. Zachodź do mnie przy każdej okazji i nie przejmuj się tym dupkiem. Coś wymyślę, Piotrek. Coś wymyślę i uciekniemy. Skutecznie.

– Dobrze, mam. – Widziała, jak zaciska zęby.

Przyjrzała mu się jeszcze, jakby chciała go zapamiętać; długie, koszmarnie długie rozstanie wbiło jej do głowy niczym sztancą, że każde następne, choćby na chwilę, może skończyć się tak samo. „Będzie jeszcze okazja”, przekonywała samą siebie w myślach.

Zauważyła, że włosy Piotrka zmatowiały, a skóra pobladła.

– Ćwiczysz? – zapytała, patrząc na jego ręce.

– Tak – szepnął. – Cały czas. W nocy, kiedy nie ma światła. Przekręcam się na brzuch, opieram na ramie łóżka i pompuję.

– Mój chłopak... – Zmierwiła mu włosy i tym razem nie cofnął z niechęcią głowy jak zawsze, kiedy próbowała mu to robić w dawnym życiu. – Mój cudowny chłopak...

– Leć – powiedział, wskazując wzrokiem drzwi.

Chciało jej się płakać, kiedy wychodziła na korytarz. Tu bez przerwy chciało jej się płakać. Piotrek pożegnał ją pełnym nadziei spojrzeniem i to trochę podniosło ją na duchu, ale zaraz znowu na nim podupadła, kiedy mijala łazienkę. Weszła do środka, rozebrała się, owinąwszy się ręcznikiem, bo nie wiedziała, czy gdzieś nie czyha oko kolejnej kamery. Tych popaprańców stać było na wszystko, już się o tym przekonała. Woda była jak zwykle letnia, ale stała pod słuchawką, słuchając ciurkającej wody i odwlekając moment, w którym będzie musiała stąd wyjść i wrócić do siebie. Zdążyła się zorientować, że na Farmie nie ma pośpiechu. Czas płynął leniwie jak w więzieniu, było tu cicho, aż za cicho, czasem tę ciszę przerywał pisk Maćka goniącego Rufusa albo pokrzykiwanie Vincenta. Sielanka, kurwa – pomyślała.

Kiedy się ubrała i zamyślona kończyła suszyć włosy, przez zasłonę kręconych kosmyków zobaczyła jakiś ruch. Zmartwiła. Gwałtownym

szarpnięciem głowy odrzuciła włosy do tyłu i już wiedziała. Ropczycki. Stał w progu i patrzył na nią. A potem uśmiechnął się, nawet całkiem sympatycznie, i powiedział:

– Chcę cię zobaczyć nago.

Bielawski wpatrywał się w dwie dziury po pociskach wbitych w ścianę tuż obok okna, wciąż nie mogąc się ruszyć. Czuł tylko drżenie mięśni i tętno, które oceniał na jakieś sto osiemdziesiąt uderzeń na minutę. Był uwięziony we własnym ciele, świadomy, co się z nim dzieje. Czuł zapach dobrych perfum, jakimi pachniał Sobczak, który właśnie odłożył jego rękę z pistoletem na blat i wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– Nie muszę cię zabijać i nawet nie chcę, chociaż zdajesz sobie sprawę, że mógłbym teraz zrobić wszystko. – Obejrzał się za siebie i przez chwilę przyglądał się dziurom w ścianie. – Naprawdę wszystko. Zaaranżować scenę walki, podczas której przypadkowo zostajesz postrzelony w głowę, mógłbym nawet sam zranić się niegroźnie, żeby to uprawdopodobnić. Ale nie zrobię tego. Załatwię to inaczej. Chcę mieć święty spokój, mam już dość twoich insynuacji. Przemyśl, co chcesz powiedzieć, kiedy już będziesz w stanie mówić. Jeśli zechcesz się podzielić z kimś moim wyznaniem o eksperymentach z lekami albo swoimi chorymi teoriami dotyczącymi mojego zaginionego brata, tylko pogorszysz swoją sytuację. Dużo czasu minie, zanim wyjdiesz z detencji, pomyśl o swoim biznesie, o żonie. No dobrze, chyba czas nam się kończy. – Uśmiechnął się i spojrzął na drzwi gabinetu, sięgając po broń i wyjmując ją z ręki Bielawskiego.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich zasapany ochroniarz. Gaz w jego ręku wyglądał zabawnie i on sam zdawał sobie z tego sprawę, ale jako stary policyjny wyga, który zaczynał jeszcze w MO, zareagował odruchowo i ofiarnie.

– Proszę wezwać policję, panie Staszku. – Sobczak dyszał jak po kilkukilometrowym biegu, na jego twarzy malowały się emocje i Bielawski, wciąż bezsilny, pomyślał głupio, że to rola godna Oscara.

– To były strzały, prawda? – zapytał ochroniarz.

– Tak. – Lekarz podniósł pistolet, trzymając go za lufę dwoma palcami, a Bielawski patrzył tylko, jak glock kołysze się w powietrzu, a on nie może po niego sięgnąć. – Sytuacja jest opanowana, ten człowiek jest w tej chwili w stanie katatonii. Najprawdopodobniej jest pod wpływem leków.

– Już wezwałem policję, panie doktorze.

– Świetnie, to pewnie za chwilę podjadą. Niech pan zejdzie na dół, panie Staszku, i poczeka na nich.

– Jasne, panie doktorze. Na pewno nie chce pan, żebym go...?

– Nie ma takiej potrzeby, wszystko mam pod kontrolą. – Sobczak zrobił głęboki wdech i wydech. – Było blisko, ale teraz to ja jestem panem sytuacji. Dzięki, że pan jest czujny.

Ochroniarz pokiwał głową, choć Bielawski tego nie widział, zwrócony plecami do drzwi i wciąż nieruchomy jak drewniany klocek. Sobczak odczekał, aż zamkną się drzwi, i spojrzał Bielawskiemu w twarz.

– Mam nadzieję, że przemyślałeś sprawę. Nie chcę być łączony ze swoim bratem, cokolwiek nawywijał. Nie interesuje mnie to. Nie będę też tolerował napaści na siebie, zwłaszcza w takiej formie. Mam nadzieję, że to zrozumiałeś i teraz tylko od ciebie zależy, jak długo to potrwa. Jak szybko wyjdiesz. I nie mam tu na myśli, że stać cię na dobrego adwokata. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Pozwolę sobie użyć twoich własnych słów: morda w kubek.

Usiadł na swoim miejscu, założył ręce na piersi i przyglądał się nieruchomej postaci przed sobą. Tak upływały minuty, Bielawski gotował się w środku, czuł strach, niemoc i wściekłość równocześnie. Kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły, przestraszył się, ale jego ciało nie zareagowało w żaden sposób, tylko serce jeszcze bardziej przyspieszyło.

Nie widział, jak do gabinetu wchodzi dwóch postawnych policjantów. Ubrani byli w kamizelki taktyczne, obaj trzymali dłonie na kolbach pistoletów, jednak broń wciąż tkwiła w kaburach.

Sobczak wstał, ale został za biurkiem.

– Nazywam się Przemysław Sobczak, i to ja poprosiłem pana Staszka o wezwanie policji – powiedział głośno.

– Strzelanina, tak?

– No, strzelanina to może za dużo powiedziane...

– Ale strzały padły?

– Tak. – Sobczak spuścił głowę. – Dwa.

– To on do pana strzelał? – Wyższy z policjantów, sierżant, wskazał na Bielawskiego.

– Tak.

– Czy pan zna tego człowieka?

– Znam. Nazywa się Marek Bielawski.

Sierżant stanął nad Bielawskim i przyjrzał mu się.

– Jest pana pacjentem? – Zerknął na Sobczaka.

– Nie, skąd?

– Kim jest?

– To ojciec porwanego rok temu dziecka. Konsultował ze mną pewne sprawy związane ze swoim synem, ale obowiązuje mnie tajemnica lekarska i więcej szczegółów nie mogę podać.

– Po co do pana przyszedł? Z bronią?

– Przykro mi, ale nie wiem, o co chodzi temu człowiekowi.

– Nie powiedział, o co mu chodzi?

– Wie pan, nawiązywał do naszej relacji rodzic pacjenta – lekarz, ale generalnie to był stek bzdur, a potem zaczął... Ja... Panowie, ja nie chcę wnosić oskarżenia. Ten pan przeżył tragedię, jako psychiatra jestem w stanie trochę zrozumieć jego postępowanie i...

Policjant wskazał na pistolet leżący na biurku i na dziury w ścianie.

– To nie przejdzie, panie doktorze – powiedział, kręcąc głową. – Tu raczej wejdzie prokurator. Musimy ściągnąć ekipę na czynności i tak dalej. Tylko co z nim zrobić? – Wskazał na Bielawskiego siedzącego za biurkiem i opartego o ścianę. – On się przecież do niczego nie nadaje...

– Sugeruję umieszczenie go w szpitalu w Zdrojach, zadzwonię zaraz na oddział psychiatryczny i jeśli mogę prosić o odwiezienie go... Nie będziecie mieli panowie żadnego kłopotu, wszystko zostanie przygotowane, zadzwonię tam zaraz, natomiast ja jestem jakby co do dyspozycji i waszej, i prokuratury.

Niższy z policjantów zerknął wymownie na Bielawskiego.

– A nie wymaga transportu karetką?

– Cóż, stan katalepsji może być wywołany stosowaniem leków antypsychotycznych, jako powikłanie, ale nie lecę go, więc nie mogę mieć pewności. Jestem jednak przekonany, że nie ma ryzyka. Nie uszkodźcie go po prostu. On jest chory, a nie pijany ani naćpany, i pamiętajcie, panowie, o tym. – Spojrzał na nich znacząco.

Policjanci chwycili Bielawskiego pod pachy i podnieśli z krzesła. Zawisł im w rękach niczym szmaciana lalka, więc obaj, jak na komendę, podrzucili go i poprawili chwyt, a potem wysunęli zza biurka i zaczęli wlec w stronę drzwi. Sobczak wyminął ich szybko i otworzył je, a potem patrzył, jak ustawiają się bokiem, żeby się w nich zmieścić i nie upuścić mężczyzny. Kiedy mijali doktora, szurając buciorami, z twarzami napiętymi z wysiłku,



obrzucił ostatnim spojrzeniem Bielawskiego. Jego głowa zwisała, ale lekarz widział, jak biznesmen próbuje spojrzeć mu w oczy. Bez skutku, ruch gałek ocznych nie wystarczył. Sobczak odprowadził policjantów do windy, a kiedy mijali przeszklenie z wybitą szybą, wyższy zapytał, wskazując ją podbródkiem:

– To jego dzieło?

– Tak – odparł Sobczak krótko, nie wdając się w szczegóły.

Kiedy drzwi windy się zasunęły, zszedł na parter schodami i tam otworzył im drzwi wyjściowe.

– Dobranoc, panie doktorze – wystękał ten wyższy.

– Dobranoc panom. – Ukłonił się grzecznie, po czym zamknął drzwi i obejrzał się na ochroniarza, siedzącego karnie za kontuarem swojego stanowiska.

– Koniec przedstawienia, co? – zapytał pan Staszek.

– Ano koniec. – Sobczak uniósł brwi, rozłożył szeroko ręce, a potem wrócił do siebie, stanął w oknie i z zadumaną miną obserwował to, co działo się przed budynkiem.

Kiedy policjanci wpychali Bielawskiego do radiowozu, ten zdążył jeszcze zobaczyć wiszące na kablach lustro i paskudną rysę biegnącą wzdłuż jego samochodu przez całą długość drzwi. Kłuła w oczy w ostrym, białozółtym świetle latarni przed wejściem do budynku. Zaklął w myślach, ale zaraz uświadomił sobie, że ma poważniejszy problem. Czuł, że paraliż zaczyna ustępować, ale daleko jeszcze było do tego, by mógł coś zrobić.

Cokolwiek.

Gliniarze posadzili go na tylnej kanapie. Bielawski nabrał powietrza, głęboko, najgłębiej, jak tylko mógł, i zaczął mówić, jednak dźwięki, jakie wydostały się z jego ust, trudno było nazwać mową.

– Robert, on coś gada – powiedział policjant do kolegi, który siadał już za kierownicę.

– Co? – Odwrócił się do tyłu.

– Nie wiem, nie da się zrozumieć tego bełkotu.

– Czekać. – Ręka z kluczykiem zawisała nad stacyjką. – Może się dusi i woła o pomoc? Kurwa, trzeba było od razu wezwać karetkę, zaraz nam kipnie w wozie i będziemy się do końca świata tłumaczyć.

– Spokojnie, nie dusi się... Czekać... Co tam mówisz, koleżko? – Policjant nachylił się lekko, nadstawił ucha i słuchał przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, a potem wysunął się z wnętrza radiowozu, wyprostował

i bezradnie spojrział na kolegę. – Mówi o jakimś Majerze. Coś jak „Won, kominiarz Majer”. Chuj, nieważne. – Machnął ręką i zatrzasnął drzwi. – Jedziemy na Mączną, do czubków...

## 43

Kiedy Ropczycki powiedział te słowa, Marcie stanęła w oczach scena z pieczary Batmana, kiedy Marek prowokował ją do uderzenia go.

„A jeśli poprosi o twoje ciało?”

– Po co? – zapytała przez ściśnięte gardło.

– Co: po co? – Ropczycki zrobił wielkie oczy.

– Przecież... – Nie dokończyła.

Udał, że nie zrozumiał albo naprawdę nie zrozumiał. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby go to w ogóle nie obeszło.

– Chcę cię zobaczyć nago, bo jesteś moja. Chyba mam prawo, tak? Obiecałaś coś Przemkowi, prawda? Nawet nie próbuj się stawiać!

– Miałaś być miły...

– Ty też! Więc bądź dla mnie miła.

Teraz musiała wymyślić jakąś kontrę dla jego dziecinnej argumentacji.

– Daj mi trochę czasu – poprosiła przymilnie. – Daj mi się oswoić z sytuacją.

– Miałaś go wystarczająco dużo. – Na jego twarzy wykwitł wyraz niezadowolenia, którego nawet nie starał się maskować: po raz pierwszy chyba dał po sobie pokazać, że coś czuje. – Grasz na zwłokę i to mi się nie podoba. Zdejmuj ciuchy, powiedziałem.

Sięgnęła do ściągacza bluzki, czując, jak drżą jej nogi, ale równocześnie zaczęło w niej narastać poczucie buntu. Oczy Ropczyckiego zwięziły się, widać było, że czuje satysfakcję, ale Marcie nie przyszło do głowy, żeby zacząć go wyszydzać. To mogłoby się źle skończyć. Jednak kiedy uniosła skraj bluzy i odsłoniła brzuch, a Ropczycki opuścił głowę i w jego oczach zamigotała żądza, poczuła się naga, bezbronna i przede wszystkim potwornie zagrożona.

Oczy tego człowieka były jak lustro jego duszy. Twarz miał beznamiętną, jakby nie było w nim żadnych emocji, ale Marta wiedziała, że one tam są. I to oczy opowiadały jej, co dzieje się w jego głowie. Nie podobało się jej to, co w nich zobaczyła.

„A jeśli poprosi o twoje ciało?”

Nie myślała. Dokładnie tak jak wtedy, kiedy Marek stał się wulgarny. Znow wściekłość zalała jej duszę i przestała nad sobą panować. Niespodziewanie uderzyła Ropczyckiego w usta, ułamek sekundy trwała ta chwila, w której pytała samą siebie, co najlepszego zrobiła, a potem rzuciła się do panicznej ucieczki. Nie widziała, jak zaskoczony Ropczycki odchyła się do tyłu, macha rękami, usiłując ją złapać. Nie czuła, jak jego palce prześlizgują się po jej włosach i zaciskają tuż po tym, jak ostatni kosmyk wymyka się spomiędzy nich. Wypadła na korytarz i odruchowo skrzyła w lewo, w kierunku swojego pokoju. Szeroko otwarte oczy i spazmatyczny oddech świadczyły o jej strachu.

Uciekając korytarzem, żałowała tego, co zrobiła. Żałowała tego jak cholera, ale ta refleksja przyszła za późno. Najgorsze było to, że tak naprawdę nie miała dokąd uciekać. Nie mogła się nawet zamknąć w tym swoim pieprzonym pokoju bez okien, bo w drzwiach nie było zamka i otwierały się na zewnątrz, więc nie wchodziło w grę nawet podparcie ich czymś i zablokowanie. Jej pokój był jej azylem, ale tylko dlatego, że musiała jakiś mieć. Musiała mieć jakieś miejsce, które byłoby chociaż złudzeniem takiego bezpiecznego gniazda, gdzie nikt nie ma do niej dostępu. Bezpieczeństwo tego pomieszczenia było iluzoryczne, ale biegła w jego stronę jak szalona.

Chciała krzyczeć, wołać o pomoc, zawołać Piotrka, ale zdawała sobie sprawę, że nie może. To nie może odbić się na nim ani na reszcie. To była sprawa między nią a Ropczyckim.

Wpadła do środka i pociągnęła drzwi do siebie tak mocno, że uszczelka niewiele dała i skrzydło huknęło głucho o ościeża, aż zatrzęsła się ściana. Marta natychmiast pobiegła w kąt, w którym stało łóżko, wskoczyła na nie, usiadła i skuliła się, nakrywając głowę rękami, zanim zdała sobie sprawę, jak głupi i dziecinny jest ten ruch i że niczego jej nie da, kiedy Ropczycki tu wejdzie.

Była teraz małą, przerażoną dziewczynką jak wtedy, gdy wychowawczynie na koloniach przyłapała ją na kradzieży oranżady ze sklepiku w szkole, w której mieszkali. A ponieważ różne rzeczy dziewczyny o niej opowiadały, nie wiedziała wtedy, czego się spodziewać i ten strach spowodował organiczną reakcję jej dwunastoletniego ciała. Teraz czuła się podobnie.

Ale minuty mijały i nic się nie działo. Siedziała na łóżku, wciąż mocno obejmując kolana, i bujała się w przód i w tył, wpatrując się w drzwi, jakby

chciała zobaczyć, co jest za nimi.

W głowie miała pustkę i kiedy tak czas mijał i nic się nie działo, zaczęła kiełkować w niej myśl, że nic się nie stanie. Że Ropczycki przejdzie nad tym, co się stało, do porządku dziennego, może nie zapomni, ale tylko pogrozi jej palcem i zapewne spróbuje jeszcze raz, ale już mniej natarczywie. Chwyciła się tej myśli desperacko i kiedy już zaczęła czuć, jak jej serce zwalnia, drzwi nagle się otworzyły. Powoli. Kiedy skrzydło odchyliło się na tyle, by mogła zobaczyć, co jest za nim, okazało się, że nic. Musiało minąć kilkanaście sekund i dopiero wtedy stanął w nich Ropczycki.

Skurwiel bawił się z nią. Bawił się jej strachem.

Kiedy stanął w drzwiach w całej okazałości, krzyknęła krótko i zakryła twarz.

- Halo?
- Suka, podła suka!
- Romek? Co się stało!?
- Uderzyła mnie. Ta ruda kurwa mnie uderzyła, rozumiesz?
- Posłuchaj...
- Uderzyła mnie, Przemek...
- Nie płacz, Romek... Posłuchaj! Gdzie jesteś?
- W domu.
- A ona?
- Uciekła...
- Jezu, jak to...
- Nie, nie z Farmy. Uciekła do siebie, do pokoju. Zaraz do niej pójde i porozmawiam z nią. To nie będzie przyjemna rozmowa.
- Nie rób nic niemądrego, dobrze?
- To ona zrobiła coś niemądrego. Nie zasługuje, żeby tu być, rozumiesz? Nie zasługuje!
- Poczekaj Romek, załatwię to!
- Nie, Przemek, ja to załatwię. I wiem już, co zrobię. Pójdzie do Pudła. Tylko nie wiem, czy już z niego wyjdzie, rozumiesz?
- Romek! Jadę do ciebie, słyszysz? Będę za jakieś dwie godziny, wszystko załatwię. Dam jej taki koktajl, że będzie potulna jak baranek.
- Pomyliliśmy się, braciszku. Trzeba to przyznać, to żaden wstyd. Ale każdy błąd da się naprawić. I ja naprawię ten. Tylko będziemy musieli znaleźć kogoś nowego, wiesz?
- Musimy być ostrożni, Przemek. Oni wiedzą o tobie. O Orłowicach.
- Mówiłeś...
- Tak, ale jakimś cudem dotarli, że to byłeś ty. Nie znają szczegółów, są przekonani, że ty i ja to ta sama osoba, że ja się pod ciebie podszywam. Bielawski jest chwilowo unieszkodliwiony, ale ryzyko wciąż istnieje.
- Nie mogłeś go...?
- Nie, Przemek, nie potrafię.

- Ja przyjadę!
- Za późno. Na razie mamy spokój, ale musimy uważać. Więc nie rób nic głupiego, dobrze? Poczekaj na mnie, Roman! Rozumiesz? Zaraz wyjeżdżam.
- Poczekam, poczekam. Ale z ostateczną decyzją, bo najpierw ja z nią pogadam...
- Romek, ona też jest niebezpieczna. Naprawdę niebezpieczna, rozumiesz?
- Poradzę sobie tak? To tylko baba. Głupi babiszon. Na razie, Przemek.
- Romek! Halo? Romek...

Ropczycki był nagi i Marcie przypomniał się nagle Ken ze zdjęcia, które zrobił Marek w domu Maksia. Jego złowroga, ciemna sylwetka wypełniała całe drzwi, a kiedy przekreślił włącznik na ścianie, światło oblało jego ciało, wydobywając wypukłości napiętych mięśni i ścięgien. Obrzuciła spłoszonym spojrzeniem jego ręce, ale nic w nich nie miał. Dłonie o rozczapierzonych palcach były puste, ale jeśli Marta myślała, że to ją w jakiś sposób pocieszy, to pomyliła się. Wyglądał potwornie. Kroczył ku niej na szeroko rozstawionych nogach, bosa stopy człapały cicho, a jego oddech świszczał. Nie potrafiła oderwać wzroku od jego krocza, bo padające z góry światło nie docierało w całości do tego miejsca, a półcień sprawiał, że bliznowce wydawały się niemal czarne, przypominając jej ruiny domu w Orłowicach.

Marta poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła. W miarę jak Ropczycki zbliżał się do niej, zauważała kolejne szczegóły, których umysł oszczędził jej, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Blizny przypominały figury Lichtenberga, sięgały wnętrza ud i pachwin oraz podbrzusza. Bolał ją sam widok, bolała świadomość, jak to wpłynęło na tego człowieka, i bolała tragedia, jaką sprawił dzieciom.

Chciała umrzeć. Odejść. Zniknąć w niebycie.

– Mamy do pogadania, kobieto. – Słowa wydostawały się spomiędzy zaciśniętych zębów, przypominając warczenie, a jasne oczy ciskały błyskawice: było w nich czyste zło. – Zawiodłaś. Rozczarowałaś. Masz przejebane. To koniec. Ja już widzę, że to nie ma sensu, leki też nie pomogą. Nie wyszło nam z tobą, ale to nic. Mój błąd, zachciało mi się mocnej baby. Mój błąd. Ale już go nie powtórzę. Znajdziemy inną kobietę. Potulną. Rozsądną. Stworzymy nową rodzinę. Tym razem idealną. I wiesz co? – Ropczycki wytarł krew z kącika ust, zostawiając na policzku czerwoną smugę. – I to będzie twoja wina, suko. Sama jesteś sobie winna! Bo jak myślisz, co się z tobą stanie? Myślisz, że cię wypuścimy jak Maksa? Nieee, tym razem to się nie uda. Tym razem nie. Zrobię, co muszę zrobić, i uwierz, stać mnie na to, dobrze wiesz, co? Dobrze wiesz, że mnie na to



stać, a to, że jesteś kobietą, niczego nie zmienia. Skończysz w głębi lasu jak tamten gość, który chciał mi zabrać Piotrka. Bo dzieci są najważniejsze. Moje dzieci! – Uderzył się pięścią w pierś i pochylił, obnażając zęby pokryte krwią.

Jego krocze miała tuż przed swoimi oczami. Ropczycki stał nad nią jak władca, pewny siebie, upajający się przewagą, skupiony wyłącznie na jednym; na swojej ofierze i jej strachu. Po raz pierwszy na jego twarzy widać było emocje i to był dla Marty jasny sygnał, że Ropczycki jest na skraju szaleństwa. Dotarł do granicy, a ona była tam razem z nim.

Nagle poczuła, jak spływa na nią spokój. Panika zniknęła. Była opanowana, gotowa i pewna tego, co chce i co musi zrobić. Pewna, że wszystko dzieje się po coś, nawet to niezdarne uderzenie sprzed kilku minut, które go tak rozjuszyło. Było jak preludium do tego, co miało zaraz nastąpić. Musiała tylko kontrolować wściekłość, powstrzymać ją do ostatniej chwili. I wytrzymała. Furia nadeszła niespodziewaną i potężną eksplozją, której fala uderzeniowa pochłonęła Martę, znosząc jasność myślenia, zostawiając tylko jedną ścieżkę, którą teraz podążył jej umysł. Ta myśl, która pozostała, była jak wąska szpara w drzwiach ciemnego pomieszczenia, przez którą wpada nagle światło dnia. Tylko tam można było pójść. Nigdzie indziej.

Spuściła nogi na podłogę, czując na bosych stopach zimno i chropowatą strukturę posadzki. Bodźce docierały do niej z niezwykłą jasnością, jakby jej umysł otworzył się nagle w pełni. Podniosła głowę i spojrzała Ropczyckiemu w twarz. Szeroka szczeka, którą miała najbliżej, prowokowała do uderzenia, ale Marta wiedziała, że to nie na niej musi się skupić.

Teraz.

Dłoń błyskawicznie wyskoczyła do góry. Marta nadała jej prędkość i siłę ciałem, tak jak mówił Marek. Stała się na sekundę pieprzoną żelbetową ramą. Nogi zadziały jak katapulty i chociaż pośladki ledwo uniosły się nad łóżkiem, cała siła niemal wszystkich mięśni ciała zaangażowanych w ten rozpaczliwy ruch skumulowała się w dolnej części odgiętej dłoni, czyniąc z niej śmiertelnie niebezpieczne narzędzie.

Świadomość, że nie będzie drugiej szansy, dała Marcie dodatkową siłę i precyzję. Czowała, jak uderzenie w grdykę Ropczyckiego łamie drobne kości z obrzydliwym chrupnięciem, słyszała powietrze ulatujące ze świstem przez ściśniętą tchawicę i charkot, jaki wydał z siebie jej oprawca,

odrzucony do tyłu siłą ciosu. Została z wyciągniętą do góry ręką, patrząc gdzieś w bok i bojąc się spojrzeć na efekt swojej furii. Aż w końcu się odważyła.

Ropczycki tarzał się po podłodze, ściskając dłońmi szyję i charcząc. Wierzgał nogami w rozpaczliwej walce o oddech i o życie. Wybałuszone oczy pełne zwierzęcego strachu poczerwieniały, twarz spąsowiała, a ślina przyskała obficie na boki, znacząc posadzkę wilgotnymi plamkami. Jego ruchy zaczęły po chwili słabnąć, oddechy stały się coraz rzadsze i płytsze. Ropczycki gasł. Marta nie potrafiła oderwać wzroku od tego koszmarnego spektaklu śmierci, powieki jakby jej nie słuchały, kiedy próbowała je zamknąć. Ostatnim konwulsyjnym ruchem Ropczycki przekręcił się na brzuch i kilka koszmarnie długich sekund później zastygł w tej pozycji, z jedną dłonią wciąż zaciśniętą na gardle, drugą odrzuconą w bok z palcami wczepionymi w spękania posadzki, jak gdyby w ostatniej chwili życia próbował jeszcze coś zrobić. Leżał nagi, oparty o nią podbródkiem, w dziwacznej pozie, z wypiętymi pośladkami i zastygłym na twarzy cierpieniem, i tych wyostrzonych rysów nie złagodziła nawet śmierć. Wyglądał jak rozebrany Ken, tylko dziesięć razy większy, odarty z ubrania i rzucony na podłogę, już niepotrzebny, tak jak tamten w domu Maksia. I patrzył na Martę, choć martwe spojrzenie przechodziło na wylot, sięgając rejonów niedostępnych żywym. Przysięgłaby, że w na wpół przymkniętych oczach widzi zdziwienie faktem, że role się odwróciły i to ofiara została sprawcą. A on ofiarą.

I w tej samej chwili z całą mocą uderzyła w nią świadomość, że właśnie zabiła człowieka.

Gołymi rękami.

Marta zaczęła dygotać. Najpierw zadrżały jej dłonie i nie pomogło nawet chwycenie jedną drugiej, potem to drżenie przeniosło się na ramiona, szyję, podbródek i po chwili ogarnęło całe ciało, tak że nie była w stanie utrzymać się na krześle. Zeszła z niego i ostrożnie położyła się na podłodze tyłem do Ropczyckiego, czując chłód cementu na rozgrzanej skórze przedramion i twarzy.

Nie miała innego wyjścia, tłumaczyła jej ta racjonalna Marta. Gdyby tego nie zrobiła, on zabiłby ją i nie miała co do tego żadnych wątpliwości, ale mimo to ta wrażliwa jej część, pieprzony aniołek siedzący na prawym ramieniu, szeptała jej do ucha jakieś dyrdymały o moralności. Skoncentrowała się i po chwili zobaczyła oczami wyobraźni Marka. Jego i siebie, w lustrze na ścianie siłowni w jego domu. To, co jej wtedy mówił o emocjach w walce o życie. Starła się przypomnieć sobie każde słowo, które wypowiedział, intonację, z jaką to robił, wszystko, bo czuła, że to może pomóc jej się podnieść. Bo wygrała, choć czuła się pokonana. Nie mogła dopuścić, żeby to uczucie nią zawładnęło. Czas na nerwy przyjdzie później, przekonywał Marek.

Przyjdzie na to czas w domu – pomyślała i podniosła się z podłogi.

Przełożyła stopę nad nieruchomym, nagim ciałem Ropczyckiego. Wyglądał jak przewrócony posąg w muzeum ze sztuką klasyczną, taki piękny i proporcjonalny. I taki martwy.

Wyszła na korytarz, trzymając się za brzuch. Czuła, że żołądek wywraca się jej na lewą stronę, ale równocześnie była jakoś dziwnie przekonana, że jest w stanie powstrzymać wymioty. Powoli weszła do dużej sali, gdzie siedzieli wszyscy chłopcy. Byli tak zatopieni w grach, że żaden nie zauważył jej wejścia, a Sebastian leżał na tapczanie ze słuchawkami na uszach i chyba spał.

Odkasznąła, zwracając na siebie uwagę.

– Posłuchajcie. Rop... Tata, to znaczy ten pan, który każe się nazywać Tata... On źle się poczuł. Bardzo źle i musimy wezwać pomoc. Poszukajcie

jego komórki, dobrze? – Dyszała głośno, patrząc szeroko otwartymi oczami po twarzach dzieciaków i Piotrka. – Gdzieś musi...

Urwała nagle i prawie się rozplakała, gdy uświadomiła sobie, że jedyną osobą, która może jej w tym pomóc, jest Vincent, może ewentualnie Maciuś, ale w bardzo ograniczonym zakresie. Kiedy spotkała się wzrokiem z Piotrkiem, jej usta bezgłośnie wypowiedziały jedno słowo.

Później.

Zrozumiał, dając jej znać nieznacznym skinieniem głowy.

– Fonfon może być u Taty w pokoju – powiedział nagle Maciek, a ręka trzymająca duży klocek puzzli z Kaczorem Donaldem zawisła w powietrzu.

– Co? – Marta zamrugła gwałtownie.

– U Taty. W jego pokoju. – Mały wskazał drzwi na korytarz.

– Skąd wiesz?

– Widziałem kilka razy, jak leżał na szafce.

– Ty tam byłeś? – zapytał ze zdumieniem Piotrek.

– Tak. Czasem przed spaniem.

– Po co? – pytanie z trudem wyrwało się Marcie ze ściśniętego gardła.

– Czytał mi książki. – Maciek wzruszył ramionami, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

Dla niego była.

Marcie stanął przed oczami Ropczycki, siedzący na kanapie, z przytulonym do niego dzieckiem i czytający mu książkę, a potem ten nagi, wierzgający nogami, charczący i trzymający się za gardło, z wlepionym w nią strasznym spojrzeniem człowieka świadomego, że umiera.

– Musimy się tam dostać. – Dyszała. – Musimy się tam jakoś dostać, słyszycie?

– Tam jest zamek cyfrowy – odezwał się nagle Seba.

Nie spał i wyglądało na to, że słyszał wszystko.

– Kurwa... – szepnęła do siebie Marta.

– Ale ja znam melodię. – W jego głosie była wyraźna duma.

– Jaką melodię? – nie zrozumiała.

– Kodu. Kiedy Tato wbijał kod, to pikało. Słyszałem to wiele razy. A każda cyfra ma inny dźwięk.

– Potrafisz to jakoś zanucić?

Sebastian złożył usta w dzióbek i zagwizdał sekwencję pięciu dźwięków.

– Nic nam to nie da tutaj – stwierdził Piotrek.

– Racja. – Marta klasnęła w dłonie. – Piotrek, Seba, chodźcie ze mną, a wy dwaj zostańcie tutaj, okej? – zwróciła do Vincenta i Maćka.

– A dlaczego my nie możemy iść z wami? – zapytał Vincent.

– Bo muszę porozmawiać ze swoim synem. I z Sebą – dodała po chwili.

– My też jesteśmy twoimi synami – zaprotestował Maciek.

– Nie, Maciuś. – Pokręciła zdecydowanie głową. – Nie jesteście, a ja nie jestem waszą mamą. Przykro mi. Wasze mamy czekają na was w domach. W waszych prawdziwych domach. Niedługo się z nimi zobaczycie, ale teraz poczekajcie tutaj, dobrze?

Patrzyła na ich twarze i wiedziała, że robi im wodę z mózgow, choć w zasadzie wyłączną winę za to ponosili Ropczycki z Sobczakiem. Ona tylko próbowała to jakoś naprawić.

– Chodźcie – powiedziała do Piotrka i Sebastiana. – Szkoda czasu.

Pomogła Piotrkowi przedostać się wózkiem przez próg, Sebastian radził sobie doskonale sam i Marcie to znów uświadomiło, ile czasu tutaj spędził. Chwilę później stali przed drzwiami pomieszczenia, w który nocował Ropczycki. Piotrek podjechał bliżej i wyciągnął się w stronę klawiaturki. Patrzyła, jak marszczy brwi i nos. Zawsze tak robił, kiedy się nad czymś mocno zastanawiał. Jeszcze kilka dni temu Marta była przekonana, że nigdy więcej tego nie zobaczy.

– Jest dziesięć cyfr na klawiaturze – powiedział. – Kod jest czterocyfrowy, bo piąty dźwięk to pewnie ten klawisz z symbolem kluczyka. Zakładając, że są trzy próby, a potem zamek się blokuje, bo tak może być, możemy wcisnąć za pierwszym razem od jeden do cztery, za drugim od pięć do osiem. Zostaną dwa dźwięki i jeśli w kodzie jest któraś z tych cyfr, to będzie loteria. Ale może być tak, że wciśnięcie wszystkich cyfr po kolei zostanie potraktowane jako jedna próba, a Seba zdąży sobie poukładać kod.

Marta patrzyła na syna z podziwem. Skupiona na pracy i swoim życiu, nie zauważała pewnych rzeczy. I teraz nagle uświadomiła sobie coś ważnego. Pewność, że Piotrek jest fantastycznym facetem i że nie robi jej żadnego numeru, sprawiła, że coś jej umknęło. Umknął jej fakt, że to naprawdę inteligentny chłopak, a wyniki w szkole wcale nie muszą być tego potwierdzeniem lub zaprzeczeniem. Poczowała dumę i wzruszenie.

– Wciskaj – powiedział. – Po kolei.

Wystawiła palec wskazujący, wstrzymała oddech i z wahaniem nacisnęła jedynekę. Potem dwójkę, trójkę i czwórkę, a kiedy palec zawisł nad piątką,

Seba powiedział nagle:

– Jeden, cztery, trzy, jeden.

Marta z Piotrkim popatrzeli na niego jednocześnie.

– Żartujesz – szepnęła zaskoczona Marta.

– Nie. – Sebastian wzruszył ramionami i powtórzył: – Jeden, cztery, trzy, jeden.

Marta wcisnęła cyfry, uważając, żeby się nie pomylić. Potem nacisnęła klawisz z symbolem kluczyka i serce stanęło jej na sekundę. Ruszyło razem z dźwiękiem otwierających się drzwi.

– Jezu... – wyszeptała.

Chwilę później byli już w środku.

Wystrój pomieszczenia był równie spartański, jak wszędzie indziej, jedyną różnicą był laptop stojący na biurku i wielki telewizor wiszący na ścianie. Piotrek natychmiast podjechał do biurka, gwałtownym ruchem odtrącił krzesło i wpasował się w przestrzeń między solidnymi nogami. Kiedy ekran rozjarzył się, jego palce zaczęły śmigać po klawiaturze. Marta patrzyła na ciemną sylwetkę syna, jego zgarbione plecy i słuchała przez chwilę stukotu klawiszy.

– Co robisz? – zapytała.

– Chcę sprawdzić, co tu ma. – Piotrek odwrócił się do niej z szelmowskim uśmiechem. – No i chyba od miesiąca nie byłem w sieci, rozumiesz to? Szukaj komórki.

Roześmiała się niespodziewanie dla samej siebie i rozejrzała się po pomieszczeniu. Nie musiała długo szukać, telefon leżał po prostu na małym stoliku przy łóżku.

– Mam – rzuciła krótko do Piotrka. – A jak ty?

– Zahasłowany. – Rozłożył ręce i odjechał od biurka, odwracając się w jej stronę. – Nie dam rady obejść, nie jestem specem. Ale mamy chociaż komórkę. – Wciąż trzymając ręce na obręczach kół, wskazał podbródkiem jej dłoń, w której ścisnęła telefon.

Marta przyjrzała się urządzeniu. Gdy je aktywowała, na ekranie pokazały się dziesięć kółeczek z cyframi i polecenie „Użyj Touch ID lub podaj kod”.

– Jezu, co teraz? – jęknęła, pokazując go Piotrkowi.

– Trzeba użyć czytnika ID. – Wzruszył ramionami.

– Ale... Ale jak?

– Musisz przyłożyć jego palec do czytnika. Pewnie wskazujący albo kciuk. Ja mam w swoim na kciuk. Rozumiem, że jest nieprzytomny albo

związany? – Spojrzał na nią uważnie.

– Seba, wróć teraz do chłopaków, dobrze? – powiedziała Marta drewnianym głosem.

Zupełnie zapomniała, że tu jest. Seba zamrugał, pokiwał głową i wyszedł. Gdyby Marta nie wiedziała o tym, że praktycznie nie widzi, nie wpadłaby na to, obserwując, jak sprawnie się porusza w wąskich przestrzeniach Farmy.

– Co mu zrobiłaś? – zapytał Piotrek, kiedy Seba zniknął za drzwiami.

– Zabiłam go – odparła bez tchu.

– Czyli nie ma problemu z palcem. – Uśmiechnął się do niej, choć zanim to zrobił, jego usta drgnęły lekko.

– Zabiłam go, Piotrek, rozumiesz to? Zabiłam.

– Musisz to zrobić, chyba że ja się zsunę z wózka na podłogę. Pomożesz mi.

Patrzyli na ciało Ropczyckiego. Twarz Piotrka nie wyrażała żadnych emocji i to Martę bardzo martwiło. Nie sądziła, a nawet miała pewność, że nie jest nieczuły, ale jego reakcja, a właściwie jej widoczny brak, świadczyła aż nadto o tym, jak uprowadzenie i pobyt na Farmie odcisnęły piętno na jego psychice. I żadna pieprzona rezyliencja, o której wspomniał pieprzony Sobczak, nie mogła tego zmienić.

– Nie. – Pociągnęła nosem, wspominając, jak przed chwilą całkiem się rozkleiła i ile kosztowało ją, żeby się pozbierać. I jak pomógł jej w tym jej syn. – Zrobię to. Nie ma problemu.

Był problem, oboje to wiedzieli, za to nie było wyjścia. Ścisnęła komórkę w dłoni i zrobiła krok w kierunku ciała Ropczyckiego, kiedy nagle drzwi uchyliły się bezszelestnie i stanęli w nich Vincent i Maciek.

– Co się stało Tacie? – Maciuś stał pochylony, jakby nagle coś zatrzymało go w pół kroku i patrzył na ciało okrągłymi ze zdumienia oczami. Dolna warga obwisła mu jeszcze bardziej, razem z podbródkiem, który wysunął się do przodu.

– Mieliście zostać w sali! – krzyknęła Marta, zanim pomyślała, co robi.

Obaj chłopcy struchleli, a ona w tej samej chwili poczuła, że zaraz pęknie jej serce.

– Czy on...? – Vincent stojący za Maćkiem nie dokończył pytania, ale jego wzrok doskonale świadczył o tym, jak miało brzmieć.

– Nie patrz, słyszysz?! – zawołała, choć dużo ciszej niż przed chwilą. – Nie patrz na to! Zabraniam! Zabierz Maćka i wyjdźcie natychmiast! Mieliście zostać w sali. Mówiłam wam, że on bardzo źle się czuje. A w ogóle to spakujcie się, idziemy na wycieczkę.

– Tak, pójdziemy na wycieczkę. – Piotrek podchwycił jej słowa z refleksem godnym podziwu. – Tata zostanie tu, aż wyzdrowieje, a my pierwszy raz pójdziemy sobie gdzieś bez niego. Idźcie się spakować.



– Co mamy spakować? – zapytał Vincent i Piotrek dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie mają niczego poza ubraniami, w których chodzili tu na co dzień.

– Weźcie z lodówki trochę jedzenia. Sprawdźcie u Taty w pokoju, czy nie ma tam kurtek, w których chodzicie na spacer. Jeśli tam nie ma, to nie szukajcie ich gdzie indziej, szkoda czasu. Ale poszukajcie też latarki i weźcie koce. Owiniemy się nimi i pobawimy się w duchy, co wy na to?

– Ale ja się boję duchów – stwierdził Maciuś.

– To w karawanę na pustyni. Lećcie!

Poczekwała, aż wyjdą, przełknęła głośno ślinę, kucnęła i sięgnęła po dłoń trupa. Bezwładna ręka Ropczyckiego była ciężka jak cholera, śmierć dodała jej kilka kilogramów, więc Marta położyła telefon na posadzce, wykręciła kciuk i przyłożyła go do czytnika. Nagle na ekranie pojawiły się cztery dziecięce twarze. Jedną z nich była twarz jej syna.

– Debile – mruknął Piotrek, kręcąc z dezaprobatą głową. – Widać, że nie mieli małych dzieci. To klasyka gatunku, tak właśnie dzieciaki podbierają starym komórki, kiedy śpią, żeby pograć.

– I Bogu dzięki, że nie mieli.

Nacisnęła symbol słuchawki i wybrała opcję „przyciski”. Chwilę później wyraźnie pobladła.

– Coś jest nie tak – wykrztusiła. – Nie da się zadzwonić pod sto dwanaście...

– Pokaż. Przecież połączenia alarmowe są aktywne nawet przy braku zasięgu. – Piotrek wyciągnął rękę i dała mu telefon z nadzieją, że młody coś wykombinuje i chodzi wyłącznie o to, że ona nie ogarnia iPhone'a.

Piotrek miał taki, kilka modeli wcześniejszy, kupiła mu go kosztem wielu wyrzeczeń, ale dałaby mu wszystko. Nagle uświadomiła sobie, o czym mówił Sobczak, opowiadając jej historię swoją i brata. To, co Sobczak zrobił w imię braterskiej miłości, wciąż było wynaturzeniem i zbrodnią, ale zaczynała rozumieć tego podstawę; siłę, która zdolna była popchnąć ich do takich rzeczy.

Nie znamy samych siebie, dopóki nas ktoś nie sprawdzi, powiedział jej nie tak dawno Marek.

Przed chwilą sprawdził ją Ropczycki.

Przed chwilą w imię takiej miłości zabiła człowieka.

– Ktoś w nim grzebał – stwierdził nagle Piotrek, wyrrywając ją z zamyślenia. – Nie da się zadzwonić nawet pod alarmowy. Jedyne numer,

z jakim można się z niego połączyć, to numer tego pojeba, Sobczaka. Czyli jednak nie tacy debile...

Prosiła go, żeby przy niej nie przeklinał, ale tym razem nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby zwrócić mu uwagę.

– Jezu... – szepnęła tylko. – Co teraz?

Nagle zobaczyła, jak twarz Piotrka wydłuża się i zdjęła ją zgroza.

– Kurwa! – Popatrzył na nią wstrząśnięty. – Zdażył zadzwonić do Sobczaka! Dziesięć minut temu! Na pewno już tu jedzie! Musimy uciekać! Natychmiast!

– Tylko gdzie my jesteśmy, Piotrek? Nie wiemy, dokąd uciekać! Jesteśmy w środku lasu!

– Mamo, spokojnie, przecież mamy komórkę!

– Co!?! – Patrzyła na syna jak na wariata.

– Lokalizacja!

– Jezu, debilka ze mnie... No pewnie...

Zaczęła się śmiać jak wariatka, a Piotrek razem z nią. Dopiero po chwili zorientowali się, że do środka zajrzał Vincent i teraz wpatruje się w nich z zaskoczeniem.

– Sio! – Machnęła na niego ręką, wciąż rozbawiona. – Zaraz stąd idziemy, Vini. Jeszcze chwila. Gotowi?

– Tak. Nie znaleźliśmy kurtek, ale wzięliśmy koce. I mamy dwie latarki!

– Cudownie!

Vincent zamarł nagle z półotwartymi ustami i w milczeniu wpatrywał się w ciało Ropczyckiego, a jego nos marszczył się, jakby było pod nim coś wydzielającego niemiły zapach.

– On wcale się źle nie czuje, tylko umarł, prawda? Powiedźcie, że tak. – W jego oczach było błaganie.

– Tak, Vini, umarł – odparł Piotrek, nie patrząc na matkę. – Ale nie mów Maćkowi ani Siebie, dobra?

– Nie powiem. – Głos Vincenta był matowy i brzmiał tak, jakby wydostał się z ust starego człowieka.

Kiedy jego głowa zniknęła za drzwiami, Marta kucnęła przy zwłokach Ropczyckiego. Tym razem nie czuła obrzydzenia, przykładając jego kciuk do przycisku telefonu i kiedy ekran rozjarzył się tapetą z dziećmi, po prostu puściła palec, nawet nie patrząc na opadającą rękę trupa.

Weszła w zakładkę „mapy”, ekran pobieleł, ale sekundy mijały, a na ekranie nic się nie pojawiało.

- Chyba nie ma internetu – powiedziała drewnianym głosem.
- Może ma włączony tryb samolotowy? Albo po prostu nie ma zasięgu?
- Nie wiem. – Podała telefon synowi. – Masz, sprawdź.

Piotrek wziął go do ręki i zaczął dotykać ekranu.

– Nadzór rodzicielski, jakaś aplikacja albo nakładka na system, chociaż te powinny się zgłosić podczas uruchamiania. – Pokręcił zrezygnowany głową. – Chyba że nakładka jest „przezroczysta”, niewidoczna z poziomu telefonu. Nie wiem, mam.

– I tak nie rozumiem, o czym mówisz. Więc dalej nie wiemy, gdzie jesteśmy?

Nagle telefon zawibrował Piotrkowi w ręce, a ekran znów rozjarzył się światłem.

„Przemek dzwoni” – zobaczyli na nim.

– Co robimy? – wyszeptał Piotrek, wzdrygając się.

Zabrała mu telefon z ręki i wstała. Miała wrażenie, że wibracje przenoszą się przez ramię i szyję prosto do jej głowy, wwiercając się w mózg. Patrzyła na wyświetlacz jak zaczarowana.

– Mamo?

Otrząsnęła się i spojrzała na syna, a kiedy wróciła wzrokiem do komórki, ta już milczała. Nagle znów zawibrowała, ale tym razem krótko.

Wiadomość.

Marta nie musiała jej otwierać, cały tekst wyświetlił się w powiadomieniu.

Odbierz, Marta.

Ekran znowu poczerniał.

– Jezu, on wie... – wyszeptała ze zgrozą.

Piotrek zagryzł wargi. Oboje prawie wrzasnęli z przestraszenia, kiedy drzwi otworzyły się i stanął w nich Maciek.

– Idziemy na wycieczkę? – zapytał z entuzjazmem. – Mam już swój plecaczek!

Za jego ramienia do środka zaglądał Vincent, mignął im też Sebastian, który jak zwykle stał gdzieś z tyłu, starając się nie przeszkadzać.

– Jeszcze... Jeszcze nie, Maciuś. – Marta nie wiedziała, co powiedzieć. – Vini i Seba, zabierzcie go na chwilę do pokoju, pograjcie w coś dobrze? Jeszcze chwila. I nie zaglądajcie tu, bo obudzicie Tatę.

Poczekwała, aż chłopcy znikną za drzwiami.

– Jezu, jeszcze raz tu któryś wejdzie, to nie wiem, co zrobię. A propos: co robimy? – zapytała syna gorączkowo.

– Jeśli Sobczak ma podgląd u siebie, to wie, co się stało.

– Może mieć. – Marta przypomniała sobie wizytę w kuchni. – Ale wtedy zareagowałyby trochę bardziej emocjonalnie.

– Też tak myślę. Więc jeśli opiera się tylko na telefonie od Ta... od... od niego, to może mieć jedynie podejrzenia. Nie wiemy, co on mu powiedział przez telefon. Że go uderzyłaś? Że próbujemy uciekać? A przede wszystkim nie wiemy, jak dużo czasu mamy, zanim tu przyjedzie.

– Wiem – powiedziała nagle Marta i powtórzyła procedurę z kciukiem Ropczyckiego, a potem weszła w wiadomości, wystukała tekst i wysłała go do Sobczaka.

– Co mu napisałaś? – zapytał Piotrek.

– Że jest okej.

– A dosłownie?

– Wszystko w porządku, Przemek. Sytuacja opanowana.

Pokiwał z aprobatą głową. Odpowiedź przyszła niemal błyskawicznie.

– Co napisał?

Marta zerknęła na komórkę i popatrzyła na syna szeroko otwartymi oczami.

Odbierz. Mam najświeższe wieści o twoim chłoptasiu.

– Kogo ma na myśli? Ojca Maćka?

– Tak – szepnęła.

– Nie odbieraj.

– Muszę.

– To nic nie mów. Posłuchaj, co ma do powiedzenia i rozłącz się.

Pokiwała głową, a kiedy chwilę później telefon ponownie zadzwonił, dotknęła zielonej słuchawki i bez słowa przyłożyła telefon do ucha.

– Halo? – W głosie Sobczaka usłyszała ledwie wyczuwalne napięcie i coś jeszcze.

Coś, co jej się nie spodobało. Słysząc było, że Sobczak jest w samochodzie.

– Jesteś tam, Marta?

Patrzyła na Piotrka, a ten wyjął jej telefon z ręki i przełączył na tryb głośnomówiący, przykładając palec do ust.

– Jesteś, jesteś. – Głos Sobczaka był napięty, słysząc to było wyraźnie. – Wiem, że mnie teraz słuchasz. No, to słuchaj: nie mam pojęcia, co zrobiłaś

Romkowi, ale lepiej dla ciebie i dla dzieciaków, żeby to nie było nic poważnego. Pan Bielawski przebywa obecnie w areszcie, został zatrzymany za dewastację mojej kliniki, napaść na mnie i grożenie mi bronią, był bardzo agresywny, a jego stan wskazywał na znaczne pobudzenie, w związku z czym zasugerowałem przeniesienie go z aresztu do odpowiedniej placówki medycznej o charakterze zamkniętym. Nie pomógł sobie, wygadując niestworzone i krwawe historie, jakoby zabił cię pewien znany psychiatra, który w dodatku podszywa się pod swojego brata bliźniaka i porywa dzieci. Wyjaśniłem oczywiście, że owszem, byłaś u mnie w klinice, ale sobie poszłaś i nie mam pojęcia, co się z tobą stało, a ze swoim bratem nie mam kontaktu od lat.

– Jest jeszcze Najder – nie wytrzymała.

Sobczak roześmiał się.

– Komisarz Najder jest oficjalnie zdziwiony opowieściami pana Bielawskiego. Twierdzi, że jego kontakty z nim były wyłącznie służbowe i nie ma pojęcia, skąd on ma informacje ze śledztwa, bo część pokrywa się ze stanem faktycznym. Nie dziwię mu się, facet nie chce wylecieć z policji. Ja jestem bezpieczny, bo oczywiście nie mogę brać odpowiedzialności za mojego brata, skoro nawet nie mam pojęcia, gdzie jest i czy w ogóle żyje. Jesteś sama, rozumiesz? Sama. Kiedy przyjadę, po prostu czekaj na mnie, postaram się jakoś załagodzić sprawę z Romkiem. Przekonam go, żebyśmy spróbowali jeszcze raz, damy ci szansę. Wszystko się ułoży. Obiecuję. – Jego głos był proszący. – Może daj mi go po prostu do telefonu?

Piotrek pochylił się i zbliżył usta do komórki.

– Nie masz już tu po co przyjeżdżać – powiedział dobitnie. – To koniec, doktoru. – I dotknął czerwonej słuchawki na wyświetlaczu.

Patrzyli na siebie przez chwilę, świadomi, że nie mają odwrotu. Zresztą wcześniej też nie mieli. Ciszę przerwało bzyknięcie komórki.

Wiadomość. Marta spojrzała i zagryzła dolną wargę.

– Przeczytaj mi – poprosił Piotrek.

Pokręciła przecząco głową, odruchowo chowając telefon za siebie.

– Przeczytaj. Cały, bez ściemniania.

Spuściła głowę i zacytowała z pamięci.

– Pamiętasz, co ci obiecałem na początku? Będiesz bełkoczącą i śliniącą się lalką do ruchania, jeśli coś mu się stało, suko.

– No to wszystko jasne. – Piotrek westchnął ciężko.

– Nie wszystko. Skoro nie wie, że Ropczyckiemu coś się stało, że go... – urwała na moment – ...to znaczy, że jednak nie ma podglądu. Może mają jakieś hasło w esemesach, którego brak świadczy o przejęciu telefonu, i tak się zorientował?

– Nawet jeśli, to już za późno, mamó. To nie ma znaczenia, czy wie, czy nie. Nie będzie żadnych negocjacji, bo jak tu przyjedzie i zobaczy, że on nie żyje... Zostawmy to, nie odpisuj, nie odbieraj więcej, nie oddzwaniaj. Niech się denerwuje. – Piotrek spojrzał na matkę. – No i nie wiemy jeszcze tylko, jak daleko od nas jest.

Marta zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, co mówił Marek. Pamiętała, że była wtedy śpiąca.

– Jesteśmy najprawdopodobniej gdzieś w lesie niedaleko Mirosławca. – Skupiła się. – Jeśli Sobczak jest w Szczecinie, to wyjechał jakiś kwadrans temu. Jest późno, po dwudziestej drugiej, więc na drogach nie ma ruchu. Myślę, że może tu być w ciągu godziny.

– A jeśli nie jest w Szczecinie, tylko bliżej? A my wcale nie jesteśmy koło Mirosławca, tylko właśnie koło Szczecina? To tym bardziej nie mamy czasu do stracenia. Jedziemy. – Piotrek chwycił za koła wózka i obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni.

Marta patrzyła, jak podjeżdża do drzwi, zgrabnie podrzuca przednie kółka wózka, potem pokonuje próg i wyjeżdża na korytarz. Kiedy już tam był, wrzasnął w jego głąb:

– Chłopaki, chodźcie!

Jego głos po mutacji przypominał głos ojca. Był niemal identyczny i Marta cieszyła się, że Piotrek ma z niego wyłącznie to i nazwisko.

Wyszła za synem. Przepęniało ją uczucie ulgi pomieszanej ze strachem, bo jeszcze nie wygrali. Sprawa wciąż nie była zakończona, w dodatku groziło im realne niebezpieczeństwo. Z Ropczyckim poszło jej nieźle, ale była świadoma, że stało się to w wyniku przypadku i splotu sprzyjających okoliczności, i chociaż do niego doprowadziła, nie miała prawa sądzić, że uda się jej to jeszcze raz. Tym razem z przeciwnikiem przygotowanym na wszystko. I znów zabrzmiały jej w głowie słowa Marka: „Unikanie walki czy ucieczka to nie wstyd. Wstyd to dać się zabić gnojowi za telefon albo portfel”.

A sama dopowiedziała sobie: albo za nieudaną próbę zemsty.

Nie było sensu czekać na Sobczaka i szykować się na wojnę z nim tylko dlatego, żeby się na nim zemścić za to, co im zrobił. Musiała myśleć

o dzieciakach.

Trzeba było spieprzać stąd jak najszybciej.

Wyglądali jak uchodźcy. Dzieciaki opatulone kocami, Piotrek na wózku, blady i wymizerowany, i ona, przewodniczka, w niewiele lepszym stanie. Maciuś trzymał na rękach Rufusa, kot był wyraźnie zrezygnowany. Stali wszyscy stłoczeni na końcu, a właściwie na początku korytarza, w załomie przy wyjściu. Charakterystyczne załamanie jego przebiegu miało zapobiegać skutkom eksplozji granatu wrzuconego przez żołnierzy próbujących zdobyć bunkier, i dopiero na jego końcu znajdowało się wyjście.

Pozostała im do przekroczenia jeszcze jedna granica i Marta pomyślała, że w ciągu ostatniego czasu przekroczyła ich tyle, że więcej chyba nie da rady. Ale tę musiała, jeśli chciała żyć.

– Za nimi są jeszcze jedne – powiedział Vincent.

Marta spojrzała na Piotrka, ten wzruszył tylko ramionami.

– Nie wiem, nie wychodziłem na zewnątrz, odkąd tu jestem.

– Wychodziłeś. – Popatrzyła na niego uważnie.

– Aaa, tak. – Machnął ręką. – Ale tego nie pamiętam. Musiały być otwarte, może on się zapomniał, nie wiem.

Podeszła do drzwi, zwyczajnych, takich, jakie zwykle montuje się w domach w wejściu. Były pełne, nie miały szybki ani, co dość zaskakujące, zamka. Nacisnęła klamkę i kiedy pociągnęła je do siebie, stanęły otworem, ale za nimi były jeszcze jedne.

– Mówiłem. – Vincent pokiwał głową.

Marta patrzyła na szarą metalową powierzchnię upstrzoną nitami, ale najbardziej martwiło ją coś innego. Dwie wielkie, niknące w murze sztaby na jej górze i dole oraz pudełko z klawiaturą. – Seba... – Przełknęła ślinę. – Tu też jest klawiaturka i kod.

Obejrzała się powoli i zobaczyła, jak chłopak kręci głową.

– Nigdy jej nie słyszałem.

Marcie zrobiło się gorąco. Nie było szans wyważyć tych drzwi, a tylko dwóch ludzi znało kod. Jeden nie żył, drugi właśnie robił wszystko, co w jego mocy, żeby zdążyć otworzyć je przed nią.



– Pokaż mi jego telefon. – Piotrek wyciągnął rękę w stronę matki.

– Po co?

– Muszę coś sprawdzić!

Marta wyjęła komórkę z kieszeni spodni i spojrzała na syna bezradnie.

– Trzeba go znów aktywować odciskiem palca.

– Cholera, może mu go utniemy i weźmiemy ze sobą, co? I tak mu się już nie przyda. – Uśmiech Piotrka był drapieżny, spojrzenie też, ale Marta roześmiała się z żartu.

Bo to chyba był żart.

– Dobra – zdecydował Piotrek, wskazując iPhone. – Idź go aktywuj i wróć, klikając po drodze w wyświetlacz, żeby nie zgasł.

– Ale po co ci ten telefon?

– Bo w nim może być klucz.

– Jak...

– Po prostu idź, mamo, i zrób to. Nie trać czasu, okej? Wiem, co mówię.

Przepchnęła się pomiędzy zmarkotniałymi nagle dzieciakami, które powoli traciły entuzjazm, i poszła w głąb korytarza.

Kiedy otwierała drzwi swojego pokoju, przez chwilę ogarnął ją irracjonalny przestach, bo wyobraziła sobie, że Ropczycki jednak żyje, a jej się tylko wydawało, że go zabiła, i teraz czai się za drzwiami, czekając na nią w absolutnej ciszy. Zganiła w myślach samą siebie i weszła do środka. Leżał w tej samej pozycji co poprzednio, z podbródkiem na posadzce i oczami, które zdążyły zrobić się mętne. Jego skóra powoli robiła się pergaminowo żółta. Marta ukłękła, przyłożyła opuszkę kciuka do czytnika linii papilarnych, znów odrzuciła rękę, nie patrząc w stronę trupa, i zaczęła przesuwać palcem wskazującym po ekranie. Nagle zobaczyła kolejną wiadomość. Już nie żyjesz, kurwo jedna, zaraz tam będę. Była pewna, że skurwiel stosował technikę psychicznego terroru i próbował osłabić jej wolę. Pomyślała tylko: niedoczekanie i niewiele myśląc, skasowała esemesa, a dopiero potem wróciła do Piotrka i dzieciaków.

Syn wziął od niej komórkę i zaczął przeglądać jej zawartość.

– Czego szukasz? – zapytała.

Pokazał na drzwi.

– Widziałem kilka razy, jak on wchodził do siebie, nie używając kodu, tylko klikając w telefon. Tam był elektrozamek otwierany komórką. Ten zamek też może być sterowany z aplikacji, która jest w telefonie. Jeśli

faktycznie tak jest i nie jest jakoś sprytnie zabezpieczona, to powinniśmy go otworzyć.

Marta popatrzyła na syna z podziwem. Nigdy nie wierzyła w przeznaczenie, los, boskie plany, ale teraz była bliska uwierzenia. Nie umiała tego określić czy wybrać nazwy z tych jej znanych, lecz w tej chwili była przekonana, że tak miało się stać. Że miała tu trafić, dołączyć do porwanych i pomóc im, bo tylko tak mogli się stąd wydostać. Z nią. A gdyby była tu sama, to też nie dałaby rady bez Piotrka. Wszystko więc złożyło się idealnie, choć to chyba nie było dobre słowo. Złożyło się, po prostu.

Piotrek siedział wpatrzony w skupieniu w wyświetlacz komórki. Marta obserwowała z przyjemnością i dumą jego szybkie palce, potężne ramiona, nawet wątle nogi, leżące na podłodze w bezładzie i myślała, ile niektórym w życiu przytrafia się nieszczęść. I ilu potrafi się z nich otrząsnąć i żyć dalej. Piotrek był jednym z nich. Ona pewnie też, ale to jemu należały się największe wyrazy uznania. Kochała go nad życie. Cieszyła się, że większość cech odziedziczył po niej, a nie po tym rozchwianym emocjonalnie i niezaradnym życiowo mydłku, z którym przypadkowy seks połączył ją na paręnaście lat. Jedyną dobrą rzeczą, jaką ten gość jej dał, był chłopak siedzący teraz pod ścianą, i tylko dlatego nie dała facetowi w ryj, kiedy oświadczył, że się wyprowadza, bo też ma swoje potrzeby, których nikt nie zauważa i nie rozumie.

– Sezamie, otwórz się – powiedział nagle Piotrek, choć z taką intonacją, jakby zadawał pytanie i Marta zorientowała się, że jest blisko, ale jeszcze nie jest pewien efektu.

I nagle zamek szczęknął, a skrzydło drzwi odskoczyło nieznacznie od futryny.

– Taaaak! – wrzasnęła, czując, jak ogarnia ją euforia.

Rzuciła się synowi w ramiona, niemal kładąc mu się na kolanach, a on objął ją i uściskał jak nigdy od pewnie dziesięciu lat. Znów przez chwilę był jej małym chłopcem wpatrzonym w mamę, a ponieważ była świadoma, że to może się więcej nie powtórzyć, chłoneła tę chwilę, nie wypuszczając go z objęć, mimo że czas gonił. W końcu musiała go jednak puścić.

Stała przed lekko uchylonymi drzwiami i pociągała nosem, napawając się leciutkim powiewem świeżego powietrza. Kiedy pchnęła ciężkie skrzydło, używając przy tym niemal całej siły, te otworzyły się, a zza nich do środka buchnął zapach wilgotnego sosnowego lasu. Kiedy Marta

obejrzała się na Piotrka, zobaczyła, że za wózkiem stoją już Maciuś, Vincent i Sebastian. Spod narzuconych na siebie koców wystawały przejęte twarze, ich oczy płonęły nadzieją i ekscytacją. Aż się zdziwiła, pamiętając, jak mocno tkwili w świecie stworzonym przez bliźniaków.

Tylko że Marta wiedziała, że to jeszcze nie koniec ich gehenny. Musieli jakoś dostać się do cywilizowanego świata, i to unikając Sobczaka, który być może dojeżdżał właśnie do Farmy.

– Maciek, chyba będziesz musiał zostawić Rufusa tutaj, wiesz? – powiedziała.

– Neeee!

– Posłuchaj. – Kucnęła przed nim. – Tu jest jego domek. Przypomnij sobie, jak się czułeś, kiedy ten człowiek zabrał cię z twojego domu. Pamiętasz? Rufus będzie się czuł tak samo. Ma tu swoich kolegów...

– Ale on nie wychodził na dwór!

– Nie szkodzi... – Straciła na chwilę wenę. – Posłuchaj, porozmawiam z twoim tatą i kupi ci najpiękniejszego kota, jakiego sobie tylko wymarzysz!

– Ale ja chcę Rufusa.

– Dobrze, przyjedziemy tu po niego, ale teraz nie możemy go zabrać, rozumiesz?

– Dlaczego?

– Bo... – Machnęła ręką i wstała.

Zrozumiała, że go nie przekona, i miała już tylko nadzieję, że gdy wyjdą, problem rozwiąże się sam, bo Rufus po prostu czmychnie w las. Otworzyła drzwi na całą szerokość.

– Vini, daj mi latarkę. – Wyciągnęła rękę do tyłu, nie oglądając się.

Bała się, że kiedy to zrobi i wróci wzrokiem w to miejsce, za drzwiami zamiast ciemnego lasu będzie mur albo dalsza część korytarza. Kiedy poczuła w dłoni zimno metalu, zacisnęła ją na latarce. Snop białego światła zatańczył na ceglany stropie, a następnie wydostał się na zewnątrz i wyłuskał z ciemności pionowe linie. Pnie drzew. Za nimi znajdowała się nieprzenikniona czern.

– Udało się! – szepnęła, dopowiadając w myślach: Prawie...

Miała praktycznie niewidome dziecko, drugie miało trudności z poruszaniem się, trzecie w ogóle nie chodziło, a czwarte było zbyt młode, by mogła na nie poważnie liczyć. I nie chodziło nawet o niepełnosprawność intelektualną Maćka.

Była w czarnej dupie, ale i tak musiała coś zrobić. Trzeba było zacząć działać.

– Zostańcie jeszcze – powiedziała do reszty i wyszła na zewnątrz.

Wciągając głęboko do płuc chłodne powietrze, poświeciła dookoła i zorientowała się, że las otacza ją ze wszystkich stron. W zasięgu promienia światła latarki nie widziała żadnej ścieżki, przesieki, polany, nie wspominając już o normalnej drodze. Odwróciła się w stronę wyjścia i poświeciła na betonowy, obrośnięty mchem krąg o wysokości jakichś trzech metrów nakryty ściętą kopułą, wystający z lekko nachylonego zbocza porośniętego bukami. Znow okazało się, że Yancey miał rację. Niska wieża wydawała się wejściem do bunkrów, a pomieszczenia, w których byli, tylko to potwierdzały. Bracia stworzyli Farmę idealnie pod swoje wymagania.

Marta jeszcze raz spojrzała na las. Wózek inwalidzki był na jego miękkim poszyciu bezużyteczny. Musiała wziąć Piotrka na ręce, choć zdawała sobie sprawę, że nie będzie w stanie nieść go tak zbyt długo. Jedyne rozwiązanie było wzięcie go na plecy. Chciała już tylko zostać na zewnątrz i więcej nie musieć wracać do środka, a najchętniej w ogóle wysadziłyby to miejsce w powietrze, ale oczywiście zmusiła się, żeby wrócić do środka. Oddała latarkę Vincentowi, kucnęła przed wózkiem, plecami do niego i zakomenderowała:

– Wskakuj!

– No co ty? – usłyszała zdumiony głos Piotrka i śmiech Maćka.

– Piotrek będzie jeździł na konisium!

– Wskakuj albo zostajesz – wystękała.

Zrobił to. Chwycił się za nogawki spodni i wsunął nogi pod jej pachami na uda, potem chwycił ją za szyję i przywarł do niej. Marta nie bez trudu podniosła się z kucek z synem na plecach. Poczowała jego ciepło, a w nogach ciężar jego ciała, ale nie zastanawiała się, jak długo wytrzyma. Najwyżej będą robić przerwy, byle uciec w las, gdzie nie znajdzie ich Sobczak.

– Idziemy, dzieciaki – rzuciła za siebie i postawiła pierwszy krok ku wolności.

Nie usłyszała okrzyków radości, nikt nie powiedział, jak bardzo czekał na tę chwilę. Ona była tu tylko kilka dni, Piotrek kilka tygodni, a pozostali spędzili tu kawał swojego życia. Tak to musiało wyglądać z ich dziecięcej perspektywy. I jeśli chodziło o Piotrka, to ze względu na jego wiek i silną psychikę miała nadzieję na pozytywne zakończenie całej sprawy, ale

w przypadku pozostałych zastanawiała się, czy jest jeszcze w ogóle co naprawiać.

Wyszli całą piątką na zewnątrz. Na szczęście świecił księżyc i to było jak dar od losu, bo dzięki temu las nie był jednym wielkim mrokiem, tylko po prostu lasem: może trochę ciemnym, ale jednak lasem. Bała się o Maćka, który ze strachu mógł nie chcieć iść z nimi, i wciąż jeszcze pozostawała kwestia Rufusa. Nie sądziła, żeby kot miał ochotę pójść za swoim młodym panem, ale wciąż trzymał się jego nogi i najwyraźniej nie zamierzał nigdzie uciekać, przynajmniej na razie. Westchnęła głęboko i zamknęła na chwilę oczy. Słysząc było tylko cichy szum wiatru buszującego w koronach drzew. Marta skupiła się, usiłując wyłowić coś jeszcze: szum samochodów na odległej drodze, odgłosy pracy jakichś urządzeń, ale nic nie słyszała. Może gdyby był dzień...

Odwróciła się, czując, jak zaskoczony nagłym ruchem Piotrek łapie ją mocniej za szyję.

Maciek bawił się latarką, podświetlając korony drzew, a Vini straszył Sebę, robiąc to samo, tylko z własną twarzą, nie dbając, że chłopak nie może tego widzieć. Pomyślała, że wyglądają jak normalne dzieciaki z obozu albo kolonii, które w jasną noc wychowawcy zabrali na szybki wypad do lasu. I znów dopadła ją myśl, że oni nie byli już normalnymi chłopcami, a ryzyko, że nigdy nie staną się nimi z powrotem, było ogromne.

– Sebastian! – zawołała.

– Tak?

– Posłuchaj i powiedz, czy nie słyszysz czegoś poza szumem wiatru, co? Samochodów, pociągu, czegoś takiego. Dźwięków cywilizacji. Vini, przestań na chwilę, Seba musi się skupić.

Vincent skierował światło latarki na ziemię i zapadła cisza. Sebastian stał przez chwilę w bezruchu, ale po kilkunastu długich jak minuty sekundach pokręcił głową.

– Nic.

Krótko i beznadziejnie.

– Okej, trudno. – Westchnęła i odwróciła głowę do tyłu. – Któredy się czołgałeś, kiedy uciekłeś? – zapytała cicho Piotrka.

– Nie pamiętam tamtej drogi, mam. Pamiętam tylko, że to był las, a on jest wszędzie. – Przed jej twarzą pojawiła się jego ręka, którą potoczył dookoła, druga mocniej ścisnęła jej szyję. – Czołgałem się przed siebie, byle

dalej, nawet nie wiem, w którą stronę. Tylko przypadkiem wydostałem się na szosę. A Sobczak tak mnie potem zaćpał, że nie wiedziałem nawet, kim jestem. – Nagle gwałtownie wciągnął do płuc powietrze. – Półtora kilometra!

– Co: półtora kilometra?

– Tak powiedział: nie uwierzyłbym, że ktoś może czołgać się półtora kilometra przez las!

– Jezu... Naprawdę?

– Tak, tylko... – Z jego piersi wyrwało się głębokie westchnięcie. – Nie wiem, w którą stronę!

Marta stała nieruchomo, zastanawiając się gorączkowo, co dalej. Czuła na karku oddech syna, czuła też, że pozostali wpatrują się teraz w jej i Piotrka plecy i była pewna, że nawet przez myśl im nie przejdzie, że może się nie udać.

Jej ta myśl przychodziła do głowy co rusz.

– Nie przejmuj się tym, Piotrek, dobrze? – powiedziała po chwili, zmuszając się do wesołego tonu. – Znajdziemy inny sposób. Po prostu zejdzmy w dół zbocza i będziemy tak szli, aż trafimy na strumień, drogę albo cokolwiek innego, co jest dziełem człowieka. Taki jest plan, okej?

– Jasne. – Usłyszała w głosie syna hardość i to wlało w jej serce nadzieję.

– Damy radę, co? – zapytała, uśmiechając się do niego szeroko i odwracając głowę, żeby mimo ciemności mógł zobaczyć chociaż kawałek tego uśmiechu.

– Damy, mamó – odparł nonszalancko i ta nonszalancja w jego głosie ucieszyła ją jeszcze bardziej. – Nie wiemy, gdzie jesteśmy, nie wiemy, dokąd iść, i nie wiemy, ile mamy czasu, ale damy radę, a wiesz dlaczego?

– Nie, nie wiem, powiedz mi – odparła.

Chwyciła mocniej jego uda i podrzuciła go, poprawiając go sobie na plecach. Piotrek zbliżył usta do jej ucha i wyszeptał:

– Dlatego że do tej pory zawsze dawaliśmy. Zawsze, rozumiesz? Zawsze...

Kiedy telefon Ropczyckiego zawibrował jej w kieszeni, wyciągnęła go i zanim powiadomienie zniknęło za czernią ekranu, zdążyła je przeczytać. Treść wiadomości była jak zwykle krótka.

Jestem blisko. Tuż-tuż. A ty jesteś już martwa. Tik tak, ty głupia cipo, tik tak...

– Co napisał? – Głos Piotrka był napięty.

– Nic – powiedziała do syna. – Jest jeszcze daleko stąd, wie, że przegrał, ale wciąż robi sobie nadzieję. Nie wierć się teraz.

Upuściła telefon na ziemię, z satysfakcją wgniotła go obcasem w miękkie poszycie i tak długo kręciła piętą, aż usłyszała chrupnięcie pękającej szybki albo obudowy.

– Idziemy. – Poświeciła latarką przed siebie, wyłuskując szerokim snopem światła najbliższe drzewa. – Vini, ty prowadzisz Sebę, Maciek pilnujesz stada i Rufusa, a ja niosę Piotrka. Uważajcie pod nogi. Wracamy do swoich domów, dzieciaki. Wracamy do domu...

Światło księżyca tylko nieznacznie ułatwiało im wędrówkę. Drzewa rzucały na poszycie głębokie cienie, kontrast między światłem a ciemnością pogłębiał tylko tę drugą, utrudniając poruszanie się. Nawet jeśli światło przebiło się przez korony i między pniami dotarło do ściółki, to każdy wykrot wydawał się większy przez cień, który rzucał. Ale Marta nie poddawała się. Myśląc o każdym kroku, stawiała nogę jedną za drugą, pokonując kolejne metry i co jakiś czas rzucając za siebie pytanie: „W porządku?”. Odpowiadał jej w zasadzie wyłącznie Vini, ale uznała, że skoro nikt nie oponuje, to faktycznie tak jest, jednak na wszelki wypadek sprawdzała listę obecności, każąc im się zgłaszać po kolei. Uspokajały ją błyski światła tańczące po pniach drzew, kiedy chłopcy bawili się latarkami. W pewnym momencie Piotrek poklepał ją delikatnie w obojczyk.

– Mamo nie jestem pewien, ale...

– Tak? – wysapała.

– Mogłem wtedy tędy się czołgać, wiesz?

– Tędy? Na pewno?

– Na pewno to nie, ale te drzewa tu rosną tak gęsto... Wydaje mi się, że je wtedy mijalem. Też było dość jasno.

– I tak nie mamy wyjścia, już nie zawrócimy.

– Nie chcę tam wracać – szepnął jej do ucha.

– Ja też nie, za żadne skarby. – Zacisnęła zęby, podrzuciła go sobie na plecach i dalej szła, ostrożnie stawiając stopy na miękkim poszyciu.

– Jeśli faktycznie tędy się czołgałem, to powinniśmy trafić niedługo na ścieżkę – powiedział Piotrek.

Marta pokiwała głową. Powoli traciła siły, choć przeszli dopiero pewnie kilkaset metrów. Problem w tym, że w takich warunkach zdawało się jej, jakby to było kilka kilometrów. Na szczęście nachylenie zbocza stopniowo łagodniało, aż wreszcie zrobiło się całkiem płasko, co trochę poprawiło Marcie nastrój. Chłopcy, nawet Sebastian, radzili sobie całkiem dobrze, traktując eskapadę jak atrakcję, choć wciąż zastanawiała się, jak długo to jeszcze potrwa, zanim zmęczą się, zaczną marudzić i marsz stanie się drogą



przez mękę. I nagle, zupełnie niespodziewanie, trafili na ścieżkę, choć nie była to może ścieżka, a raczej leśna przesieka. Po przejściu jakichś stu kolejnych metrów dotarli do drogi pożarowej, która w porównaniu z terenem, po jakim szli do tej pory, była jak wygodna autostrada. Księżyc wisiał na bezchmurnym niebie dokładnie w jej osi jak wielki drogowskaz i teraz stanowił wręcz idealną latarnię.

– Już blisko! – zawołała Marta, czując, jak jej serce przyspiesza, choć i tak biło z wysiłku o wiele za szybko.

Nie miała zielonego pojęcia, czy tak faktycznie jest, ale chciała im dodać trochę animuszu, sobie pewnie też. Przyspieszyli kroku. Słyszała z tyłu szuranie ich stóp i chrzęst kruszywa, którym utwardzona była droga. I nagle Marta usłyszała wizg. Nie był głośny, ale nie miała wątpliwości co to takiego. Tir. Wielka ciężarówka z naczepą jadąca ze sporą prędkością. Szosa musiała być blisko. Choć wydawało się jej, że to niemożliwe, jeszcze przyspieszyła kroku.

– Zaraz mnie zgubisz – zażartował Piotrek, który zaczął od razu podskakiwać na jej plecach w rytm długich i jeszcze szybszych kroków. – A na pewno tamtych.

Zwolniła, ale nieznacznie.

– Dajecie radę? – rzuciła za siebie.

Vincent potwierdził, reszta nie oponowała. I nagle usłyszeli kolejny szum, i zobaczyli światełko, które mignęło gdzieś przed nimi jak spadająca gwiazda, niziutko, poziomo, od lewej do prawej, na bardzo krótkim odcinku. Błysnęło i zgasło, ale Marta wiedziała już, że to droga, którą właśnie przejechał samochód. I nie była to kolejna leśna pożarówka, tylko prawdziwa szosa z normalnym ruchem. Dotarli do niej niemal biegiem, Marta pierwsza. Tuż przed czarną, błyszczącą matowo w świetle księżyca wstęgą asfaltu zwolniła odrobinę, ale i tak siłą rozpędu prawie na nią wbiegła. I wtedy rozległ się ryk klaksonu, tuż przed nosem śmignęło jej coś wielkiego i białego, a podmuch powietrza rozwiął jej włosy na wszystkie strony. Rozległo się buczenie, kiedy wielki autobus zaczął gwałtownie hamować. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej i zjechał na pobocze; stał teraz lekko przechylony, a w półmroku bielał jego tył. Marta rzuciła „za mną” i poprawiając sobie Piotrka na plecach, ruszyła w tamtą stronę. Nagle zobaczyła maleńki punkcik światła tańczący po ziemi i usłyszała stek przekleństw.

– Halo! – zawołała i stanęła.

Świątełko zbliżało się, a przekleństwa stawały się coraz głośniejsze. Ciemna, ludzka sylwetka powiększała się i po chwili łysiejący mężczyzna w białej koszuli stanął przed nią, świecąc jej latarką prosto w twarz. Uniosła rękę i zasłoniła oczy, czując, że Piotrek robi to samo i zaczyna się z niej zsuwać.

– Chryste, kobieto, czy ty jesteś normalna?? – krzyczał kierowca. – Przecież bym cię zabił! Gdzie masz odblaski, co ty w ogóle tu...

Głos uwiązał mu w gardle, kiedy w świetle księżyca i swojej latarki coraz wyraźniej widział kolejne szczegóły, a zwłaszcza przerażone oczy trójki dzieci owiniętych w koce.

– Kim wy jesteście? – wyszeptał ze zgrozą.

– Zostaliśmy porwani... – Marta poczuła, że zaraz z ulgi wybuchnie płaczem; najchętniej rzuciłaby się kierowcy na szyję, ale na plecach wciąż miała Piotrka. – Gdzie my jesteśmy?

Mężczyzna rozłożył ręce.

– To krajowa dziesiątka, odcinek między Łowiczem Wałęckim a Pruszczem.

Pokiwała głową, choć niewiele jej to mówiło.

– Musi nas pan zawieźć na policję, natychmiast, współnik porywacza już tu jedzie, musimy uciekać, rozumie pan, musimy...

– Spokojnie, proszę pani, spokojnie! – Podszedł do niej dwa kroki, lekko unosząc ręce, jakby chciał ją przytulić albo pogłaskać, więc cofnęła się.

– Natychmiast, rozumie pan? – zapytała, wpatrując się w plasek światła podrygujący na trawie. – Na policję...

– Niedługo będziemy w Kaliszu Pomorskim. Tam jest komisariat, podjadę pod niego. Chodźcie, mam kilka wolnych miejsc... – Wciąż toczył zszokowanym spojrzeniem po dzieciakach, nagle wyciągnął ręce w stronę Marty i zaproponował. – Pomogę pani go nieść.

– Nie trzeba – mruknęła.

Kierowca szedł ostrożnie obok niej, oglądając się co chwila na gromadkę za nimi.

– Proszę się nie zdziwić, wiozę Hindusów na budowę do Stargardu, mają kontrakt – wyjaśnił cicho.

Marcie nie robiło to żadnej różnicy. Kierowca pomógł jej wnieść Piotrka do autobusu, potem ona pomogła chłopcom. Szli w ciszy między siedzeniami, odprowadzani zdziwionymi spojrzeniami śniadych mężczyzn o kruczoczarnych włosach, którzy w ogóle nie spali albo zostali obudzeni

niespodziewanym przystankiem. Usiadła na wolnym miejscu przy oknie i poczuła, że zapada się w fotelu, jakby jej ciało ważyło kilka ton. Była śmiertelnie zmęczona, a mięśnie nóg i ramion zaczynały palić żywym ogniem. Kierowca posadził Piotrka obok niej, a chłopcy, przepychając się, zajęli miejsca w fotelach przed nimi.

– W porządku? – zapytał, obrzucając ją zatroskanym spojrzeniem.

Pokiwała głową, a potem oparła głowę o szybę. I wtedy zauważyła biały samochód, który nadjechał wcześniej z naprzeciwka i teraz stał na przeciwnym pasie z włączonym kierunkowskazem, jakby jego kierowca czekał, aż autobus odjedzie, choć nie blokował mu leśnej drogi, w którą najwyraźniej zamierzał skręcić. Struchlała. Kto o tej porze mógł zjeżdżać w las? Może gdzieś w jego głębi znajdowała się jakaś osada, ale to było bardzo mało prawdopodobne.

Miała przeczucie, że zdążyli w ostatniej chwili. Dosłownie w ostatniej.

Jeśli to był Sobczak, to nie mogła dopuścić, żeby skurwiel zdążył kliknąć jej koło ucha tym czymś, co sprawiało, że nie była w stanie się poruszyć. Wiedziała, że nawet jeśli jakimś cudem mu się to uda, to dzieciaki nie pozwolą mu na nic, ale wołała nie ryzykować. Miał ogromny dar przekonywania, chłopcy, może oprócz Piotrka, mogli być już tak zastraszeni i zmanipulowani, że jakimś cudem wzięliby nagle jego stronę. Zdążyła się przekonać, że jeśli chodzi o Sobczaka, to niczego nie można być pewnym, dlatego dopiero kiedy usiadła w fotelu w autobusie, pozwoliła sobie na rozluźnienie mięśni. Była bezpieczna, ona i chłopcy, i już nie musieli uciekać.

Teraz ktoś inny musiał to robić.

Kiedy wreszcie ruszyli i w autobusie zgasło światło, Piotrek poprosił ją, żeby zapaliła małą podsufitową lampkę. Jej światło było mdłe i barwą przypominało to z Farmy, ale on podziękował jej tylko mruknięciem i niemal natychmiast zapadł w sen. Nabierali prędkości powoli, a kiedy jazda stała się monotonna, chłopcy z przodu też ucichli.

– Would you turn off the light, please, cause I can't sleep? – Tuż nad jej głową rozległ się cichy głos.

– Nie! – Zanim Marta zdążyła zareagować, Piotrek krzyknął, szarpnął się w półśnie w fotelu i wyciągnął rękę przed siebie.

– Przepraszam, syn panicznie boi się ciemności... – Marta odwróciła się do tyłu i zobaczyła nad oparciem śniadą twarz okoloną czarną brodą.

Hindus nie kłócił się, tylko pokiwał ze zrozumieniem głową i zniknął za fotelem. Chwilę później Marta poczuła, jak Piotrek znów mięknie i mocniej opiera się o nią. Odetchnęła głębiej i przyłożyła rozgrzane emocjami czoło do chłodnej szyby.

Biały samochód pojawił się niespodziewanie. W panującej za oknem autobusu kompletnej ciemności, za szybą rozświetloną odbijającym się od niej światłem lampki z podsufitki, Marta zauważyła nagle niewyraźną, żółtawą plamę światła jego reflektorów. Ostrożnie, żeby nie obudzić syna, przytknęła dłoń do czoła i do szyby. Tak, to był ten sam biały volkswagen, który chciał skręcić w las, a teraz zrównał się z autobusem. Nagle w jego wnętrzu zapaliło się światło i dzięki temu mogła zobaczyć kierowcę. To był Sobczak, teraz miała już pewność. Natychmiast odsunęła się od szyby, ale on ją zauważył; lampka nad jej głową była jedynym źródłem światła w autobusie. Jechał obok z tą samą prędkością i patrzył w okno, szukając jej spojrzenia. Widziała to kątem oka, ale udawała, że jest skupiona na Piotрку, który wciąż siedział oparty o nią, z głową na jej ramieniu. Wdychała z rozkoszą zapach jego włosów, niezbyt przyjemny, ale dla niej, teraz, był niczym woń najpiękniejszych kwiatów. W końcu uśmiechnęła się do siebie i odwróciła głowę.

Sobczak, widząc jej twarz, podniósł rękę, zacisnął ją w pięść i wystawił kciuk oraz mały palec. „Zadzwoń”. Jego usta bezgłośnie wypowiedziały to słowo, jakby bał się, że Marta nie zrozumie gestu.

Nie myliła się tam przy wyjściu z Farmy. Sobczak wciąż jeszcze miał nadzieję i to ona była motorem jego irracjonalnego zachowania. Wciąż mógł jeszcze zniknąć i to Marta mu tę szansę dała, choć tylko pozornie. Nie wiedziała, czy zdążył zajrzeć na Farmę i zobaczyć, co stało się z jego bratem, czy nie, ale to, co robił, świadczyło o obsesji, bo na pewno nie o zdrowym rozsądku. Mógł choć spróbować się ratować, uciekać, nawet za granicę, zamiast starać się ją do czegoś przekonać. Tylko właśnie do czego? Żeby nie zawiadamiła policji? Żeby o wszystkim zapomniała? Czy żeby wróciła razem z dziećmi? Marta była w takim stanie psychicznym, że to, czy Sobczaka złapią, czy nie, było jej niemal obojętne. Sobczak nie miał powrotu do dawnego życia, a ona wiedziała, że zawsze już będzie tylko uciekającym szczurem, którego wszyscy będą chcieli zatłuc. I ta świadomość sprawiała jej przyjemność, napawała się myślą, że już do końca życia Sobczak mógł być tylko albo uciekinierem, albo więźniem. I kiedy tak patrzyła na jego wciąż przytkniętą do szyby samochodu pięść

udającą słuchawkę telefonu, pchnięta jakimś impulsem, przyłożyła do okna swoją i powoli, z satysfakcją, wystawiła środkowy palec.

Zostający w tyle i niknący w ciemności samochód był najcudowniejszym widokiem, jaki mogła sobie teraz wyobrazić.

Marta nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła. Po prostu fotel wessał ją w siebie i otulił, a kołysanie autobusu uspokoiło. Kiedy poczuła na swoim ramieniu uścisk czyjejs ręki, reakcja była natychmiastowa. Z jej gardła wydostał się jęk, a pęcherz skurczył się, próbując opróżnić w odruchu przeraźliwego, panicznego strachu. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą twarz i usłyszała:

– Proszę pani, spokojnie, jesteśmy w Kaliszu, przed komisariatem. Jest pani bezpieczna. Bezpieczna.

Zobaczyła obok siebie Piotrka, znad oparcia fotela przed nią zerkał uśmiechnięty Vini. Wyjrzała przez okno i zlustrowała niemal pusty parking zalany pomarańczowym światłem latarni. Białego volkswagena nigdzie nie było.

– To koniec – wyszeptała do syna. – Wreszcie koniec...

Szczecin/Pilchowo, 05.11.2021 – 08.04.2022

## OD AUTORA

To mój pierwszy thriller psychologiczny. Bardzo lubię ten gatunek, choć piszę głównie kryminały, ale gdyby się tak dobrze zastanowić, to tych, które już napisałem, też nie można wsadzić do tej szufladki. Emocje zawsze stanowiły dla mnie element opowieści równie istotny jak wątek kryminalny. Tu jest ich jeszcze więcej. To nie jest historia, która ma zwrócić uwagę na bardzo ważny problem zaginięć czy porwań dzieci. Co jakiś czas wstrząsają nami informacje o takich zdarzeniach, rodzą bunt, są kompletnie niezrozumiałe, a statystyki wręcz przerażają. Nie przeprowadziłem studiów na ten temat, nie rozmawiałem z policjantami, opierałem się jedynie na swojej wiedzy, ogólnodostępnych informacjach czy reportażach. Być może jako ojciec mam po prostu opory przed zbyt mocnym zagłębianiem się w ten temat i nie chciałem skupiać się na opisywaniu cierpienia dzieci. Uznałem, że to niepotrzebne i że pokażę inne emocje, choć również wstrząsające. To miała być przede wszystkim opowieść o silnej, zdeterminowanej kobiecie, której odebrano skarb i która o ten skarb walczy. O mężczyźnie, który myśli, że ma wszystko i może wszystko, a jednak ktoś wyprowadza go z błędu. O tym, jak wiele jest się w stanie zrobić dla własnego dziecka i ile emocji to kosztuje. Miała to być także opowieść o braterskiej miłości, miłości wynaturzonej i spaczonej, rozpatrywanej przez pryzmat tragicznego zdarzenia z dzieciństwa i jego konsekwencji. Ale mimo wszystko to fikcja. Mieliście odczuwać emocje, które dla Was zaprojektowałem, realia były mniej ważne, choć nie chciałem też całkiem odlecieć. I dlatego specjalne podziękowania należą się doktor Beacie Rajczyk, psychiatrze i psychoterapeutce dziecięcej. Beata, dziękuję Ci za to, że mogłem tę historię mocniej osadzić w realiach, choć świadomość, że takie rzeczy jak z tej opowieści dzieją się również naprawdę – boli. Bo tak, dzieją się, choć ta wiedza w powszechnej świadomości jest szczątkowa. Słyszeliśmy o Josefie Fritzlu, Marcu Detroux i innych, a o ilu przypadkach nie słyszeliśmy? Dużo większą wiedzę dysponują specjaliści i jest to bagaż o ogromnym ciężarze. Jeśli chodzi o sferę ludzkiej psychiki czy seksualności, nie ma granic, których człowiek

nie mógłby przekroczyć, choć na szczęście stosunkowo niewielu to robi. I nigdy nie zrozumie, dlaczego tak się dzieje. Nikt tego nie pojmie, zapewne nawet oni.

Radkowi Podolskiemu dziękuję za kwestie związane z telefonami komórkowymi. Na swoim iPhone odbieram pocztę, dzwonię, wysyłam esemesy i wiadomości na komunikatorach. No, może jeszcze korzystam z kilku aplikacji, poza tym jest to urządzenie z gruntu mi obce, podobnie jak każdy inny telefon komórkowy nowszej generacji. Wykorzystuję jakieś pięć procent ich możliwości, bo w zasadzie nic więcej nie jest mi potrzebne.

Dziękuję także betaczytaczom: Sylwii Depie, Monice Wilczyńskiej, Kamilowi Antolowi i Tomkowi Rędzi. To jak zwykle był zaszczyt i przyjemność!

„Sztuka unikania walki”, której podstawy pokazywał Marcie Marek Bielawski, istnieje naprawdę. Nazywa się SAJN, to stworzony przez Jana Nycka, propagatora filipińskich sztuk walki, mistrza combat kalaki i taekwondo, system walki wręcz i samoobrony przed atakiem z użyciem niebezpiecznych narzędzi (z naciskiem na samoobronę), który charakteryzuje się zastosowaniem bardzo prostych i skutecznych technik. Mam od jakiegoś czasu ogromną przyjemność uczestniczyć w zajęciach i warsztatach, a przekonała mnie do SAJN-u właśnie jego prostota i nieofensywny charakter. Oraz fajni ludzie. Pozdrawiam Was, dziewczyny i chłopaki.

Aha, Marek: sam chciałeś, to masz. Mam nadzieję, że Ci się podobało!

# Spis treści

## I. UPROWADZENIE

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9

## II. WYŚCIG Z CZASEM

- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- 26
- 27
- 28
- 29



### III. FARMA

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

OD AUTORA